Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 4 (1452) ROK XXIX 25 STYCZNIA 1986 ROKU CENA 20 ZŁ

- Korespondencja z Kuby
- „W obronie upadłej kobiety"
- Na śmierć leniwego obywatela
- Argentyńczyk nigdy się nie spieszy

Miasto i woda

Ultimatum karła

ROMAN KUBIAK

Karzeł był cierpliwy. Pokornie znosił kaprysy wielkiego sąsiada. Wielki sąsiad brał na kredyt, lecz obiecywał, że wierzyciela nagrodzi sowicie. Karzeł ufał mu bezgranicznie. Z całym swych wątłych sił stał na straży obcego interesu. Wielki sąsiad rósł, żył w dostatku, a karzeł karlał na jego chwałę. Na nic zdały się prośby i nalegania. Dłużnik był głuchy. Aż któregoś dnia karzeł dostrzegł, że wielki sąsiad zdradza ciągoty samobójcze. Wtenczas postawił ultimatum.

ROZGRZESZONY SZANTAŻ

Słowa trafiały w próżnię.

Dziewiętnastotysięczne miasteczko Mosina, po wielu latach próśb i ostrzeżeń, zdobywa się na akt rozpaczy — stawia Poznaniowi propozycję nie do odrzucenia: jeśli władze wojewódzkie nie zrealizują obietnicy wybudowania gminnej oczyszczalni ścieków, to Mosina skutecznie otruje poznaniaków.

Mosina nie żartuje. W pobliżu miasteczka znajduje się największe ujęcie wody pitnej dla stolicy województwa. Codziennie do Poznania płynie stąd prawie sto czterdzieści tysięcy metrów sześciennych czystej (na razie) wody. Ujęcie ma jedynie standardowe zabezpieczenie, słabo chroniące źródło przed przypadkowym nawet skażeniem środkami chemicznymi, tak beztrosko upychanymi na łono natury. Tymczasem obok, a właściwie nad złożami wody, funkcjonuje przemysłowe miasto bez oczyszczalni ścieków. Okoliczni rolnicy, niemalże w sąsiedztwie ujęcia traktują glebę szczodrymi dawkami nawozów sztucznych i pestycydów, które systematycznie przenikają kolejne warstwy ziemi, by w efekcie zanieczyścić wody głębinowe. Mosina stoi głównie na przeciekających szambach, a swoje przemysłowe ścieki próbuje odsyłać cherlawej przyrodzie. Przyroda zaś, dławiąc się porcjami nieczystości, bezradnie wchłania je w głąb ziemi, gdzie popychane deszczówką również „zasilają" żyły wodne. Spora część mosińskich ścieków trafia do Warty, podobnie jak odchody innych wielkopolskich miast.

Warta na tym odcinku dawno już nie przypomina rzeki, a raczej cuchnący rynsztok, którym spokojnie żegluje sobie pełny skład tablicy Mendelejewa. Mimo to drugie poznańskie ujęcie wody w Dębinie pobiera na dobę blisko sto tysięcy metrów sześciennych wątpliwej zawiesiny. „Bogactwo" zawarte w pompowanej cieczy rośnie z dnia na dzień, co najlepiej odczuwają poznaniacy. To oni właśnie powinni być zainteresowani tym, by z kranów leciała czysta i „bezpieczna" woda. Teoretycznie...

Poznań chce tylko brać: więcej, coraz więcej. Poznań łaknie nowych źródeł wody. Zdobywa je przy akompaniamencie obietnic, które nie znajdują pokrycia. Tak właśnie było w przypadku Mosiny. Podłączono się do bogatych złóż wody pitnej, obiecując miastu i gminie, że we wspólnym interesie kiedyś stanie tu oczyszczalnia ścieków. A póki co, niech Mosina dba o to, by woda dla Poznania by-

5

Foto: Grzegorz Galasiński

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Literatura i polityka

Literatura, podobnie jak pojęcie szersze, nadrzędne — kultura, pojmowana jest przede wszystkim jako świat wartości. Te zaś, jak pisał Florian Znaniecki *„są pierwotnym faktem ludzkiego doświadczenia niesprowadzalnym do żadnych kategorii przyrodniczych"*. Możemy także powiedzieć za Jerzym Wiatrem, że literatura, podobnie jak kultura w ogóle *„to pewna perspektywa w spojrzeniu na nas samych i na nasze otoczenie"*. Pod pojęciem „otoczenie" rozumieć także należy (a może przede wszystkim) warunki społeczne, a więc również zjawiska natury politycznej. Tak więc kategorie pozornie bardzo od siebie odległe nie wydają się już nam tak sobie obce. Wszak stosunki polityczne są częścią kultury rozumianej bardzo szeroko, a zarazem kształtowane są przez wzory kultury społeczeństwa, w którym występują, wzory kreowane m.in. także przez literaturę. Do naszych rozważań można by dorzucić jeszcze jedną uwagę — zastrzeżenie, a mianowicie, że literatura powstaje w konkretnych warunkach historycznych i społecznych. Te zaś stanowią wobec twórcy rodzaj determinizmu, w tym także w sensie politycznym.

1.

Jednym z objawów fenomenu powojennego odrodzenia był niewiarygodnie prędki i bujny, a przy tym burzliwy rozwój kultury i życia literackiego. W roku 1945 Łódź przejęła prymat i stała się centrum życia kulturalnego kraju. W mieście, które stało się kulturalną stolicą kraju koncentrowało się życie teatralne, publicystyczne i literackie, zanim artyści, twórcy i czołowi publicyści nie przenieśli się do Warszawy. A działo się to wszystko w latach, kiedy w Polsce likwidowano analfabetyzm, który nie był zjawiskiem marginalnym, jeśli pod koniec 1951 roku zarejestrowanych było jeszcze 1,5 mln osób, które powinny skorzystać z przepisów ustawy w sprawie likwidacji tego smutnego i wstydliwego zjawiska, będącego ponurą spuścizną czasów międzywojennych i okupacji.

Może zadziwić dziś ożywiona i gorąca atmosfera życia umysłowego pierwszych lat powojennych. W licznych, toczonych z zapałem na łamach prasy i periodyków polemikach przewijały się obok problematyki obrachunkowej (spraw wojennych) dyskusje związane z wizjami nowej Polski, prezentacje szerokiej gamy poglądów społecznych i politycznych dotyczących przyszłości kraju. Z bilansu doświadczeń wojennych wynikała przeważnie potrzeba kształtowania postaw konstruktywnych, pozytywistycznych. M. Morstin-Górska w 1945 roku pisała: *„Chcemy być wreszcie trzeźwi, przestać się rządzić odruchami uczuć. Nowy pozytywizm polski wyrasta z gruzów Warszawy, tak jak pierwszy zrodził się z klęski sześćdziesiątego trzeciego roku"*. Ów nurt „nowego pozytywizmu", połowy lat czterdziestych postulował akceptację dokonujących się głębokich przeobrażeń społecznych, politycznych i gospodarczych. Ze względu na rozmach i rozmiar procesów demokratyzacji, trudno było twórcom zachować obojętność wobec nowej rzeczywistości.

Tymczasem było logicznym, iż po spełnieniu podstawowych reform społecznych i gospodarczych, mechanizm rewolucji wymagał prędkich, wręcz gwałtownych, a zarazem głębokich przekształceń w świadomości i postawach społecznych. Niezmiernie ważnym i pilnym stawał się problem wyboru metod realizacji tego celu. Na czoło toczonych polemik wysunęło się zagadnienie granic stosowania w strategii rewolucyjnej przymusu jako środka obrony i realizacji dalszych zadań przebudowy społeczeństwa. W kręgach twórców powszechną prawie była świadomość tego, o czym pisała w marcu 1946 roku „Kuźnica", że *„stronnictwo reform działa dzisiaj w takiej sytuacji politycznej, że może bez uciekania się do gwałtownych środków przeprowadzić swoje doniosłe plany"*. Opinia ta popularna w kręgach postępowych intelektualistów i upowszechniana jakby na wyrost była, jak się zdaje, bardziej wyrazem chęci i życzeń niżli konstatacją faktycznego stanu cywilizacji politycznej panującej w kraju. Przypomnijmy bowiem, że był to okres funkcjonowania Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej, szczególnego zaktywizowania się przed zbliżającym się referendum legalnej, peeselowskiej opozycji i zbrojnego podziemia, i działo się to w dniach tuż po słynnym zimnowojen-

3

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński,

Korekta: Mariola Knaga Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Alfred Lutrzykowski Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28. 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam.: 107. B-2.

Coraz więcej nadziei

1.

Świat stoi na krawędzi zagłady. Trwa wyścig zbrojeń i arsenały armii świata coraz bardziej pęcznieją od nagromadzonej tam broni. Wystarczy drobny błąd, niedopatrzenie, nieporozumienie, a rozpętać się może globalny konflikt, w którym nie będzie zwyciężonych i zwycięzców. Pozostanie po nas nuklearna pustynia. Nikt tego nie chce, a przecież jest to możliwe.

Co zatem robić?

Niedawno w Genewie spotkali się przywódcy dwu największych potęg świata: ZSRR i USA i ustalili, że trzeba uczynić wszystko, co jest możliwe, aby do tego najgroźniejszego dla ludzkości konfliktu nie dopuścić. Ale to był początek drogi, którą trzeba pokonać. Drogi trudnej. Zaświtała nadzieja.

I oto uczyniono krok drugi. Michaił Gorbaczow wystąpił z programem całkowitego rozbrojenia. Program ten składa się z trzech części. Etap pierwszy — to redukcja broni jądrowej średniego zasięgu ZSRR i USA o połowę. Stałoby się to w ciągu 5—8 najbliższych lat. W drugim etapie, który powinien nastąpić nie później niż w 1990 roku, do procesu redukcji broni jądrowej średniego zasięgu przyłączyłyby się: Anglia, Francja i Chińska RL. W trzecim etapie, który powinien skończyć się w 1999 roku nastąpiłaby całkowita redukcja wszelkich zbrojeń nuklearnych. Świat wszedłby w XXI wiek bez broni nuklearnej. Byłoby to piękne. I jest to możliwe.

Ronald Reagan oświadczył, że propozycje Michaiła Gorbaczowa są konstruktywne i wymagają szczegółowego rozpatrzenia. Jaka będzie następna reakcja administracji Ronalda Reagana — trudno to przewidzieć. Wielu jednak polityków, uczonych, ludzi kultury i różnych zawodów w wielu krajach wyraża nadzieję, że propozycje Michaiła Gorbaczowa znajdą poparcie i będą wcielane w życie. Nie będzie to zapewne łatwy proces, ale daje on nadzieję, że mimo trudności i wzajemnej nieufności rozbrojenie stanie się faktem, a ludzie przestaną żyć w cieniu nuklearnej zagłady. Nadziei jest coraz więcej.

2.

Ludzie dobrej woli, którzy rozumieją grożące ludzkości niebezpieczeństwo i którzy chcą ponosić odpowiedzialność za przyszłość naszej cywilizacji, nie czekają biernie na decyzje polityków, ale wołają o pokój, o bezpieczeństwo, o spokojną przyszłość naszej planety. Spotkali się oni w Warszawie, gdzie w Hotelu „Victoria" odbywał się Kongres Intelektualistów w Obronie Pokojowej Przyszłości Świata. Otwiera ten Kongres proklamowany przez Zgromadzenie Ogólne ONZ Międzynarodowy Rok Pokoju. Do zgromadzonych w Warszawie intelektualistów wystosowali posłania politycy. Michaił Gorbaczow w swoim posłaniu stwierdził między innymi:

„Dziś przed ludzkością stoi niemało zadań złożonych i trudnych problemów narodowych, regionalnych i globalnych. Nie ma jednak zadań ważniejszych niż oddalenie groźby zagłady jądrowej, wstrzymanie wyścigu zbrojeń na Ziemi i niedopuszczenie do jego przeniesienia w kosmos, zachowanie cywilizacji. Związek Radziecki będzie nadal czynił wszystko co w jego mocy, aby te zadania urzeczywistnić".

Wiele obiecujemy sobie po warszawskich obradach intelektualistów. W Polsce już raz obradowali intelektualiści. Było to niemal 40 lat temu, we Wrocławiu. I tamten Kongres zapoczątkował skuteczną walkę o pokój. Dobra to prognoza. Budzi ona naszą nadzieję. Głos intelektualistów w obronie pokoju wiele znaczy, nie mogą nie wysłuchać go politycy. To wołanie o pokojową przyszłość świata powtarzają wszyscy ludzie, którzy rozumieją ogrom grożącego nam niebezpieczeństwa.

Ale, czy wszyscy rozumieją?

3.

Powtarzamy często, że układy zawarte w Teheranie, Jałcie i Poczdamie stworzyły warunki dla funkcjonowania powojennego świata i już przez 40 lat Polska żyje i rozwija się w pokoju. Nie tylko Polska jedna. Ale przez te 40 lat wojna trwa na świecie nieustannie. Była Korea, Wietnam, teraz jest Liban, a i Libia znalazła się o krok od wojny. Lokalne konflikty mają miejsce w innych częściach Afryki i Azji. Pokój jest stale zagrożony. Każdy taki lokalny konflikt może przerodzić się w wojnę światową, która zniszczy nasza cywilizację, a może też zniszczyć w ogóle życie na Ziemi. Można to sobie wyobrazić, ale są ludzie, którym tej odrobiny wyobraźni nie staje. Sądzą oni, cali w zaślepieniu i nienawiści, że można siłą zatrzymać świat w rozwoju, cofnąć historię i „anulować" prawa jej rozwoju. Złudne to zamierzenia.

Mając więc nadzieję, że ludzie dobrej woli potrafią przekonać polityków do konieczności rozbrojenia, nie zapominajmy też o tym, że są siły, którym nadzieja na wojnę jest potrzebna niczym powietrze. Te siły zawsze będą hamować postęp, dążyć do wywoływania konfliktów wszędzie tam gdzie będzie tylko możliwe i z tymi siłami trzeba nieustannie walczyć. Pokój nie będzie nam dany, pokój musi być wywalczony. Dlatego ludzie dobrej woli popierają pokojowe propozycje Związku Radzieckiego, które to propozycje rodzą coraz więcej nadziei na zachowanie pokoju.

4.

Byłem niedawno na spotkaniu, na którym Władysław Loranc mówił o różnych sprawach, a między innymi wyraził taką też myśl, że młode pokolenie Polaków, wychowanych w pokoju, nie rozumie powagi sytuacji, w jakiej znalazł się nasz świat. Bardzo mnie ten pogląd zasmucił i zaniepokoił. Wojna — to jest to najstraszniejsze, co może nas spotkać. Czyż można tego nie rozumieć?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Laureaci

Foto: Grzegorz Gałasiński

Rada Narodowa Miasta Łodzi przyznała doroczne nagrody. W 1986 roku nagrody otrzymali:

— Inżynier **LEON DOWNAROWICZ** — od 15 lat dyrektor PGR Rszew koło Łodzi;

— Profesor **ZBIGNIEW FRIEMAN**, muzyk, wykładowca w Akademii Muzycznej w Łodzi, założyciel Łódzkiej Orkiestry Kameralnej „Pro Musica";

— **MARTA JANIC** — założycielka teatru lalek w Łodzi, reżyser w Państwowym Teatrze Lalek „Pinokio", wychowawca młodzieży, sekretarz Polskiego Ośrodka Międzynarodowej Unii Lalkarskiej UNIMA;

— **ANIELA KASPEREK** — siostra zakonna, przełożona pielęgniarek w III Państwowym Domu Pomocy Społecznej w Łodzi;

— Profesor **EDWARD KĄCKI** — informatyk, autor 100 prac naukowych, dyrektor Instytutu Informatyki i dziekan Wydziału Fizyki Technicznej i Matematyki Stosowanej Politechniki Łódzkiej, członek zarządów wielu towarzystw naukowych;

— Profesor **ANDRZEJ KURNATOWSKI** — autor 70 prac naukowych i trzech podręczników akademickich, kierownik Zakładu Anatomii Patologicznej Instytutu Patologii Akademii Medycznej w Łodzi, przewodniczący Łódzkiego Komitetu Narodowego Funduszu Ochrony Zdrowia, członek wielu towarzystw naukowych;

— Profesor **ZOFIA LIBISZOWSKA** — historyk, autorka 200 prac naukowych, w tym monografii wydanych również za granicą, dziekan Wydziału Filozoficzno-Historycznego Uniwersytetu Łódzkiego;

— Doktor **JÓZEF LISOWSKI** — nauczyciel pracujący w szkolnictwie specjalnym, autor między innymi książki pt. „Losy okupacyjne nauczycieli łódzkich";

— Profesor **HENRYK RAFALSKI** — współtwórca łódzkiej szkoły higieny, autor wielu prac naukowych z dziedziny fizjologii i patologii żywienia, kierownik Katedry Higieny Akademii Medycznej w Łodzi;

— **BOGUSŁAW SOCHNACKI** — aktor, laureat wielu nagród artystycznych, stworzył wiele niezapomnianych kreacji na scenach teatrów i w filmie, wykładowca i wychowawca młodego pokolenia aktorów w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi, występuje w Państwowym Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi;

— **TADEUSZ SZEWERA** — dziennikarz radiowy, reporter, autor wielu zbiorów reportaży oraz antologii pieśni z lat 1939—1945 pt. „Niech ją wiatr poniesie".

Wszystkim laureatom tegorocznej Nagrody Miasta Łodzi składamy serdeczne gratulacje!

NA WŁASNY RACHUNEK

Poszukiwacze szczęścia

Tak się składa, że w ostatnim czasie dość często stykam się z rozważaniami i dyskusjami o szczęściu — co nim jest, a co nie jest i jakie są warunki, by je osiągnąć. Część czytelników „Odgłosów" zapoznała się właśnie z cyklem artykułów na ten temat, w których autor zawiera jakby vademecum wiedzy o szczęściu w różnych czasach i kulturach, zachowując beznamiętną postawę naukowca.

Zarówno ta publikacja, jak i niedawna ogólnopolska konferencja na temat kultury młodzieży, w której brałem udział, skłaniają mnie do wtrącenia w tę sprawę swoich trzech groszy. Przede wszystkim dlatego, że dwa ważne warunki osiągnięcia szczęścia są przeważnie niedostrzegalne lub bagatelizowane. A wydaje mi się to niepokojące.

Wprawdzie uważa się powszechnie, że każdy powinien znajdować szczęście, jakie mu najlepiej odpowiada, gdyż im większa będzie liczba szczęśliwych jednostek, tym szczęśliwsze stanie się społeczeństwo, ale po różnych doświadczeniach i obserwacjach zaryzykowałbym opinię, że nieobojętne jest dla dobra ogółu, w czym jednostki upatrują szczęście. Bardzo dużo zależy od tego, jaki model szczęścia dominuje w społeczeństwie — mniej czy bardziej egoistyczny, samolubny. A właśnie mamy przeważnie skłonność do utożsamiania szczęścia z gromadzeniem dóbr i zaszczytów bez oglądania się na cenę.

Bo to oczywiście nieprawda co głoszą pewne ośrodki polityczne, że polskiemu społeczeństwu wyjątkowo bliskie są wysokie ideały chrystianizmu (konkretnie — katolicyzmu) Któż w to wierzy, że błogosławieni są cisi i pokornego serca, że prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, niż bogacz wejdzie do królestwa niebieskiego, nieskłonni bylibyśmy także (nawet w okresie rekolekcji) oddać ubogiemu bliźniemu jedną z dwu posiadanych koszul. Zapewne nie jesteśmy pod tym względem gorsi od wielu innych społeczeństw, jednak rzadko które tak głośno deklamuje o swojej bogobojności.

Również etos socjalistycznego stylu życia nie znajduje na co dzień zbyt wielu zwolenników często nawet wśród tych, od których należałoby tego oczekiwać. A przecież tak jak wolność jednostki musi być przyporządkowana interesom bliższej społeczności i zwłaszcza ogółu społeczeństwa, w przeciwnym razie ukręcilibyśmy bicz na siebie samych, tak też i aspiracje do szczęścia osobistego powinny współbrzmieć z dążeniami innych, nie zaś je unicestwiać, póki jednak szukamy widomych oznak szczęścia w wynoszeniu się nad innych, ów nieustający wyścig w gromadzeniu przedmiotów i wspinania się na stanowiska musi stać się w końcu, nawet wśród sukcesów, źródłem stałego niedosytu.

Nawet mając przed oczyma setki odstraszających przykładów, więcej chluby widzimy w tym, żeby być człowiekiem sukcesu, niż uchodzić w czyjejkolwiek opinii za życiowego nieudacznika, w opływaniu w dostatki niż w poprzestawaniu na małym, wolimy też krótkotrwałe zadowolenie między jednym a drugim osiągnięciem materialnego czy innego awansu niż szarą stagnację. Kontrowersje wokół tych tematów bywają, owszem, ostre, ale nie tyle w praktycznych postawach, ile w teorii, zależnie od poglądów społeczno-politycznych.

Za drugi powód do niepokoju uważałbym inną skazę psychiczną, ujawniającą się chyba coraz powszechniej w postawie znacznej części ludzi, zupełnie jak przypuszczam niezależnie od światopoglądu. Na wspomnianej przeze mnie konferencji ktoś z prowadzących dyskusję pytał kolejno młodych ludzi: „Jak wyobrażasz sobie szczęście osobiste? Na czym ono głównie polega?" Jedna po drugiej padała odpowiedź: „Być kochanym" (odpowiadali niemal sami chłopcy). „Czy nie ważniejsze wydaje się wam, żeby samemu kochać, nawet nie będąc kochanym?" Młodzież reagowała z niedowierzaniem i zdumieniem: „Czyż największa udręka nie jest miłość bez wzajemności?". A więc i tu przeważyło utożsamienie „brania" (dóbr doczesnych czy uczuć) nad „dawaniem, ofiarowywaniem"

Oczywiście nie dziwię się, że w młodym wieku trudno pojąć, iż nie kochać nikogo może oznaczać uczucie samotności i pustki, nie wypełnianej bynajmniej przez uczucia osoby obojętnej, które mogą być odbierane jako ciężar jeszcze większy niż miłość nieodwzajemniona. Odeszliśmy więc bardzo daleko od wyobrażeń o miłości i szczęściu szerzonych przez wielkie systemy etyczne. I nawet nie chodzi mi o to, co „ładnie", a co „brzydko" ale czy jest to po prostu korzystne dla jednostki i społeczeństwa, że coraz częściej wystarcza nam być zadowolonym i nie znaczać przykrości, a to prowadzi do zwężenia tej skali przeżyć, która na jednym biegunie obiecuje szczęście, a na drugim rozpacz.

A jeśli ulega zanikowi zdolność cichego i spokojnego szczęścia, to czy nie słabnie też poczucie sensu życia? Bo spójrzmy! Oto zdobyło się już ten kolejny milion, podciągnęło znów na kolejny wyższy szczebel, a tu z coraz to nowych stresów leczyć się trzeba po sanatoriach albo zgoła u znachorów. I współczucia u ludzi nie widać...

JERZY KWIECIŃSKI

40 lat „Expressu Ilustrowanego"

Zaraz po południu ustawiają się przed kioskami RUCHU długie kolejki. To wierni czytelnicy oczekują na swoją gazetę. Na kolejny numer „Expressu Ilustrowanego", Łódzka popołudniówka cieszy się dużą popularnością nie tylko dlatego, że przynosi ciekawe, inne niż w prasie porannej informacje, że opisuje wszystko, co interesującego zdarzyło się w mieście. Ta popularność bierze się i stąd, że gazeta stara się zawsze być ze swoimi czytelnikami, przedstawiać im ciekawe propozycje nie tylko na łamach pisma, ale też w różnych cieszących się zainteresowaniem akcjach. Czego już nie wymyślono. Były „Expressowe koszulki", „Wiosenny Alert", „Mister województwa łódzkiego", szukano sobowtórów Isaury i Leoncia, organizowano spotkanie ludzi chorych z S. Nardellim. „Dzień Taty"... Któż zliczy wszystkie imprezy, akcje, któż przewidzi, na jaki jeszcze pomysł wpadnie zespół „Expressu Ilustrowanego"?

Zdarzyło się już kilka razy, że proponowano mi kupno „Expressu Ilustrowanego" za... podwójną sumę, bo w kioskach już go nie było, a przedsiębiorczy chłopcy wykupili ileś tam egzemplarzy, aby sobie zarobić. I choć nie pochwalam „spekulacji", jest to bezsprzecznie naganne, to przecież... zazdroszczę. Któryż dziennikarz nie chciałby, aby jego gazetę sprzedawano „poza RUCH-em"? Zazdroszczę i gratuluję!

Zespół „Expressu Ilustrowanego" jest młody, nie tylko wiekiem, ale i duchem. Nieustannie goni za życiem, starając się pokazywać to życie na swoich łamach. Goni już tak od 40 lat. I gonić będzie dalej. Kolegom z 6 i 7 piętra wieżowca „Centrum prasowo-telewizyjnego" serdeczne życzenia wielu jeszcze 40 lat zawsze z uznaniem czytelników, z ich życzliwością.

LUCJAN BOGUSZ

ze str. 1

nym przemówieniu Winstona Churchilla w Fulton.

Równie popularne w kręgach lewicy intelektualnej były poglądy, że socjalizm w Polsce (w ramach lansowanego wówczas modelu „polskiej drogi"), będzie musiał wypracować nie tylko nowe zasady organizacji gospodarki, ale także nowatorskie i zarazem specyficzne kanony szeroko rozumianej polityki społecznej i kulturalnej. Źródeł oraz inspiracji dla owych kanonów upatrywano słusznie w humanizmie socjalistycznym.

Wizja nowego społeczeństwa Polski Ludowej i model demokratycznej kultury, wyrastały głównie z krytyki wzorców kultury mieszczańskiej, ze spontanicznej do niej opozycji. Postawa taka była nie tylko albo nie tyle skutkiem zewnętrznej inspiracji narastającego w społeczne są częścią kultury rozumianej bardzo szeroko, a zarazem kształtowane są przez wzory kultury społeczeństwa, w którym występują, wzory kreowane m.in. przez literaturę.

Na powyżej poczynione uwagi posłyszeć można odpowiedź choćby tego rodzaju: Jak może tak rozległych i trudnych odpowiedzi udzielić literatura, film czy teatr, skoro nie wypracowała ich jeszcze historia, politologia czy socjologia. Ktoś inny dorzuci — czy były w przeszłości i czy, na dobrą sprawę, są dziś warunki sprzyjające tak ambitnym zamierzeniom?... Rację, jak to często bywa — mają wszyscy. Szansę na spóźniony przełom, rzeczywistą odnowę, zmianę w tej dziedzinie upatruję, podobnie jak np. Zbigniew Safian w stworzeniu określonych, sensownych preferencji dla nurtu lewicowego w kulturze polskiej. Co to może oznaczać w praktyce? M.in. i to, że będziemy mieli do czynienia z literaturą kontrowersyjną, co wzbudzić może zrazu pewien lęk u kierowników życia politycznego. Tego typu reakcje mogą tłumaczyć niedobre doświadczenia minio-

Literatura i polityka

— czeństwie „ducha rewolucji ludowej", ile wyrazem przekonań i poglądów wielu twórców, nie tylko tych, będących w szeregach politycznej awangardy. Było przy tym oczywiste, iż dla zapewnienia atrakcyjności nowego ideowo-artystycznego programu, postawa awangardy nie mogła ograniczać się jedynie do negacji kultury mieszczańskiej. W ogólnych zarysach program polskiej rewolucji kulturalnej zakładał nie tylko upowszechnienie we wszystkich grupach społecznych istniejących dóbr kultury, ocalałych z wojennej pożogi, ale także — powstanie nowych wartości, zgodnych z duchem rewolucyjnego czasu i tworzonych przez nowego człowieka, wychowanego w nowym systemie. W lipcowym numerze organu PPR — „Rada Narodowa" (1944 r.), czytamy: *„Zagadnienie demokratyzacji kultury jest w pierwszym rzędzie organizacją upowszechnienia masom dóbr kulturalnych i wytworzenie na nie społecznego zamówienia. Demokratyzacja kultury sprowadza się więc do takich form organizacji kultury, które umożliwiają nie tylko zaspokojenie potrzeb duchowych mas, ale zapewnią im wpływ i udział w przemianach kultury"*.

Przyjęta koncepcja demokratyzacji kultury była zgodna z ogólnymi ideologicznymi założeniami budowy nowej Polski, była logiczną konsekwencją rewolucyjnych przeobrażeń ustrojowych. Zasadą było traktowanie dóbr kultury jako swoistego świadczenia należnego obywatelom od państwa. Jeśli brać pod uwagę ogromnie niski poziom życia całego ówczesnego społeczeństwa, spowodowany małymi zarobkami i trudną sytuacją zrujnowanego kraju, to trzeba uznać, iż koncepcja ta posiadała niemałe uzasadnienie.

2.

O rozmiarach i charakterze życia kulturalnego w dużej mierze decydują aktywność twórców i ich postawa społeczna. Z oficjalnych wypowiedzi działaczy kulturalnych lat czterdziestych nie wynika, aby próbowano wówczas administracyjnie wkraczać w sferę twórczości. Klimat polityczny sprzyjał wielu poszukiwaniom ideowo-artystycznym i zaangażowaniu społecznemu.

Jesienią 1946 roku, ówczesny sekretarz CRZZ, a późniejszy działacz kulturalny, Włodzimierz Sokorski, stwierdził w jednym z referatów: *„W kulturze i sztuce nie można nakazywać, dyktować, narzucać, i komenderować. Tam, gdzie kończy się subiektywizm twórcy, a pozostaje rzemiosło na zamówienie, tam kończy się każda sztuka i zaczyna się okres dekadencji kulturalnej"*. Pomimo tego już w latach czterdziestych można było zaobserwować ucieczkę szeregu twórców od aktualnej tematyki społecznej. Zjawisko to, trwające z przerwami do dziś, budzi uzasadniony niepokój.

Jeden z najbardziej zaangażowanych organizatorów życia kulturalnego po wojnie, komunista, Jerzy Borejsza, apelował: *„(...) musimy brutalnie, siłą, gwałtownie oderwać się od przeszłości, przejść chwilowo nad nią do porządku dziennego. Spojrzeć na to co się dzieje, wejść całkowicie we współczesność"* Czy wiele w tym względzie zmieniło się dziś po czterdziestu latach? Oto próba odpowiedzi — niedawno na Naradzie Pisarzy Partyjnych (luty 1983 r.), Ryszard Wojna, apelował *„Nie możemy dłużej pozwolić aby wspólna przeszłość dzieliła nas. W czasie, kiedy schodzimy do naszych narodowych katakumb, inni jadą nad nami ekspresowymi pociągami w przyszłość. Niekiedy zda się, że jest ona nie na nasze siły, ale to nieprawda"*. Zaś Wiesław Rogowski przekonywał do tradycyjnie w Polsce, niepośledniej roli twórców: *„Dążenie wyprowadzenia Polski z zaułka historii, z obszarów zacofania gospodarczego, to również rola i obowiązek kultury, w tym także pisarzy"*.

Dziwnie współgrają z sobą w sensie ich aktualności zestawione powyżej wypowiedzi, które dzieli dystans blisko czterdziestu lat. Wciąż nie dosyć społecznego, patriotycznego zaangażowania twórców ciągle też nie za wiele w powojennym dorobku literatury jest książek o współczesnej tematyce politycznej. Dlatego przystać należy na zarzut, iż współczesnemu Polakowi trudno poszukiwać w literaturze jeśli nie gotowej odpowiedzi (bo czy takiej można udzielić?), to przynajmniej głębszej refleksji na temat dylematów teraźniejszości. Wszak przypomnijmy w tym miejscu, że stosunki polityczne

nych okresów (niedobre zresztą dla literatury i polityki). Tylko czy zawsze odpowiedzią na trudną przeszłość musi pozostawać lęk, obawa, podejrzliwość? Wszak podjęliśmy trud tworzenia klimatu społecznego zaufania! Sądzę, iż niezależnie od złych wspomnień i silnych ciągle jeszcze starych nawyków szansy dla zaangażowanej, socjalistycznej literatury współczesnej upatrywać należy we wspomnianej konieczności udzielenia preferencji. Zapyta ktoś: a jeśli tak się nie stanie, to co? Czy kontrowersyjna literatura współczesna umrze „śmiercią naturalną"? Nie. Ona będzie istniała, tylko zasilać będzie inny nurt, wzbogacając krajobraz tzw. drugiego obiegu i literatury emigracyjnej.

3.

Złożone są powody niedostatku refleksji literackiej nad czasem niedawno minionym, nad powikłanymi sprawami społecznej teraźniejszości. Wciąż cierpimy i skarżymy się na niedostatek lewicowej literatury krytycznej, demaskującej niedoskonałą rzeczywistość, oskarżycielskiej, a zarazem afirmującej to, co przeciwstawia się niesprawiedliwości, odchodzeniu od oficjalnie głoszonych ideałów i norm socjalistycznego humanizmu. Nawet literatura faktu, dziś już nie w modzie w niełasce u twórców i mecenatów.

Trudniejszą formą wyrażania twórczego niepokoju wobec skomplikowanych przejawów życia społecznego jest literatura typu afirmującego, gdzie fabuła fikcja literacka prezentuje rzeczywistość wymarzoną, idealną, co jak w zwierciadle z bajki ujawnia deformacje praktyki społecznej, stosunków politycznych, zwichnięcia moralne. Oskarżając rzeczywistość sztuka tego rodzaju afirmuje ideały oraz to, co można i trzeba jeszcze ocalić. Jednakże uprawianie tego typu literatury wiąże się z pewnym ryzykiem i niebezpieczeństwem. W dobie wielkiego przeczulenia wszystkich na wszystko, pisarz może spotkać się z zarzutem czytelnika o uprawianie nowego typu „propagandy sukcesu", czy też fantastyki politycznej, zaś cenzor np. swoją negatywną opinię o książce może uzasadnić zbytkiem prześmiewności, nadmierną aluzyjnością i dwuznacznością dzieła.

Tymczasem dzieło sztuki nabiera ważności społecznej i politycznej jedynie jako rzecz autonomiczna. Likwidacja autonomii sztuki lub jej nadmierne ograniczenie umożliwia jedynie włączenie jej do zespołu wartości użytkowych, do arsenału doraźnych środków oddziaływania społecznego, często mało skutecznych lub wręcz chybionych. Praktyka tego rodzaju prowadzi do niebezpieczeństwa zwyrodnienia sztuki i przekształcenia jej w agitkę propagandową, w propagandową sztukę masową lub skomercjalizowaną sztukę masową. Fikcja literacka zmusza do refleksji tylko wtedy, gdy jest nastawiona sceptycznie i krytycznie do rzeczywistości, jeśli wyraża uzasadniony niepokój wobec ułomnej codzienności. Twórczość wszelka, mająca ambicje być polityczną, zaangażowaną uznana będzie za trafną i pożyteczną jedynie wówczas, gdy będzie posiadała określone wysokie walory artystyczne.

Sztuka nie podlega rewolucyjnej strategii, tym bardziej — jeśli pragnie zachować swoją autentyczność i autonomię nie może być uległa wobec ciągot i pokus, a także nacisków stawania się formą apologetyki aktualnego trendu politycznego. Sztuka jest specyficznym rodzajem propagandy, ale tylko w tym znaczeniu i stopniu, w jakim jako cząstka kultury ogólnospołecznej jest światem wartości, a więc i preferencji artystyczno-ideowych. Polityka, a więc społeczna codzienność, przyjmie kiedyś coś z prawdy artystycznej, bo jak pisze H. Marcuse: *„Leninowskie «wolałoby się» nie wyraża żadnej osobistej preferencji, lecz historyczną alternatywę, to znaczy utopię, którą winno się realizować"*.

Bolączką rzeczywistości społecznej bywa to, iż pozostaje w każdym z systemów daleka od głoszonych ideałów, dlatego powinnością sztuki, a więc i literatury, szczególnie lewicowej jest permanentnie fakt ten napiętnować.

KAROL JÓZEF STRYJSKI

Łódź sprzed 41 lat

Defilada

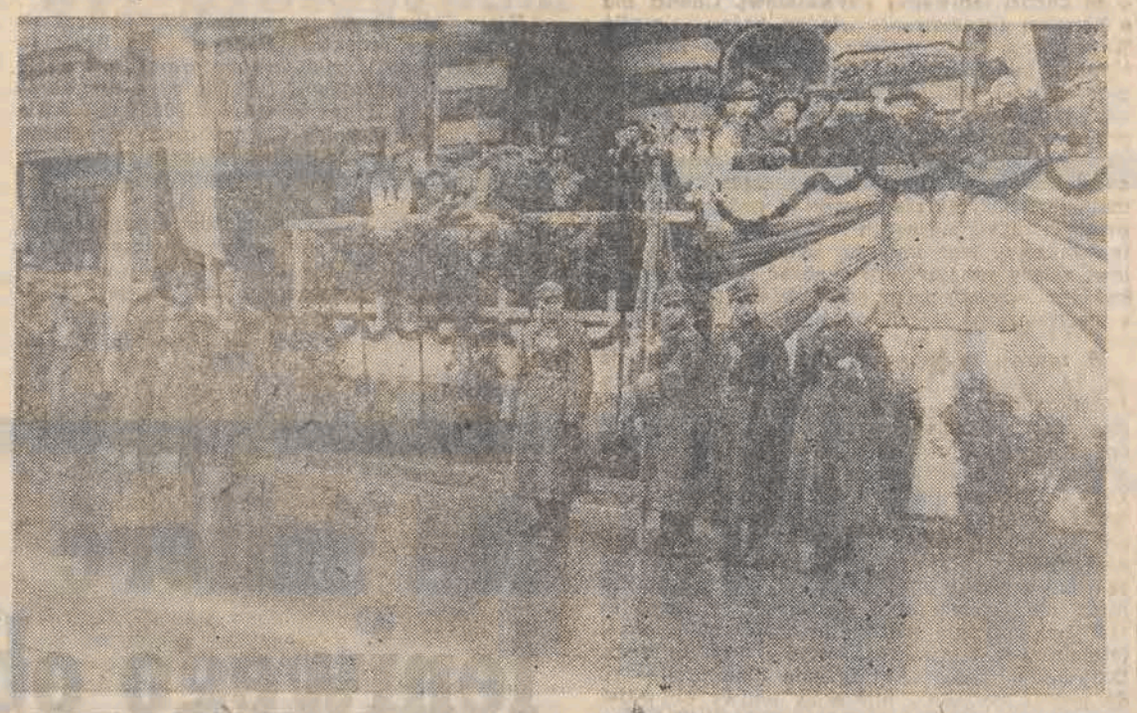

Prezentowane zdjęcia pochodzą ze zbioru Centralnej Agencji Fotograficznej w Warszawie. Wykonywane były w 1945 r. dla potrzeb prasowych przez ówczesnych fotoreporterów. Po zakończeniu łódzkiego okresu agencji „Polpress" zdjęcia przetransportowano do Warszawy, gdzie przez wiele lat były nie uporządkowane. Do kartoteki CAF włączono dotąd część bogatej ikonografii łódzkiej z 1945 r. Obecnie zdjęcia te i inne z tego okresu znajdują się w posiadaniu Ośrodka Dokumentacji Prasowej Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego.

Na śmierć leniwego obywatela

TOMASZ SAS

1.

Pisałem już parokrotnie, jak bardzo przywiązany jestem do etosu „obywatela odpowiedzialnego, ale leniwego". Dla jasności wywodu muszę jednak w paru zdaniach przypomnieć, o co chodzi leniwemu obywatelowi. Chodzi mu o komfort sprawowania władzy, która — wedle Konstytucji — należy do niego w równym stopniu, jak do innych członków ludu pracującego miast i wsi. Obywatel odpowiedzialny, ale leniwy jest w pełni świadom wagi, jaką ma przyzwoite sprawowanie tej władzy. Przeto gotów jest co jakiś czas — zgodnie z ustanowionym przez prawo rytmem — dołożyć maksymalnej, należytej staranności podczas obioru przedstawicieli mających faktycznie wykonywać tę władzę w jego imieniu. Leniwemu obywatelowi zależy na tym, aby wybrać naprawdę pod każdym względem przedstawicieli najlepszych z możliwych.

W zamian za tę swoją staranność oczekuje on, że wybrana przez niego „władza" da mu święty spokój — najogólniej mówiąc. To znaczy, że nie będzie go absorbować wezwaniami do koniecznego udziału w życiu publicznym, do pomocy, do nieustannego konsultowania. Oczekuje też, że nie będzie narażony na stresy wywołane przez kryzysy (zawinione przez władzę), ani na spowodowane nieudolnością władzy pogorszenie swej sytuacji materialnej. Oczekuje, że władza będzie „bezszmerowo" i w sposób dla niego niedostrzegalny i nie uciążliwy zaspokajać jego potrzeby materialne, potrzeby ducha i intelektu, że będzie realizować jego interesy. Oczywiście tylko te, które zależą od niej — co do innych potrzeb i interesów leniwy obywatel oczekuje, że władza co najmniej nie będzie mu przeszkadzać w jego własnej aktywności i przedsiębiorczości ani ograniczać jej ponad potrzeby organizacyjne całej wspólnoty państwowej.

Nie ma to nic wspólnego z tzw. leseferyzmem ani koncepcją „państwa — nocnego stróża". Do takiego powinowactwa się nie przyznaję; mojemu „leniwemu obywatelowi" idzie tylko o nieabsorbowanie go problemami rządzenia — tymi, które powstają na bieżąco. Gdy władza — parlament, rząd, administracja — chce go wciągnąć do praktycznego rozwiązywania problemów państwa, choćby poprzez nieustanne konsultowanie każdej decyzji (także w dziele stanowienia praw), to odczuwa on nie tylko pewien dyskomfort, ale i nabiera przekonania o niedopuszczalnej słabości i niesamodzielności władzy. Leniwy obywatel chce władzy silnej i samodzielnej, która nie będzie mu zawracała głowy, i której on będzie mógł ufać bez zastrzeżeń; oczekuje tylko jednego — dostatecznej i szczerej informacji o sprawach publicznych.

Pragnienie bycia odpowiedzialnym za sprawy własnego państwa (wyłączywszy sytuacje ekstremalne, np. zagrożenie suwerenności) u leniwego obywatela koncentruje się właściwie na akcie wyboru przedstawicieli. Dlatego pragnie on możliwie największej swobody w wyborze, dlatego chce — poprzez swoje organizacje — mieć decydujący wpływ na dobór kandydatów. Leniwy obywatel chce uzyskać pewność, że zrobił wszystko, by reprezentowali go najlepsi członkowie wspólnoty, na których bez obaw może złożyć troskę o państwo — najwyższe dobro w jego systemie wartości.

2.

Tymczasem w naszym państwie zaszły okoliczności, które koncepcję leniwego obywatela czynią bezużyteczną, ba — wręcz szkodliwą. Jakie to okoliczności — pisałem w cyklu publikacji „Co dalej?" („Odgłosy" — nr 48—50 w 1985 roku). Przypomnę tylko najważniejszą — otóż na opisaną tu powabną wizję komfortu sprawowania władzy teraz nas po prostu nie stać. Z trzech powodów...

Po pierwsze — potrzebna jest pewna stabilizacja materialna, równowaga gospodarcza, do której nam jeszcze daleko. Po drugie — wbrew pochopnym osądom niektórych publicystów wcale jeszcze nie zakończył się kryzys polityczny. Wprawdzie osiągnęliśmy pożądaną stabilizację, wyrażającą się poprzez stosunkowo dużą społeczną akceptację linii politycznej, realizowanej przez uczestników koalicyjnego systemu sprawowania władzy — i to pozwala politykom na obwieszczenie końca kryzysu politycznego. Ale to tylko wierzchnia warstwa. Nie wolno bowiem zapominać o politycznym znaczeniu kryzysów w nas samych, kryzysów postaw etycznych, rozchwiania wartości, zerwania rozlicznych więzi społecznych, destrukcji systemu edukacji i znaczeniu nie zaleczonych wyrw w obywatelskiej świadomości. Po trzecie wreszcie — wedle mojego osobistego mniemania, którego nie chciałbym nikomu narzucać, dokonaliśmy wyboru, który żadną miarą nie pozwala na bezpieczne złożenie całej troski o państwo wyłącznie na mandatariuszy. Mam tu na myśli nie tylko Sejm, ale przede wszystkim rady narodowe.

Pisząc ten tekst, bez żalu rozstaję się z koncepcją „leniwego obywatela", bowiem zdaję sobie sprawę z tego, że okoliczności sprzyjające jej zastosowaniu nieprędko zbiegną się razem z w tym samym miejscu i czasie.

3.

Teraz oczywiście nasuwa się pytanie, jaką inną koncepcją obywatelskiej aktywności można zastąpić etos leniwego obywatela? Z rozmaitych możliwości najowocniejsza wydaje się jedna, przynajmniej wedle mojego rozeznania — organizatorskie i intelektualne wsparcie dla wszystkich obieralnych organów władzy.

Zanim jednak sformułuję szczegóły tej koncepcji, chciałbym wspomnieć o pewnym nieodzownym warunku wstępnym. Nieodzownym, jak sądzę, dla każdego obywatela, który od mówienia i myślenia o władzy per „ONI" zamierza z tą właśnie władzą przejść na „TY", widząc w tym sposób realizacji swych własnych i ogólnospołecznych interesów. Warunkiem tym jest istnienie programu, który byłby nie tylko zbiorem wytycznych i wskaźników do roku, powiedzmy, dwutysięcznego — ale programu, będącego klarowną wizją najbliższej, w perspektywie pokolenia, przyszłości — ustrojowej, gospodarczej, kulturalnej; wizją rozwoju państwa i postępu w kwestii poziomu życia każdego z jego obywateli.

Nie należę do grona pragmatyków, którzy — jak naczelny redaktor „Polityki" Jan Bijak — *„nie wierzą w porywające programy ani wizje urzekające rozmachem"* („Późna pora dla Hamletów" — „Polityka" nr 41 — 1985.10.12.). Nie jest to kwestia wiary ani też urody programu — wierzyć to sobie można w byty nadprzyrodzone, a zachwycać się powabami panienek, postrzeganymi tym intensywniej, im jesteśmy starsi. Problem polega na możliwie racjonalnym rozwiązaniu antynomii między potrzebami a możliwościami — tak, aby program wzbudzał zaufanie co do prawdopodobieństwa jego zrealizowania.

Sądzę, że dzisiaj nie byłoby możliwe powtórzenie psychologicznego chwytu ze słynną mapą Hilarego Minca na Kongresie Zjednoczeniowym w 1948 roku — olśniewającą kaskadą światełek Planu Sześcioletniego. Nie tylko dlatego, że nie byłoby czego oświetlać, ale przede wszystkim dlatego, że zupełnie zmieniły się obywatelskie oczekiwania i preferencje. Wielkie inwestycje nie mają „dobrej prasy" w opinii publicznej; wzrosła też odporność na epatowanie procentami i żonglowanie globalnymi wskaźnikami postępu, zwłaszcza tymi z mocarstwowym zadęciem porównawczym. Ostatnimi czasy bowiem rzeczywistość postrzegana przez tzw. szarego człowieka na poziomie elementarnym jaskrawo różniła się od rzeczywistości statystycznej. Minął też okres fascynacji gigantyzmem. Ustąpił miejsca trosce o indywidualny i rodzinny poziom życia. A fascynacja gigantyzmem gospodarczym wzbudzała skłonność do wyrzeczeń, zaś troska o własne bytowanie rodzi nieufność wobec wielkich planów.

4.

Psychiczny stosunek większości obywateli naszego kraju do wizjonerskich programów przepojony jest sceptycyzmem. Tak jest dzisiaj, ale trzeba pamiętać, że nie jest to jakaś trwała, immanentna cecha naszego „charakteru narodowego" (jeżeli takowy w ogóle istnieje, w co szczerze wątpię).

Mamy w naszej historii zanotowane okresy szczerego entuzjazmu — przynajmniej cztery w ciągu ostatnich czterdziestu lat: tuż powojenny dynamizm wielkiej odbudowy i migracji na Zachód, wspomniane już „światełka" Hilarego Minca i romantyzm Wielkich Budów Socjalizmu, październikową odwilż i w końcu pierwszą połowę dekady „drugiej Polski".

Każdy z tych okresów kończył się mniejszym lub większym kryzysem politycznym, a dwa ostatnie nadto coraz większymi i dotkliwszymi załamaniami gospodarczymi. Nie ma co ukrywać — wpłynęło to w istotny sposób na potężną falę społecznego zwątpienia we wszelkie dalekosiężne plany rozwoju.

A przecież totalne zaprzeczenie, iżbyśmy w ogóle mieli jakiekolwiek osiągnięcia, jest zabiegiem nieuczciwym i demagogicznym. Jest to po prostu nieprawda — nawet w odniesieniu do tak powszechnie zohydzanych lat siedemdziesiątych (oczekujących jeszcze na rzetelny, sine ira et studio, rachunek strat i zysków). Nie mam teraz zamiaru zajmować się demitologizacją naszych mniemań o czterdziestoleciu, nie mogę jednak powstrzymać się od uwagi, że wszystkie te — nawet nie w pełni zrealizowane i załamujące się plany — dały nam tyle, ile żadną miarą na innej możliwej do wyobrażenia drodze nie potrafilibyśmy osiągnąć.

Przy okazji w naszej zbiorowej świadomości zaszły pewne zmiany, jak sądzę, nieodwracalne. Mam tu na myśli statystycznie dominujące przeświadczenie o społecznych i indywidualnych korzyściach płynących z rozmaitych instytucji ustrojowych socjalizmu. Ustrój ten akceptuje zdecydowana większość Polaków — ustrój jako całość; a już zupełnie miażdżące wskaźniki akceptacji uzyskują konkretne rozwiązania strukturalne socjalizmu.

Politycy nie mogą sobie pozwolić tylko na werbalny sprzeciw wobec tego zjawiska, nie mogą nie brać go pod uwagę. Nie ulega bowiem wątpliwości, że w tę „lukę programową" usiłują się wcisnąć nasi przeciwnicy, może nie tyle podsuwając atrakcyjne /kontrpropozycje rozwoju, co wykorzystując w celach psychologicznego rozmiękczania skrzętnie rejestrowane słabości systemu. Na szczęście piętnowanie diabolicznych predylekcji marksizmu do industrializacji, urbanizacji i rzekomego odczłowieczenia rozwoju naszej społeczności nie jest przedłużone przez prezentację jakiejś pociągającej, konkurencyjnej wizji przyszłości.

Niektórzy hierarchowie Kościoła katolickiego prezentują na przykład koncepcję powrotu ku ziemi, „filozofię ruralizacji" narodu. Jest ona propagowana najintensywniej, ale jakoś nie słychać, by zdobywała szczególne uznanie — nawet wśród najzagorzalszych krytyków dorobku socjalistycznej rzeczywistości...

5.

Z tym wszystkim należy uważać, by nie dać się zbiorowo wpędzić w postawę, którą w skrócie nazywam syndromem oburzonego biegacza. Biegacza, który zaplątał się w dołku startowym i potem krzyczy, że był falstart. W wyścigu, w którym uczestniczymy jako naród i państwo, nie obowiązują reguły fair play ani specjalny regulamin. Trzeba zacisnąć zęby i doganiać — obojętnie jak: innym torem, na skróty, górą, dołem, tyłem — byle skutecznie.

Nie warto wszakże biec na oślep, albowiem jesteśmy w takiej sytuacji, że nie stać nas na doganianie świata pełnym frontem, we wszystkich aspektach życia zbiorowego i indywidualnego, bez wyboru, refleksji i oceny. Najwydajniejsza jest własna droga, maksymalnie dopasowana do możliwości wewnętrznych i do integracyjnej strategii socjalistycznej wspólnoty.

Bez programu, bez długofalowej koncepcji rozwoju wyścig ten — nawet jeśli treść wyzwania nas drażni i upokarza — jest bez sensu. Metoda drobnych kroków — od jednej załatwionej sprawy do kolejnej — wobec naszej powszechnie znanej mizerii (większej w subiektywnych ocenach niż w rzeczywistości) wydaje się być jedynie możliwa. Jednak to mniemanie jest błędne, albowiem układ sił społecznych jest taki, że nie da się zdyskontować pojedynczych osiągnięć, nawet sukcesów, bez nanizania ich na mocną linię konkretnego programu, któremu wszystko musi być podporządkowane. Stan głębokich ciągle zróżnicowań politycznych i jednoczesnej apatii (która jeszcze nie ustąpiła) sprzyja bowiem lekceważeniu „małych kroków" i wyolbrzymianiu możliwych niepowodzeń, nawet w sprawach drugorzędnych.

W wysoce niestabilnych układach społecznych łatwiej dochodzi do „zarażania klęskami" niż do „epidemii osiągnięć". Jakaś wpadka — polityczna czy gospodarcza — nawet drobna, łatwiej budzi wrażenie, że inne sprawy, społecznie ważniejsze, mogą też pójść źle. Natomiast pojedyncze sukcesy daleko trudniej torują drogę przekonaniu, że z innymi problemami też sobie poradzimy.

Długoterminowy i odpowiednio atrakcyjny program może temu zjawisku — wynikającemu wprost z pewnych prawideł psychologii społecznej — zaradzić tak długo, jak długo wizja rozwoju każe nam wszystkim koncentrować się nie na tym, co się udaje czy nie udaje, ale na tym, co jeszcze pozostało do zrobienia.

6.

Pozostaje do rozstrzygnięcia problem granic „wizjonerstwa" i języka, w jakim program należy formułować. Z jednej strony nie można sobie pozwolić na suchy zestaw wskaźników statystycznych i lapidarne sformułowanie celów politycznych czy społecznych z jednoczesnymi rozważaniami teoretycznymi, w jakim właśnie miejscu — z doktrynalnego punktu widzenia — budownictwa socjalistycznego ustroju się znajdujemy. Z drugiej zaś strony niemożliwa jest konstrukcja programu oparta o poetykę właściwą literaturze science fiction. Pierwszy będzie niezrozumiały, drugi może wzbudzać tylko wruszenie ramion...

Pozostaje tylko jedna droga — znalezienie atrakcyjnego i przemawiającego do przeciętnej, obywatelskiej wyobraźni sposobu przełożenia celów strategicznych rozwoju i wybranych dróg postępowania na język dostępny średniemu intelektowi „leniwego obywatela".

7.

Obowiązek programotwórstwa — z racji przepisu Konstytucji — spoczywa na Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Obowiązek ten został podjęty.

Dyskusja programowa jest najważniejszym fragmentem kampanii partyjnej przed X Zjazdem. Idzie wszakże o to, by nie koncentrowała się ona wyłącznie wśród członków partii. Jedynym sposobem na wciągnięcie wszystkich środowisk opiniotwórczych (które już uczestniczą w społecznym dialogu) w tryby dyskusji na płaszczyźnie programowej jest zbudowanie trwałego przekonania, że nie jest to tylko wewnętrzna sprawa partii. Przyznaję, że nie wiem dokładnie, jak to zrobić. Wiem tylko, że od werbalnych deklaracji skuteczniejsze są fakty — czyli w istocie sposób prowadzenia bieżącej polityki państwa w dwóch podstawowych kwestiach, które interesują obywateli. Są to: skuteczne rozwiązywanie kłopotów gospodarczych i postępy „małej demokracji", to znaczy wspólnoty rządzenia w sprawach elementarnych i w najbliższym otoczeniu każdego z nas.

Wyniki działania władz obieralnych i administracji w tej mierze, i to od szczebla gminy, przedsiębiorstwa aż po rząd i Sejm, mogą przesądzić o społecznym zainteresowaniu programem politycznym partii.

8.

Organizatorskie i intelektualne wsparcie dla organów władzy przedstawicielskiej przybiera na ogół formy skonwencjonalizowane. Partie i organizacje polityczne uczestniczące w koalicyjnym systemie sprawowania władzy mają wypracowane, sobie właściwe formuły tej pracy. I nimi nie chcę się tu zajmować.

Pozostańmy przy ocenie niektórych nowych inicjatyw w tej mierze, wśród których centralne miejsce zajmuje działalność Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego.

Z kilku ostrożnych enuncjacji członków centrali PRON i publikacji prasowych wyziera opinia o pewnym kryzysie tożsamości, który przeżywa Ruch. Na przykład prof. Mikołaj Kozakiewicz w wywiadzie dla „Życia Warszawy" wyraził obawę o przyszłość PRON, pozbawionego tak sprecyzowanego celu, jakim były wielkie kampanie polityczne ostatnich czterech lat. Z wielu wypowiedzi działaczy PRON różnych szczebli podstawowych, cytowanych przez Ryszardę Kazimierską w „Życiu Warszawy" („Przyszłość PRON. Szanse i bariery" — nr 7 — 86.01.09.), wynika, że opada społeczne zainteresowanie działalnością Ruchu, że jego wartość w skali lokalnej maleje, że mniej liczą się z nim lokalne administracje i władze, że zamiera krytycyzm. No cóż, są to zjawiska poniekąd naturalne i ich zwalczanie wymaga pewnej konsolidacji i siły, bo same słowne deklaracje słuszności płynące „z góry" i chęci „dołów" nie wystarczą. Istota wpływów politycznych polega na walce nie umowach...

Tymczasem w interesującej nas kwestii wsparcia dla obieralnej władzy w niektórych środowiskach PRON, m.in. w Katowicach i Krakowie, pojawiły się rokujące nadzieje inicjatywy, jeżeli tylko przełamana zostanie pewna psychiczna bariera zniechęcenia „odtrąconych". Mam tu na myśli nieformalne kluby „byłych kandydatów i kandydatów na kandydatów", którzy odpadli w fazach procesu wyborczego.

Ludzie ci reprezentują spory kapitał doświadczeń politycznych i społecznych, toteż próby utworzenia z nich lokalnych ciał doradczych dla naszych przedstawicieli w Sejmie należy powitać z uznaniem. Gdyby nie te sztuczne urazy i poczucie osobistej klęski płynące z faktu wyeliminowania w wyborach, to pożytki z takiego ciała konsultacyjnego mogłyby być nieocenione. Zastanawiam się, w ilu przypadkach uda się tę barierę przezwyciężyć...

9.

Poza strukturami PRON jest równie wiele interesujących możliwości wsparcia dla posłów. Przede wszystkim winny o to zadbać Wojewódzkie Zespoły Poselskie i sami posłowie. Jedną z takich form winno być, praktykowane już przez wielu członków parlamentu w poprzednich kadencjach, grupowanie wokół siebie kręgów przyjaciół, ekspertów i konsultantów, — bez formalnych związków, po prostu prywatnie.

Natomiast zespoły winny zadbać — poza techniczno-prawną obsługą — o organizowanie trwałego układu stosunków posłów z wyborcami, nie tylko poprzez konwencjonalne dyżury i tzw. spotkania w terenie. Rzeczą ważną jest podejmowanie interwencji i zbieranie postulatów, ale jeszcze ważniejszą — poszukiwanie, a nawet wymuszanie obywatelskich opinii w sprawach bieżących i strategicznych.

Nowe możliwości stwarza dla całego Sejmu Rada Społeczno-Gospodarcza, ale i dla posłów w okręgach (proporcjonalnie przypada jeden członek Rady na dwóch posłów), bo przecież ci ludzie, pracujący bezpośrednio w przemyśle, rolnictwie czy innych działach gospodarki i administracji mogą i muszą być ważnymi konsultantami, gdyż posłowie z natury swych obowiązków są słabiej związani ze swoimi miejscami zawodowej aktywności.

I w końcu propozycja najistotniejsza dla byłych „leniwych obywateli" — najważniejsza, ale nie jedyna z możliwych: Obywatelskie Kluby Doradcze, grupujące w okręgach czy nawet miejscach zamieszkania posłów, tych obywateli, którzy z własnej woli zdecydują się pomagać swoim reprezentantom. Sądzę, że taka pomoc winna koncentrować się na kwestii badania i ujawniania opinii społecznej w sprawach, które podejmują Sejm i jego komisje. Oczywiście powstanie takich ciał społecznych zależne jest w dużej mierze od aktywnej postawy samych posłów, którym może to być potrzebne. Sądzę, że jest możliwe takie zaktywizowanie wyborców w lokalnych środowiskach, aby takie luźne formalnie, ale ścisłe intelektualnie więzi obywatelskie powstawały. Nie tylko na rzecz posłów, ale i radnych lub innych przedstawicieli.

A przy okazji organizacje polityczne będą miały ułatwioną drogę do przyjrzenia się swej „rezerwie kadrowej". Bo przecież następne wybory już za trzy lata — do rad narodowych; a za cztery — do Sejmu, który, mam nadzieję, będzie bardziej obywatelski, a mniej sformalizowany, niż obecny.

ze str. 1

ła czysta i zdrowa. Ba, ale jak?

Pozostawiona sobie niewielka Mosina drży na myśl o mimowolnym skażeniu źródła wody. Nakazuje swoim mieszkańcom zacisnąć pasa, bo każdy następny litr ścieków przybliża dzień tragedii. A oczyszczalni ciągle nie ma. Poznań zamiast chuchać i dmuchać na stróża swego zdrowia i luksusu, jest głuchy na mosińskie wołanie o rozwagę.

NAIWNEMU BIADA

Przed kilkunastoma laty aglomeracja poznańska pilnie poszukiwała nowych źródeł wody dla ludności i przemysłu. Badania geologiczne wykazały, że bogate pokłady życiodajnego płynu zalegają w okolicach miasteczka Mosina, dwadzieścia kilometrów na południe od stolicy Wielkopolski. Paląca potrzeba nakazuje niezwłocznie przystąpić do budowy ujęcia i przypomina wielkiemu sąsiadowi, w czyim interesie dopomina się obiecanej inwestycji. Nie pomagają ostrzeżenia, że być może jutro żrące ścieki zatrują wodę w ujęciach. Poznań milczy. Poznań zachowuje się tak, jakby miał podpisany z przyrodą jednostronny układ o nieagresji.

Dopiero w 1979 roku władze Mosiny zostają łaskawie poinformowane, że pierwszym warunkiem ewentualnego przystąpienia do budowy oczyszczalni jest sporządzenie i przedstawienie szczegółowej dokumentacji, którą ma opracować natrętny wierzyciel — czyli miasto i gmina. Na odczepnego, a może dla zamanifestowania szlachetnych intencji, Poznań sprowadza w rejon planowanej budowy kilka maszyn, które nigdy do niczego nie posłużą.

Wymagana dokumentacja jest przygotowywana w trybie ekspresowym. Lecz nadchodzi rok 1980, a wraz z nim symptomy ekologicznego szoku. Jest znacznie gorzej niż sądzono. Wielkopolska stepowieje, dramatycznie obniża się poziom wód gruntowych, głównie za sprawą nie przemyślanych decyzji inwestycyjnych zakłócających stan środowiska naturalnego i układów wodnych. Susze najdotkliwiej odczuwają mieszkańcy ponad dwustu wsi, do których wodę transportuje się beczkowozami. Tutejsze rzeki i jeziora, skutkiem wieloletniego „karmienia" ich ściekami przemysłowymi, nie podpadają nawet pod najgorszą trzecią klasę czystości. Warta w pięćdziesięciu procentach swego biegu jest de facto ściekiem. Obszar aglomeracji poznańskiej zostaje uznany za teren szczególnego zagrożenia ekologicznego. Problem małej Mosiny ginie nagle w gąszczu apokaliptycznych wizji.

W 1980 roku wchodzą w życie zrewidowane normy sanitarne dla instalacji ściekowych. Dokumentacja budowy mosińskiej oczyszczalni nie odpowiada tym normom. Trzeba przedstawić nowy projekt, chociaż realne szanse na szybkie rozpoczęcie budowy są niewielkie. Dziura w budżecie wojewódzkim zniechęca do upominania się o przydział środków. Impas trwa.

WEGETACJA

Odpowiedzialność za czystą wodę dla Poznania zmusza Mosinę do podejmowania decyzji spychających miasto na granice wegetacji. Decyzje te godzą w interesy mieszkańców. Z chwilą ich wydania w miasteczku wstrzymano budowę domów, bloków i wszelkich obiektów, które mogłyby wypuszczać ścieki komunalne. Płyną nieustanne apele do mieszkańców o podejmowanie czynów na rzecz ochrony naturalnego środowiska. Właściciele domków jednorodzinnych są zobowiązani do wykonania trwałych, dobrze zabezpieczonych szamb. Rolnicy gospodarujący w pasie strefy ochronnej otrzymują specjalne instrukcje wysiewania nawozów sztucznych. Dostają też pojemniki na odpadki chemiczne. Cała ta akcja przypomina harcerski alert, niestety wyłącznie o znaczeniu doraźnym. Jedyną szansą dla miasta jest bowiem tylko oczyszczalnia ścieków.

Życie w miasteczku staje się coraz trudniejsze. Ludzie dotkliwie odczuwają skutki zaciskania pasa w imię wygody poznaniaków. Niektórzy po cichu buntują się: próbują stawiać domy bez zezwolenia. Inni nielegalnie podłączają się do sieci kanalizacyjnej. Przemysł dławi się ściekami krążącymi w obiegu zamkniętym. Wszyscy pytają: jak długo jeszcze?

Tymczasem w Poznaniu ustala się skalę potrzeb inwestycyjnych dla ratowania środowiska naturalnego. Oczyszczalnia ścieków zaliczana jest do zadań pierwszoplanowych. Uchwałą Wojewódzkiej Rady Narodowej w Poznaniu rozpoczęcie budowy oczyszczalni ma nastąpić w 1985 roku. Ale za uchwałą nie idą czyny. W kolejnych planach rocznych mosińska inwestycja ciągle się nie mieści.

Mieszkańcy Mosiny podejrzewają, że wielki i bezwzględny sąsiad znowu próbuje ich wymanewrować obietnicami. Skądinąd wiadomo przecież, że Poznań nosi się z zamiarem rozbudowy mosińskiego ujęcia, aby czerpać stąd czterokrotnie więcej wody niż dotychczas. Planuje się budowę stacji uzdatniania oraz dużego rurociągu. Wszystko dla Poznania. A Mosina ma pokornie stać na straży interesów wielkiego sąsiada. Jeszcze mocniej zacisnąć pasa i czekać.

Mosina nie chce dłużej czekać. Chce żyć w zgodzie z przyrodą i bez ciągłego niepokoju o czystość wody w ujęciu. Ale własnymi siłami nie zdoła wybudować oczyszczalni. Gdyby dać wiarę kolejnym obietnicom, to uporządkowanie gospodarki ściekowej miasta nie nastąpi wcześniej niż za osiem lat. Kto zaręczy, że jutro nie dojdzie do tragedii?

SUPLEMENT

Ponad połowa naszych miast i miasteczek nie posiada oczyszczalni ścieków, a i te funkcjonujące są w większości prymitywne, bowiem ich rola sprowadza się jedynie do mechanicznej obróbki nieczystości, pomijając chemiczne i biologiczne uzdatnianie. Na liście miast trucicieli figuruje także Warszawa — notabene druga obok Tirany stolica europejska, która nie dorobiła się oczyszczalni ścieków. Największe przemysłowe ośrodki wypuszczają swe odchody wprost na łono przyrody. Corocznie natura zatruwana jest dawką ponad dwóch miliardów metrów sześciennych nieczystości płynnych. Odbierają je głównie wody naszych największych rzek. Ponad trzydzieści procent rzek i strumyków zamieniliśmy w regularne rynsztoki. Ciecz w nich płynąca nie jest nawet klasyfikowana jako woda, tylko jako geste ścieki. Praktycznie nie istnieją już Ner, Bug i Bzura. Dwadzieścia sześć procent cieków wodnych zalicza się do najgorszej, trzeciej klasy czystości. Życie biologiczne przetrwało jedynie w kilku rzekach — niecałe dziesięć procent może wykazać się pierwszą klasą czystości wód. Cudem ocalała Raba, Gwda i Wisłoka. Połowa jezior kumuluje ścieki komunalne — trzynaście procent skutecznie zamieniliśmy w szamba.

Będąc krajem średnio uprzemysłowionym, produkujemy tyle zanieczyszczeń ile światowa czołówka przemysłowa, a do środowiska wypuszczamy znacznie więcej. Już dziś należymy do krajów o najbardziej zanieczyszczonych wodach na świecie. Trujemy się, bo ponad wszystko lubimy pieniądze. Za oczyszczenie jednego metra sześciennego ścieków musimy zapłacić średnio dziewięć złotych, tymczasem za wprowadzenie nie oczyszczonych ścieków do rzek, jezior i gleby płacimy karę nie przekraczającą półtora złotego. Dzięki temu najwięksi truciciele gwiżdżą sobie na ochronę środowiska i lekką ręką wypłacają żądane kary, grubo mniejsze od kosztów budowy oczyszczalni. Kopalnia węgla „Czeczot" zapłaciła karę pół miliarda złotych, zakłady chemiczne w Oświęcimiu — ćwierć miliarda, huta „Katowice" — dziewięćdziesiąt milionów. Ścieki popłynęły rzekami.

My zaś usilnie szukamy czystej wody. Mamy dziesięcioprocentowy jej niedobór. Deficyt odczuwa cały obszar nizin, najdotkliwiej Kujawy i Wielkopolska. Wiercimy studnie głębinowe, a potem bezmyślnie degenerujemy ujęcia tak, że woda nie nadaje się do żadnych celów. Sto miast i 10 tysięcy miejscowości utrzymują przy życiu beczkowozy. Ponad siedemdziesiąt procent ujęć wody pitnej już zanieczyściliśmy. Gdyby rygorystycznie przestrzegać norm sanitarnych, już dziś należałoby je zamknąć.

W 1985 roku wybudowaliśmy dwieście oczyszczalni ścieków. W tym roku planujemy wybudować jeszcze więcej. Chcąc tylko zahamować degradację środowiska, należałoby na podobne przedsięwzięcia przeznaczyć dziesięć procent wszystkich środków inwestycyjnych. Nie mamy wyboru.

ROMAN KUBIAK

Ultimatum karła

instalacji wodociągowej. Są środki finansowe i sprzęt, ekipy wyruszają do prac.

Zgodnie z wymogami sanitarnymi teren przylegający do ujęcia powinien być przekształcony w strefę ochronną, to znaczy powinien być wolny od potencjalnych źródeł zanieczyszczenia gleby oraz wody. W przypadku ujęcia mosińskiego warunek ten może jednakże zostać spełniony dopiero po całkowitym zneutralizowaniu ścieków miejskich i przeniesieniu trzech wiosek zlokalizowanych w pasie strefy ochronnej. Władze wojewódzkie biorą więc na siebie obowiązek rychłego wybudowania oczyszczalni ścieków, co zagwarantuje Poznaniowi ciągłość dostaw nieskażonej, dobrej jakościowo wody. Mosina zaś będzie mogła rozwijać się bez obawy o zatrucie obu podpoznańskich ujęć. Wszyscy mają być zadowoleni, najbardziej przyroda.

Lecz epoka kroczącego sukcesu, która właśnie panuje niepodzielnie, dobrze widzi spektakularne efekty, a jakby nieco słabiej dostrzega sens działań zapobiegawczych. Budowa oczyszczalni ścieków należy niestety do tych drugich. Pochłania znaczne nakłady, dając w zamian raczej skromny dla ludzi wielkiego czynu efekt: trochę oczyszczonej wody. A przecież czysta woda nic nie kosztuje, wystarczy przewiercić się do nowych jej złóż i sprawa załatwiona. Toteż Poznań koncentruje siły i środki wyłącznie na budowie ujęcia i wodociągu. W pasie wyznaczonej strefy ochronnej rolnicy najspokojniej w świecie rozsiewają nawozy sztuczne i chemikalia, bo na razie nie ma koncepcji, co z tym fantem zrobić. Mosińskie ścieki cuchną coraz bardziej, ale wielkiego sąsiada od tego głowa nie boli. Wielki sąsiad zajęty jest myślą o szybkim i tanim przyssaniu się do pokładów czystej wody. Wre praca na wodociągu.

Mosina cierpliwie czeka. Niebawem fanfary, bukiety kwiatów i hojnie rozdawane premie oznajmiają, że Poznań zaspokoił pragnienie. Zaraz też cały sprzęt budowlany z nowego ujęcia zostaje przerzucony na inną, równie, priorytetową inwestycję, a wokół Mosiny zapada głucha cisza. Władze gminy zrazu nieśmiało, potem coraz natrętniej przypominają o zobowiązaniach, lecz zwierzchnicy ukojeni tanim sukcesem odwracają się od ubogiego sąsiada. Padają ciężkie argumenty: brak pieniędzy. Ścieki i czas płyną wartko.

Władze Mosiny doskonale zdają sobie sprawę z tego, że postawiono je na straży skarbu którego same nie potrafią upilnować. Wcześniej czy później woda w ujęciu musi ulec skażeniu, co niechybnie wywoła epidemiczne zatrucie poznaniaków. Konsekwencja tego faktu będzie zamknięcie ujęcia, co z kolei grozi nieobliczalnymi stratami w gospodarce komunalnej i przemyśle stolicy województwa. Jeśli dojdzie do katastrofy, należy spodziewać się gorączkowego poszukiwania winnych, może nawet ofiarnego kozła. Dlatego Mosina czuje się w roli cerbera, któremu pan nie raczy rzucić ochłapu z wojewódzkiej misy.

Poznań uparcie zdradza ciągoty samobójcze. Mosina stale przypomina wielkiemu sąsiadowi, w czyim interesie dopomina się obiecanej inwestycji. Nie pomagają ostrzeżenia, że być może jutro żrące ścieki zatrują wodę w ujęciach. Poznań milczy. Poznań zachowuje się tak, jakby miał podpisany z przyrodą jednostronny układ o nieagresji.

Dopiero w 1979 roku władze Mosiny zostają łaskawie poinformowane, że pierwszym warunkiem ewentualnego przystąpienia do budowy oczyszczalni jest sporządzenie i przedstawienie szczegółowej dokumentacji, którą ma opracować natrętny wierzyciel — czyli miasto i gmina. Na odczepnego, a może dla zamanifestowania szlachetnych intencji, Poznań sprowadza w rejon planowanej budowy kilka maszyn, które nigdy do niczego nie posłużą.

Wymagana dokumentacja jest przygotowywana w trybie ekspresowym. Lecz nadchodzi rok 1980, a wraz z nim symptomy ekologicznego szoku. Jest znacznie gorzej niż sądzono. Wielkopolska stepowieje, dramatycznie obniża się poziom wód gruntowych, głównie za sprawą nie przemyślanych decyzji inwestycyjnych zakłócających stan środowiska naturalnego i układów wodnych. Susze najdotkliwiej odczuwają mieszkańcy ponad dwustu wsi, do których wodę transportuje się beczkowozami. Tutejsze rzeki i jeziora, skutkiem wieloletniego „karmienia" ich ściekami przemysłowymi, nie podpadają nawet pod najgorszą trzecią klasę czystości. Warta w pięćdziesięciu procentach swego biegu jest de facto ściekiem. Obszar aglomeracji poznańskiej zostaje uznany za teren szczególnego zagrożenia ekologicznego. Problem małej Mosiny ginie nagle w gąszczu apokaliptycznych wizji.

W 1980 roku wchodzą w życie zrewidowane normy sanitarne dla instalacji ściekowych. Dokumentacja budowy mosińskiej oczyszczalni nie odpowiada tym normom. Trzeba przedstawić nowy projekt, chociaż realne szanse na szybkie rozpoczęcie budowy są niewielkie. Dziura w budżecie wojewódzkim zniechęca do upominania się o przydział środków. Impas trwa.

WEGETACJA

Odpowiedzialność za czystą wodę dla Poznania zmusza Mosinę do podejmowania decyzji spychających miasto na granice wegetacji. Decyzje te godzą w interesy mieszkańców. Z chwilą ich wydania w miasteczku wstrzymano budowę domów, bloków i wszelkich obiektów, które mogłyby wypuszczać ścieki komunalne. Płyną nieustanne apele do mieszkańców o podejmowanie czynów na rzecz ochrony naturalnego środowiska. Właściciele domków jednorodzinnych są zobowiązani do wykonania trwałych, dobrze zabezpieczonych szamb. Rolnicy gospodarujący w pasie strefy ochronnej otrzymują specjalne instrukcje wysiewania nawozów sztucznych. Dostają też pojemniki na odpadki chemiczne. Cała ta akcja przypomina harcerski alert, niestety wyłącznie o znaczeniu doraźnym. Jedyną szansą dla miasta jest bowiem tylko oczyszczalnia ścieków.

Życie w miasteczku staje się coraz trudniejsze. Ludzie dotkliwie odczuwają skutki zaciskania pasa w imię wygody poznaniaków. Niektórzy po cichu buntują się: próbują stawiać domy bez zezwolenia. Inni nielegalnie podłączają się do sieci kanalizacyjnej. Przemysł dławi się ściekami krążącymi w obiegu zamkniętym. Wszyscy pytają: jak długo jeszcze?

Tymczasem w Poznaniu ustala się skalę potrzeb inwestycyjnych dla ratowania środowiska naturalnego. Oczyszczalnia ścieków zaliczana jest do zadań pierwszoplanowych. Uchwałą Wojewódzkiej Rady Narodowej w Poznaniu rozpoczęcie budowy oczyszczalni ma nastąpić w 1985 roku. Ale za uchwałą nie idą czyny. W kolejnych planach rocznych mosińska inwestycja ciągle się nie mieści.

Mieszkańcy Mosiny podejrzewają, że wielki i bezwzględny sąsiad znowu próbuje ich wymanewrować obietnicami. Skądinąd wiadomo przecież, że Poznań nosi się z zamiarem rozbudowy mosińskiego ujęcia, aby czerpać stąd czterokrotnie więcej wody niż dotychczas. Planuje się budowę stacji uzdatniania oraz dużego rurociągu. Wszystko dla Poznania. A Mosina ma pokornie stać na straży interesów wielkiego sąsiada. Jeszcze mocniej zacisnąć pasa i czekać.

Mosina nie chce dłużej czekać. Chce żyć w zgodzie z przyrodą i bez ciągłego niepokoju o czystość wody w ujęciu. Ale własnymi siłami nie zdoła wybudować oczyszczalni. Gdyby dać wiarę kolejnym obietnicom, to uporządkowanie gospodarki ściekowej miasta nie nastąpi wcześniej niż za osiem lat. Kto zaręczy, że jutro nie dojdzie do tragedii?

SUPLEMENT

Ponad połowa naszych miast i miasteczek nie posiada oczyszczalni ścieków, a i te funkcjonujące są w większości prymitywne, bowiem ich rola sprowadza się jedynie do mechanicznej obróbki nieczystości, pomijając chemiczne i biologiczne uzdatnianie. Na liście miast trucicieli figuruje także Warszawa — notabene druga obok Tirany stolica europejska, która nie dorobiła się oczyszczalni ścieków. Największe przemysłowe ośrodki wypuszczają swe odchody wprost na łono przyrody. Corocznie natura zatruwana jest dawką ponad dwóch miliardów metrów sześciennych nieczystości płynnych. Odbierają je głównie wody naszych największych rzek. Ponad trzydzieści procent rzek i strumyków zamieniliśmy w regularne rynsztoki. Ciecz w nich płynąca nie jest nawet klasyfikowana jako woda, tylko jako geste ścieki. Praktycznie nie istnieją już Ner, Bug i Bzura. Dwadzieścia sześć procent cieków wodnych zalicza się do najgorszej, trzeciej klasy czystości. Życie biologiczne przetrwało jedynie w kilku rzekach — niecałe dziesięć procent może wykazać się pierwszą klasą czystości wód. Cudem ocalała Raba, Gwda i Wisłoka. Połowa jezior kumuluje ścieki komunalne — trzynaście procent skutecznie zamieniliśmy w szamba.

Będąc krajem średnio uprzemysłowionym, produkujemy tyle zanieczyszczeń ile światowa czołówka przemysłowa, a do środowiska wypuszczamy znacznie więcej. Już dziś należymy do krajów o najbardziej zanieczyszczonych wodach na świecie. Trujemy się, bo ponad wszystko lubimy pieniądze. Za oczyszczenie jednego metra sześciennego ścieków musimy zapłacić średnio dziewięć złotych, tymczasem za wprowadzenie nie oczyszczonych ścieków do rzek, jezior i gleby płacimy karę nie przekraczającą półtora złotego. Dzięki temu najwięksi truciciele gwiżdżą sobie na ochronę środowiska i lekką ręką wypłacają żądane kary, grubo mniejsze od kosztów budowy oczyszczalni. Kopalnia węgla „Czeczot" zapłaciła karę pół miliarda złotych, zakłady chemiczne w Oświęcimiu — ćwierć miliarda, huta „Katowice" — dziewięćdziesiąt milionów. Ścieki popłynęły rzekami.

My zaś usilnie szukamy czystej wody. Mamy dziesięcioprocentowy jej niedobór. Deficyt odczuwa cały obszar nizin, najdotkliwiej Kujawy i Wielkopolska. Wiercimy studnie głębinowe, a potem bezmyślnie degenerujemy ujęcia tak, że woda nie nadaje się do żadnych celów. Sto miast i 10 tysięcy miejscowości utrzymują przy życiu beczkowozy. Ponad siedemdziesiąt procent ujęć wody pitnej już zanieczyściliśmy. Gdyby rygorystycznie przestrzegać norm sanitarnych, już dziś należałoby je zamknąć.

W 1985 roku wybudowaliśmy dwieście oczyszczalni ścieków. W tym roku planujemy wybudować jeszcze więcej. Chcąc tylko zahamować degradację środowiska, należałoby na podobne przedsięwzięcia przeznaczyć dziesięć procent wszystkich środków inwestycyjnych. Nie mamy wyboru.

ROMAN KUBIAK

Czy dwór w Kalinowej był prototypem „Strasznego dworu"?

TADEUSZ GICGIER

„Gościom przygotowano nocleg w wieży zamkowej. Skołuba sugestywnie opisuje lękliwemu Maciejowi niesamowite zjawiska, jakie się tu rzekomo nocą wydarzają. Istotnie, wnet po wyjściu Skołuby wiszące na ścianie portrety prababek Miecznika zaczynają się poruszać, za jednym bowiem ukryła się Hanna — za drugim Jadwiga. Przerażony Maciej zrywa się do ucieczki; Stefan i Zbigniew, którym przygotowano nocleg w sąsiedniej komnacie, śmieją się z jego zabobonnych obaw, w końcu Zbigniew zabiera Macieja do swojego pokoju, a Stefan pozostaje w narożnej komnacie z zegarem i portretami. Słodkie marzenia opanowują jego duszę i spędzają sen z powiek. Marzą mu się błękitne oczy Hanny, z kolei znów melodia starego kuranta, którego mechanizm uruchomił ukryty w zegarze Damazy, zwraca myśl Stefana ku nieżyjącym już ojcu i matce.

Pojawia się Zbigniew, którego też sen się nie ima, i on bowiem zdążył już zakochać się w Jadwidze. Daremnie obaj bracia nawzajem przypominają sobie swoje „kawalerskie śluby", nie wiedząc, że przysłuchują się im skryte za obrazami obie panny. Po chwili jednak spostrzegają jakiś ruch za obrazami na galerii i na pół źli, na pół rozbawieni wybiegają na poszukiwanie sprawców tych figlów, na straży zaś w komnacie pozostawiają Macieja. Starowina zapada w drzemkę, a Damazy uznaje tę chwilę za najodpowiedniejszą, aby po cichu wymknąć się z zegara. Jednak Maciej budzi się i, dzwoniąc wprawdzie zębami ze strachu, przyłapuje nocnego gościa. Stefan i Zbigniew powracają i przekonani, że Damazy chciał z nich zadrwić, żądają od niego satysfakcji. Aby ocalić swą skórę, Damazy opowiada, że skorzystał z obecności młodych rycerzy, aby zbadać prawdziwość legendy głoszącej, że na kalinowskim dworze ciąży klątwa za popełnione w nim niegdyś haniebne czyny, czego jakoby dowodem ma być nazwa „straszny dwór".

Jest to fragment streszczenia trzeciego aktu znanej opery Stanisława Moniuszki, zaczerpnięty z „Przewodnika operowego" Józefa Kańskiego. Czy topografia „Strasznego dworu" i występujące w nim realia mają jakiś odpowiednik w rzeczywistości? Andrzej Ruszkowski, autor przewodnika „Sieradz i okolice", mówił mi, że na to pytanie można odpowiedzieć twierdząco: Kalinów ze „Strasznego dworu", to właściwie Kalinowa w województwie sieradzkim, w której Stanisław Moniuszko niegdyś przebywał, a wspomniana legenda dworska występuje też w innej postaci.

Wybrałem się z Andrzejem Ruszkowskim do Kalinowej. Po drodze zahaczyliśmy o Błaszki, gdzie w miejscowym liceum pracuje opiekun kalinowskiego zabytku, nauczyciel geografii i działacz turystyczny, pan Włodzimierz Marszałek. Pytam Włodzimierza Marszałka, skąd wzięły się jego turystyczne zainteresowania?

— *Zaczęło się wszystko w tej samej szkole, w której obecnie pracuję. Ówczesny jej dyrektor, Józef Piliński, był równocześnie opiekunem koła turystyczno-krajoznawczego, organizował obozy wędrowne i często obwoził nas po okolicznych miejscowościach. Byłem wtedy młody, bardzo to mi się podobało i po prostu mnie wciągnęło, tak, że obierając potem kierunek studiów poszedłem za głosem swych rozbudzonych zamiłowań.*

— Czy na trasach waszych wędrówek znajdowała się już wtedy Kalinowa?

— *No, do Kalinowej dotarłem znacznie wcześniej, byłem tam już jako kilkuletni chłopiec ze swym ojcem. Wtedy właśnie po raz pierwszy usłyszałem o tym, że „Straszny dwór" Stanisława Moniuszki został oparty na legendzie związanej z tą miejscowością.*

— Obecnie, jak mi wiadomo, ma pan z Kalinową ściślejszy związek?

— *Tak, ponieważ jestem przewodniczącym Wojewódzkiej Komisji Turystyki Pieszej w Sieradzu i z racji organizowania wycieczek, znakowania szlaków turystycznych właśnie Kalinową powierzono mej opiece. Podjąłem się tego chętnie, bowiem w Kalinowej znajduje się szereg interesujących obiektów, które nie tylko mają swoją historię, ale z którymi wiąże się wiele ciekawych podań i przekazów.*

— *Dwór zwany „strasznym", jak kolega przed chwilą wspominał* — dodaje Andrzej Ruszkowski — *miał podziemne połączenie z położonym niedaleko kościołem, wywodzącym się z okresu gotyku i stojącym do dnia dzisiejszego. Kościół ten w okresie wojen, bo tutaj przecież sięgały najazdy tatarskie, pełnił funkcję obronną i stawał się schronieniem dla okolicznej ludności.*

— *Przekazy mówią* — uzupełnia Włodzimierz Marszałek — *że tunel łączący dwór z kościołem ma jeszcze przedłużenie do położonych o kilka kilometrów dalej Sędzimirowic, o czym mają świadczyć przypadki zapadania się ziemi w niektórych miejscach.*

A więc nie tylko Moniuszko, „Straszny dwór" i wiek XVIII, ale i czasy dawniejsze. Jedziemy razem do Kalinowej i odwiedzamy najpierw dyrektora miejscowej szkoły, Władysława Żurkowskiego.

— *Trochę zbierałem różnych opowieści o Kalinowej, ale ich nie spisywałem* — mówi Władysław Żurkowski. — *Interesowałem się także historią wsi i jej dawnymi właścicielami. Była to stara i słynna rodzina Zarębów, z której wywodziło się wielu ludzi znanych i zasłużonych, wśród nich kilku wojewodów i kasztelanów sieradzkich.*

— *Jeśli idzie o legendę związaną z dworem* — włącza się Andrzej Ruszkowski — *to opowiada się często, że niegdyś we dworze żyła rodzina obdarzona dużą ilością córek. Córki te były niezwykle urodziwe i przyciągały z całej okolicy pięknych i zasobnych młodzieńców. Matki córek z innych dworów, zazdrosne o to powodzenie, zaczęły szerzyć opowieści, że w kalinowskim dworze grasują duchy, że tam straszy. Owe duchy miały być straszakiem odstręczającym konkurentów panien od dworu w Kalinowej, a wszystko po to, aby zaczęli oni odwiedzać również inne dwory.*

— *Coś w tej legendzie jest, ja doświadczyłem tego na własnej skórze* — ciągnie Władysław Żurkowski. — *Bo i ja w tym dworze wpadłem. To znaczy wpadłem w siała małżeńskie. Mianowicie w latach 1949—1960 w pałacu mieściła się szkoła, w której zacząłem pracować i tam właśnie poznałem swoją przyszłą żonę. Gdy pałac zaczęto remontować, szkołę przeniesiono do niedużego budynku przy kościele. Był to budynek bardzo ciasny i w końcu musiano pobudować nową szkołę, tę, w której się obecnie znajdujemy. Natomiast dwór po remoncie oddano na laboratorium Stacji Hodowli Roślin i prowadzi się tu doświadczenia z burakiem cukrowym. Nie jest to chyba najwłaściwsze przeznaczenie, bo w pomieszczeniach piwnicznych pracują maszyny, cały budynek drży i na dobre mu to zapewne nie wychodzi.*

I wreszcie cel naszej podróży — dwór w Kalinowej. Po tylu opowieściach o nim doznaje pewnego zawodu: dwór nie jest zbyt okazały, tyle że zadbany, świeżo powleczony tynkiem.

— *Pierwotny dwór i fortalicjum obronne, które w tym miejscu istniało, odeszło już w przeszłość, nie ma prawie żadnych śladów po nim* — mówi Andrzej Ruszkowski. — *Dwór, przed którym stoimy, pochodzi z wieku XVII i został wybudowany przez Łubieńskich. To drugi słynny ród obok Zarębów. Wiele uwagi poświęcił mu Marian Brandys w swej książce „Koniec świata szwoleżerów". Nie wspomina jednak o tym, że Łubieńscy wywodzili się z ziemi sieradzkiej. Jest tu niedaleko wioska Łubna związana z ich nazwiskiem, jest szereg obiektów, które oni fundowali, między innymi piękny kościół we wsi Wągłczew.*

Jeśli idzie o dwór w Kalinowej, jest on wprawdzie wpisany do rejestru zabytków, ale tylko ze względu na jego bryłę. Wnętrza dworu zostały po ostatniej wojnie gruntownie przebudowane i wartość zabytkową, niestety, straciły. Zachowała się tylko część stropów piwnicznych. Usytuowany jest natomiast w bardzo ciekawym miejscu. Otacza go fosa obronna, połączona ze stawem, na którym znajduje się wyspa.

— *Według starych przekazów* — dopowiada Włodzimierz Marszałek — *na wyspie koncertowała kapela dworska, witając przybywających gości i przygrywając im w czasie przyjęć plenerowych. Istniał tu także kiedyś park o założeniu angielskim, w tej chwili zaniedbany: zostały tylko jego resztki. Był też zwodzony most, teraz na jego miejscu znajduje się most stały łączący dwór z resztą wsi.*

Patrzymy na stojący nie opodal dworek modrzewiowy. To właśnie w nim podobno mieszkał Stanisław Moniuszko, goszczony przez ówczesnych właścicieli Kalinowej. Nie ma, niestety, żadnych pisanych dowodów, które by potwierdzały ten fakt, ale tak utrzymują do dzisiaj starzy miejscowi mieszkańcy. Są oni bardzo dumni z tego, że legenda związana z kalinowskim dworem zainspirowała Moniuszkę do skomponowania opery. Wielka szkoda, że ten dworek nie istnieje już w swojej dawnej postaci: jest kryty eternitem, a niegdyś był kryty gontem, nie widać również modrzewiowego drewna, ponieważ zostało otynkowane.

Idziemy jeszcze obejrzeć miejscowy kościół, również obiekt zabytkowy.

— *Jest to kościół pod wezwaniem św. Marii Magdaleny* — mówi Andrzej Ruszkowski. — *Został wybudowany w latach 1465—1466. Jego fundatorem był Jan Zaręba, kasztelan sieradzki. Podobno, jak głosi legenda, kościół został wzniesiony jako zadośćuczynienie za grzechy tegoż kasztelana. Kościół jest jednonawowy murowany z cegły o układzie polskim. Nie zachowało się w nim dużo cennych zabytków, przetrwały m.in. dawne portale i dwa gotyckie okna. Ale jest coś, na co warto zwrócić uwagę, bo to niezwykła rzadkość. Na gotyckiej cegle, proszę tu spojrzeć, widać wyraźnie kilka wydrążonych okrągłych dołków. Skąd one się wzięły? Na ich temat również krążą różne opowieści, najczęściej chyba zmyślone. W istocie jest to dowód na to, że tutaj niecono kiedyś ogień przy pomocy świdrów ogniowych. Było to urządzenie składające się z zaostrzonej pałeczki, którą z jednej strony przystawiano do cegły, a z drugiej do deseczki o innej niż cegła twardości. Niecący ogień wprowadzał pałeczkę w ruch obrotowy, w wyniku czego wżerała się ona z jednej strony w cegłę tworząc ten właśnie dołek, a z drugiej wżerając się w deseczkę zażegała tzw. zapał w postaci wysuszonego mchu. W ten właśnie sposób niecono na użytek kościoła ogień, bo zapałki nie były jeszcze znane. Działo się to w okresie średniowiecza, ale ten obyczaj przetrwał jeszcze do XVIII i XIX wieku i zaniknął dopiero z chwilą rozprzestrzenienia się zapałek.*

Niektórzy jednak utrzymują, że są to ślady odbywanej przez grzeszników pokuty. Rzekomo za swoje winy musieli oni drążyć cegłę. Taka zabawna interpretacja przedostała się nawet do jednego z „Przewodników" po dawnym województwie łódzkim.

(2)

Swój chłop i wichrzyciele

PAWEŁ TOMASZEWSKI

„Terenowe organy administracji państwowej są organem wykonawczym i zarządzającym rad narodowych" — Art. 5 p. 3 Ustawy o systemie rad narodowych i samorządu terytorialnego z 20 lipca 1983 r.

1.

Ze Stanisławem Nowakiem, naczelnikiem gminy Maków rozmawiałem we wrześniu 1985 roku. Stwierdził wówczas, że nie czuje się winnym zarzucanych mu czynów, choć przyznaje, iż rzeczywiście może nie wszystkie jego działania godne są pochwały. Aby to jednak zrozumieć, należy brać też pod uwagę intencje, jakie nim kierowały. A te, mówił, zawsze zgodne były ze społecznym interesem.

Gminę Maków utworzono w 1975 roku, aby po dwóch latach dokonać jej likwidacji. Był to oczywisty błąd i dlatego m.in. na skutek społecznych nacisków reaktywowano ją znów w 1982 roku. Kiedy więc wówczas obejmował swoje stanowisko, zaczynać musiał dosłownie od zera, o czym nie wszyscy chcą dzisiaj pamiętać.

Stanisław Nowak mieszka w Skierniewicach i jest emerytowanym wojskowym. Do Makowa przychodzić wcale nie musiał, a jeżeli przyszedł, to tylko po to, aby zrobić jeszcze coś dla kraju. Ponieważ nie znał miejscowego środowiska, uważał, że jeśli z tym czy owym wypije kieliszek wódki, lepiej pozna ludzi i ich problemy. Wiadomo — alkohol rozwiązuje języki. I tak też było. Ale Stanisław Nowak jest też po zawale i jak każdy zawałowiec po kilku kieliszkach ma skłonność do zasypiania. I zdarzało się, że zasypiał, co mogło stwarzać wrażenie, iż jest kompletnie pijany. Stąd też prawdopodobnie ów zarzut o pijaństwo. Zresztą kto na wsi nie pije?... Ale w jego przypadku, to już przeszłość — po ostrzegawczej rozmowie z wojewodą, na oczach ludzi alkoholu nie tyka. Było, minęło...

Zarzut o nieprawidłowe rozdysponowanie funduszu pomocy społecznej zrodził się z kolei zapewne dlatego, że na jednej z sesji GRN przedstawione zostało rozliczenie jedynie zasiłków stałych, z pominięciem innych form pomocy. I tak powstało wrażenie, iż reszta funduszu przepadła gdzieś bez śladu, co jest oczywistą nieprawdą, gdyż kontrola wykazała, że zasiłki przyznawane są prawidłowo, a występują tylko pewne niedociągnięcia w dokumentacji. To jednak jest już winą nie tyle naczelnika, co odpowiedzialnej za ten odcinek pracownicy UG. Zresztą pomoc społeczna — w opinii Stanisława Nowaka — zawsze jest sprawą uznania, czy komuś zasiłek należy się, czy nie. I o tym dyskutować można. Mimo to nie było w Makowie przypadku, aby — jak twierdzą uparcie radni: Eugeniusz Felczyński, Wacław Piencek i Mieczysław Świderek — rodzina z siedmiorgiem dzieci zasiłku nie dostała. Nie zdarzyło się też, że radny nie miał wglądu w rozliczenia. Może nie zawsze otrzymuje je od razu, ale tajemnicy nikt przed nim w UG z tego nie robi.

Bezpodstawne okazały się również zarzuty o nieprawidłowości przy rozdziale ciągników i eternitu. Kontrola wykazała, iż przestrzegano zasad sprawiedliwości społecznej. Faktem jest, natomiast, że tak maszyn, jak i eternitu gmina otrzymuje zbyt mało, więc niezadowolonych nigdy nie brakuje. Ale to już raczej sprawa ludzkiej zawiści, nie zaś — zaniedbania czy kumoterstwa. Podobnie jak w przypadku tych desek z rozebranych magazynów. Zresztą na wszystko są dokumenty.

Zabranie funduszu rozwoju rolnictwa wsi Maków Kolonia — to też nie całkiem było tak, jak mówią ci trzej radni. Otóż 3 maja 1984 roku na zebraniu mieszkańców wsi Maków i Maków Kolonia poprzedzającym wybory do rad, naczelnik Nowak zwrócił się z prośbą do obecnych, aby sołectwa te przekazały dobrowolnie swój fundusz na budowę urzędu gminy, co przyjęte zostało z pełną aprobatą. I taką też zebrani podjęli uchwałę. Błąd polegał może na tym, że mieszkańców Kolonii było zaledwie kilku i to oni zadecydowali za wszystkich. Jesienią radny Wacław Piencek, którego na zebraniu w maju nie było, zapytał, co stało się z funduszem. Naczelnik oczywiście wyjaśnił i dodał, że zwrócić go nie może, gdyż pieniądze zostały już wykorzystane, a poza tym najlepiej niech się o sprawie wypowie samorząd wsi. Być może przychyli się do jego wniosku i zrezygnuje ze zwrotu? I tak też się w końcu stało, choć Wacław Piencek wraz z innymi rolnikami dowodził, iż wieś chciała za te prawie pół miliona kupić wspólną prasę do słomy. Zgodzili się więc wszyscy, tylko Piencek wstrzymał się od głosu. Głosować przeciw nie miał, widać, odwagi. A wieś niejako w zamian dostała meble do świetlicy. Za sto tysięcy.

Odnośnie budowy nowego urzędu gminy, to sprawa jest jeszcze bardziej skomplikowana. Decyzję o tej niezbędnej inwestycji naczelnik Stanisław Nowak podjął po konsultacji z aktywem społeczno-politycznym gminy, m.in. mając na uwadze, że jednym z argumentów za jej likwidacją w 1976 roku był brak odpowiedniego budynku administracyjnego w Makowie. Słowem, potrzeby budowy nikt w zasadzie nie negował.

Opracowanie projektu naczelnik zlecił Kazimierzowi Plakowi, technikowi budowlanemu, zatrudnionemu w Urzędzie Wojewódzkim, zajmującemu się właśnie urządzaniem siedzib gminnej administracji, w nadziei, że jest to najodpowiedniejszy człowiek. Niestety, projekt rodził się bardzo długo, a przekazany został do Makowa bez niezbędnych uzgodnień. Tymczasem udało się już przygotować teren pod budowę i zgromadzić potrzebne materiały. Nie było więc na co czekać i w maju 1984 roku Stanisław Nowak podjął decyzję o rozpoczęciu budowy, licząc, iż w najbliższym czasie zdoła załatwić resztę formalności. Nie zdołał. Weryfikacja projektu przeciągała się, gdyż trzeba było wnieść pewne poprawki, a Wojewódzka Komenda Straży Pożarnych wydała negatywną opinię ze względu na brak drogi pożarowej do budynku (zdaniem naczelnika, tylko na planie!). Kiedy więc w ciągu pięciu zaledwie miesięcy podciągnięto mury do trzeciego piętra, projekt nie był jeszcze zweryfikowany, a co za tym idzie — nie było oficjalnego zezwolenia na budowę, dziennika budowy, itd. I to był poważny błąd! Chociaż, skoro w Skierniewicach o wszystkim wiedziano...

Drugi jego błąd polegał na tym, że nie zapoznał szczegółowo całej GRN z projektem i planami budowy. Jednak i tu na usprawiedliwienie można dodać, że kiedy rozpoczynano budowę, rada liczyła zaledwie połowę swego obecnego składu i np. taki radny Wacław Piencek nie był jeszcze wcale radnym.

Aktualnie sytuacja jest taka — mówi naczelnik we wrześniu 1985 r. — że w wyniku kontroli z UW budowa została wstrzymana, gdyż specjaliści budowlani zgłosili liczne zastrzeżenia pod adresem wykonawców. Na tej też podstawie prowadzona jest ekspertyza budynku. Jej wyniki, zdaniem Stanisława Nowaka, miały być jednak na pewno pozytywne, nieporozumienie ze strażakami — wyjaśnione, pozwolenie na budowę — wydane, i tak potrzebna gminie inwestycja — doprowadzona wreszcie do końca. Nieprawdą jest zatem to, co pisali radni do GIT, że budynek trzeba rozebrać lub obniżyć. Co najwyżej wzmocnione zostaną ściany, dokonane inne poprawki... Zresztą najlepiej poczekać, co powiedzą eksperci.

4.

W jakiś czas po kontroli w Urzędzie Gminy w Makowie wojewoda skierniewicki zobowiązał Gminną Radę Narodową, by do końca lipca 1985 r. wydała opinię o naczelniku. Niestety, z powodu poważnej choroby przewodniczącego rady, Mariana Ceronia terminu nie dotrzymano odkładając wydanie opinii na czas po wyborach do Sejmu.

W tym samym mniej więcej okresie naczelnik Nowak złożył rezygnację na ręce przewodniczącego GRN, który przyjął ją, meldując o tym fakcie wojewodzie. Później jednak, we wrześniu Stanisław Nowak nosił się z zamiarem wycofania rezygnacji — jak mi powiedział — pod naciskiem opinii publicznej.

Rezygnacje złożyli też dwaj członkowie GRN w Makowie: Eugeniusz Felczyński i Mieczysław Świderek. Było to na posiedzeniu prezydium rady, którego są członkami, kiedy to zarzucono im, że są winni zaistniałej sytuacji, że obrazili wojewodę, że gdyby nie oni, budynek już dawno byłby wykończony, itp. Po złożeniu rezygnacji wyszli przed końcem obrad. Później jednak, po spokojnym przemyśleniu sprawy Eugeniusz Felczyński zapowiedział, że on rezygnację swą wycofa i mimo wszystko nadal chce piastować godność zastępcy przewodniczącego GRN w Makowie.

Dużo wcześniej Mieczysław Świderek zrezygnował w funkcji przewodniczącego Gminnej Rady PRON — jak twierdzi — na skutek nieporozumień z naczelnikiem. Nie zasiada już także w radzie nadzorczej Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" w Makowie, z której razem z Eugeniuszem Felczyńskim został usunięty. Powód? Odmienność zdania na temat funkcjonowania GS, a przede wszystkim stylu pracy niektórych jej pracowników. No i proszę — dodaje — we wrześniu 1985 r. aresztowani zostali dwaj członkowie kierownictwa GS pod zarzutem popełnionych nadużyć. W październiku zaś — trzeci. Śledztwo prowadzi prokuratura.

Społeczeństwo gminy Maków zdecydowanie popiera wszystkie działania swego naczelnika i nie jest wcale przeciwne budowie. Tylko radni Wacław Piencek, Eugeniusz Felczyński i Mieczysław Świderek są przeciw, ale — izolowani od reszty. Poza tym Stanisław Nowak nie miał wątpliwości, że radni ci pisząc na niego skargę, kierowali się osobistymi animozjami. Ich działanie, dowodził, to przykład najgorszego warcholstwa, któremu trzeba położyć kres. Stanisław Nowak słyszał od ludzi, że Felczyński sam chce po nim zostać naczelnikiem, Piencek — powsadzać swoje dwie córki po studiach na wysokie stanowiska, a Świderek ma do niego żal o zwrócenie mu uwagi, iż jako prezes Ochotniczej Straży Pożarnej w Makowie powinien być obecny na uroczystej sesji GRN w styczniu 1984 roku w świetlicy straży, nie zaś stać w tym czasie w Skierniewicach w kolejce po mięso. Świetlica była nie ogrzana, sprowadzona specjalnie nagrzewnica nie chciała działać, gdyż bezpieczniki nie wytrzymywały, no i sesja nie wypadła tak, jak trzeba.

Oto dlaczego ci trzej radni wystąpili przeciwko niemu!

2.

Eugeniusz Felczyński, Wacław Piencek i Mieczysław Świderek też oczywiście słyszeli, co mówią o nich ludzie. Nie traktują jednak tych plotek poważnie, wzruszają ramionami, znacząco pukają się w czoło. Felczyński naczelnikiem! — śmieją się do rozpuku, gdyż większych bredni nigdy w życiu nie słyszeli. Ale naczelnik, mówią, chętnie te plotki powtarzał, aby przeciągnąć ludzi na swoją stronę. Robił wszystko, żeby ich zniszczyć, bo odważyli się ujawnić metody jego działania. Obiecywał ludziom złote góry, byle tylko ich pognębić. A miał ku temu możliwości, gdyż wiadomo, jak dużo zależy w gminie od decyzji naczelnika. Rolnik potrzebuje nawozów, maszyn, węgla, materiałów budowlanych. Kto więc będzie się publicznie wypowiadał przeciw naczelnikowi? Publicznie! — podkreślają — bo prywatnie, to wielu mówi coś całkiem innego. Niestety, nie brak jednak takich, którzy dali się skołować i zaczęli rozgłaszać, że za wstrzymanie budowy odpowiedzialny jest nie naczelnik, lecz właśnie oni: Felczyński, Piencek i Świderek. Ludzie ubliżali im, że nie szło wytrzymać!

3.

Weźmy chociażby sesję GRN 6 sierpnia kiedy to nie było przewodniczącego Mariana Ceronia i wielu innych radnych, za to przyszło sporo „kibiców" — m.in. tych, co zatrudnieni są przy budowie urzędu gminy. Oczywiście znów była mowa o całej aferze i właśnie ci kibice najgłośniej krzyczeli w obronie naczelnika. Czy jednak robili to bezinteresownie? I jakby tego nie było jeszcze dosyć, sekretarz Jan Machaj odczytał petycję stu pięćdziesięciu mieszkańców gminy przeciw nim, radnym. A co, on nie wie, jak to wszystko naprawdę było i kto ponosi winę, że budowa stoi? Siedzi z naczelnikiem drzwi w drzwi i nie wie? Jeszcze bardziej tylko ludzi skłóca. A dlaczego chciano wstrzymać rozdanie odznaczeń? Bo wśród odznaczonych był Świderek, tak? I to też jest w porządku? Ciekawe...

A już najgorsze, że pozostali radni cały czas są bierni i niczego zdają się nie rozumieć. Nawet przewodniczący Marian Ceroń nie odważył się potem stanąć w ich obronie, jakby byli jakimiś przestępcami. A czy oni — Piencek, Świderek, Felczyński — chcieli czego dla siebie? Czy o swoje się skarżyli? Dobro publiczne mieli tylko na względzie. Porządek i sprawiedliwość. Bo dla nich słowo „radny" ma jeszcze swoją wagę.

Dlaczego decyzji o budowie nie podejmowała rada, a sam naczelnik? Dlaczego nie zastanowiono się najpierw, co bardziej potrzebne: przedszkole i nowa szkoła w Makowie, czy wygodne biura dla urzędników? Dlaczego przedmiotem obrad rady nie są konkretne problemy, a ciągle — ocena takich czy innych działań pana naczelnika, który raz po raz stawia GRN przed faktami dokonanymi? Dlaczego władze wojewódzkie dopuściły do takiej samowoli naczelnika, a teraz nie potrafią go rozliczyć? Dlaczego, dlaczego, dlaczego?...

5.

Radny Ryszard Pryk mówi, że tak dobrego naczelnika jak Stanisław Nowak, to w Makowie jeszcze nie było. Przedsiębiorczy, energiczny. Ile dróg już zrobił! Nowy budynek dla UG jest bezwarunkowo konieczny i jak najszybciej — bez względu na wyniki ekspertyzy — powinien zostać położony dach, bo jak przyjdzie zima, to po niej, nie wiadomo, co z niego zostanie. Gdyby ci trzej radni nie pisali skargi do Warszawy, budowa dawno już byłaby zakończona. Więc jeżeli teraz powstaną straty, to czyja to będzie wina?

Radny Jan Machaj, I sekretarz KG PZPR ocenia działalność naczelnika Nowaka pozytywnie. Przyznaje, iż były pewne uchybienia, ale dodaje, że to właśnie naczelnik pobudził społeczeństwo do czynów społecznych, zbudował wiele kilometrów dróg, itd. A z tą budową urzędu gminy, to nie wiedział, że naczelnik nie dopełnił wszystkich formalności. Myślał, że skoro ze Skierniewic przyjeżdżano ją oglądać, wszystko jest w jak najlepszym porządku. Skąd mógł przypuszczać, że nie ma kierownika budowy, a prywatni wykonawcy nie mają uprawnień na wznoszenie wyższych budynków, co w którymś momencie też wyszło na jaw. Nie słyszał nawet, iż takim prywatnym majstrom wolno budować jedynie domki jednorodzinne. Że naczelnik pije, owszem, słyszał, ale — czego to ludzie nie mówią. On sam nie widział nigdy naczelnika pijanego. A ci trzej radni zamiast pisać od razu skargi do Warszawy, powinni najpierw zwrócić się ze sprawą na naczelnika, do prezydium GRN, do wojewody. Nie byłoby wtedy tyle niepotrzebnego szumu.

Radny Marian Ceroń, przewodniczący GRN w Makowie potwierdza, iż to nie rada podejmowała decyzje o rozpoczęciu budowy nowej siedziby UG, choć właściwie powinna, co jednak wcale nie znaczy, że można by w to miejsce postawić przedszkole, czy rozbudować szkołę, gdyż są to inwestycje o wiele, wiele droższe. Zresztą szkoła i przedszkole ujęte są w planach rozwoju gminy i kiedy tylko znajdą się fundusze...

Budowa urzędu gminy finansowana była z budżetu Wojewódzkiej Rady Narodowej na kapitalne remonty, gminnego funduszu rozwoju rolnictwa i takiegoż funduszu sołectw: Maków i Maków Kolonia. Skoro więc naczelnik dostał pieniądze ze Skierniewic, skoro za wiedzą władz wojewódzkich rozpoczął tę inwestycję, nikt nie przypuszczał, że budowa prowadzona była niezgodnie z przepisami prawa. Przecież naczelnik nie jest dzieckiem i powinien wiedzieć, co robi.

Radni Felczyński, Piencek i Świderek złożyli skargę na naczelnika, gdyż mieli ku temu powody natury osobistej. I tak Eugeniusz Felczyński ma zwyczaj obiecywać ludziom wszystko, czego chcą, a potem, kiedy nie może tego załatwić, uważa, iż wszystkiemu winien jest naczelnik. Wacław Piencek zazdrościł Chrobotowi hodowli lisów i punktu zbiórki padliny, więc też był przeciw. Mieczysław Świderek zaś po prostu nie potrafił, jako przewodniczący komisji finansowej, skontrolować wydatków na budowę urzędu i dróg. Dlatego był przekonany, że są jakieś nadużycia. Mimo to jednak, radni ci wykonali dobrą robotę. Tylko czy powinni byli od razu pisać do generała Drzazgi? Można przecież było załatwić tę sprawę na szczeblu wojewódzkim, a wtedy społeczeństwo nie odwróciłoby się od nich. A tak narobili sobie wrogów i teraz są już w Makowie spaleni. Pomóc im nie można.

Dlaczego tak się stało? Bo ludzie w Makowie nie myślą wcale w kategoriach interesu ogólnospołecznego. Poza tym zawsze woli, gdy rządzi nimi ktoś z zewnątrz, a nie swój, miejscowy, i dlatego stają w obronie naczelnika Nowaka. Zresztą nie tylko oni. W Skierniewicach ci trzej radni też narobili sobie wrogów, ponieważ ujawnili, że w województwie nie dopilnowano, co naczelnik czyni. Na tę sesję 6 sierpnia 1985 r. także mogli nie przychodzić — nie nasłuchaliby się, co ludzie o nich myślą. Tak, że to wszystko było niepotrzebne. A naczelnik Nowak powinien chyba odejść. Teraz nie da już sobie rady.

6.

Zasadnicza część materiału do tego reportażu zebrałem we wrześniu 1985 r. Atmosfera w gminie Maków była wówczas gorąca, a zasłyszane zdania i opinie — tak o naczelniku Stanisławie Nowaku, jak i trójce radnych — podyktowane aktualną sytuacją i silnie nasycone emocjami. Wiele spraw czekało na ostateczne i jednoznaczne wyjaśnienie.

Co zmieniło się od tamtego czasu?

Przede wszystkim Prezydium GRN w Makowie na posiedzeniu 26 października 1985 r. wypowiedziało się za odwołaniem Stanisława Nowaka z funkcji naczelnika gminy z dniem 1 listopada, co stało się faktem. 31 października 1985 r. zaś na sesji rady oficjalnie przyjęto rezygnację Mieczysława Świderka ze składu prezydium, a Eugeniusza Felczyńskiego — wykluczono. Nastąpiło to na wniosek jedenastu radnych: Sylwestra Paciorka, Weroniki Niedbały, Mieczysława Głuska, Jerzego Manki, Wacława Krupy, Ryszarda Pryka, Marii Adamiec, Mariana Foksa, Stanisława Zatorskiego, Józefa Nitery i Tadeusza Szymańskiego, którzy domagali się usunięcia obu wyżej wymienionych *„...za to, że bez uzgodnienia z wyborcami oraz pozostałymi radnymi piszą skargi na działalność Gminnej Rady Narodowej i ob. Naczelnika szkalując naszą gminę co nie ma potwierdzenia w rzeczywistości"*... Dziwna to, doprawdy, argumentacja bardzo dziwna. Ale jak wynika z protokołu sesji, 15 osób było za wnioskiem, 4 — przeciw i 4 wstrzymały się od głosu. Tak więc rada opowiedziała się w końcu zarówno przeciw naczelnikowi, jak i trójce radnych, którzy z taką determinacją domagali się od początku odejścia naczelnika i zaprowadzenia wreszcie w Makowie porządku. Czy było to rozwiązanie w obu przypadkach słuszne i sprawiedliwe, można mieć duże, bardzo duże wątpliwości. I chyba nie tylko ja je mam.

Dyrektor Wydziału Kontroli Urzędu Wojewódzkiego w Skierniewicach, Stefan Gradowski jest przekonany, iż radni z Makowa mieli podstawy, aby domagać się kontroli w Urzędzie Gminy i postąpili słusznie w końcu do niej doprowadzając, nawet mimo to, że nie wszystkie ich zarzuty zostały potwierdzone. Wydział, którym kieruje o wielu sprawach bowiem nie wiedział, a kontrolować stale wszystkich naczelników gmin nie jest przecież w stanie. Twierdzenie, jakoby za wstrzymanie budowy w Makowie odpowiedzialni byli właśnie ci trzej radni, jest oczywiście pozbawione sensu, gdyż winny był przede wszystkim naczelnik, który w ewidentny sposób naruszył prawo. Zresztą prędzej czy później wszystko i tak wyszłoby na jaw. Natomiast reakcja części społeczeństwa na poczynania naczelnika i postawę owych radnych, to już całkiem osobny problem, na który administracja państwowa nie ma wpływu. W każdym razie on starał się działać łagodząco.

Michał Urbański, dyrektor Wydziału Planowania Przestrzennego, Urbanistyki, Architektury i Nadzoru Budowlanego Urzędu Wojewódzkiego określa to, co zrobił naczelnik Nowak jako typowy przejaw patologii inwestycyjnej. Popełniono wszak wszystkie możliwe błędy. Jak mogło dojść do czegoś takiego pod samym nosem władz wojewódzkich, zaledwie kilka kilometrów od Skierniewic, dyrektor Urbański nie potrafi odpowiedzieć. Sam zadaje sobie dziś to pytanie. Do momentu przeprowadzenia kontroli w Makowie sprawa ta nie była mu absolutnie znana, mimo że — przyznaje — jeden z jego podwładnych był w nią prywatnie od początku zamieszany (sprawdzał rachunki) i musiał znać jej kulisy. Został już za to ukarany zwolnieniem z pracy. Zaś projektantowi budynku — również pracownikowi UW — za to, że przekazał projekt do Makowa bez niezbędnych uzgodnień, zawieszono uprawnienia budowlane. Poinformowano także o wszystkim prokuraturę.

Teraz jednak najważniejsze pytanie, to — co dalej? Okazuje się bowiem, że ekspertyza budynku przeprowadzona przez Polski Związek Inżynierów i Techników Budowlanych, oddział w Warszawie, a zlecona przez Urząd Gminy w Makowie, jest niepełna i niewystarczająca, by podjąć właściwą decyzję odnośnie dalszych losów tej inwestycji. Konieczna jest następna ekspertyza, a to oznacza znów stratę czasu i pieniędzy. Jak można było pozwolić sobie na taką nieodpowiedzialność?

Znacznie spokojniej patrzy w przyszłość przewodniczący GRN w Makowie, Marian Ceroń. Informuje mnie, że wyniki ekspertyzy są w zasadzie pozytywne, choć brak jeszcze atestu na materiały, z których wzniesiono ściany nośne. Na zimę budynek przykryty zostanie folią, obciążoną piaskiem, a później — na pewno wykończony z uwzględnieniem pewnych poprawek konstrukcyjnych, zwłaszcza dotyczących dachu. Zamiast betonowego będzie on drewniany, dzięki czemu konstrukcja zostanie poważnie odciążona i — przy okazji — powstanie też strych, który bardzo się przyda.

O odwołaniu Stanisława Nowaka i odejściu z prezydium Eugeniusza Felczyńskiego oraz Mieczysława Świderka, przewodniczący Ceroń mówi beznamiętnie. Grupa radnych złożyła pisemny wniosek, a rada go przegłosowała. To wszystko. Najważniejsze, że wiadomo już, kto będzie następnym naczelnikiem w Makowie. 11 listopada 1985 r. prezydium GRN zaopiniowało pozytywnie kandydaturę Stanisława Michalika ze Skierniewic, dotychczasowego starszego inspektora w Wydziale Rolnictwa i Leśnictwa UW. Wszystko więc z wolna zmierza do pomyślnego końca.

Najważniejsza jest godność

Rozmowa z URSZULĄ BIEŁOUS.

Kiedy wszyscy czytają, co pani pisze, a nie wiedzą jak pani wygląda, to powstały na ten temat różne wyobrażenia. Do pani także chyba docierały wieści, jak sobie ludzie panią wyobrażają — jako monstrualną Herod-babę o ciętym języku, bardzo zjadliwą?

— Ja zjadliwa? Język cięty?! Proszę pana, w naszym kraju, jeśli ktoś wyraża niezależne i dość niepopularne sądy, natychmiast atakowani, czy po prostu krytykowani, gotowi są przypisać człowiekowi najgorsze cechy charakteru. Nie daj Boże nadepnąć u nas komuś na jego miłość własną. Miłość własna dla Polaka jest o wiele ważniejsza od miłości bliźniego, od miłości do drugiego człowieka, od miłości do świata i do zwierząt. Miłość własna, w naszym przypadku, to jest ołtarz, na który można ledwie z nabożeństwem spojrzeć. Taka jest prawda o naszej mentalności, a udajemy świętoszkowatość. Najłatwiej jest zranić czy obrazić kogoś innego, a potem jeszcze krzyczeć, że się jest obrażanym, kiedy obrażony czy zraniony występuje we własnej obronie. Ostro i krytycznie wypowiadałam się o zaśmieconej, urągającej wszelkim normom polszczyźnie tekstów piosenek rockowych i proszę zobaczyć jak to zostało odczytane: że niszczyłam muzykę rockową! Co do tej monstrualnej kobiety, za którą mnie brano, to już wiadomo, że jestem jedną z najmizerniejszych dziennikarek w kraju — tyle zdrowia i nerwów kosztuje mnie ten pełen napięć zawód. Dla ułatwienia ciekawskim dodam, że mam 158 cm wzrostu i ważę 41 kg. Ale miłe jest to, że mimo wszystko przypisuje mi się tyle siły.

— Zacznijmy od początku...

— Nie przypuszczałam, że zostanę dziennikarką. Gdyby mi to powiedziano w klasie maturalnej, uważałabym to za absurdalne. Nie miałam nigdy predyspozycji do wykonywania tego zawodu. Byłam bardzo wrażliwa, krucha, raczej nadająca się do pracy naukowej, mozolnego szperactwa, poszukiwań, badań w ciszy pracowni. Tak też pokierowałam swoim losem — byłam studentką wydziału Biologii i Nauk o Ziemi UW, kiedy niezwykle ciężka choroba, w pewnym momencie na krawędzi życia, zmusiła mnie do przerwania studiów biologicznych. Nie zostałam nigdy mikrobiologiem, tak, jak chciałam Nie to było, widać, moim powołaniem. W wytrąceniu z tej, trwającej cztery lata choroby, dopomogła mi sztuka, którą zaczęłam chłonąć, a następnie o niej pisać.

Widzi pan, cztery lata, kiedy się leży na łóżku szpitalnym i nie widzi kresu choroby, to jest dużo, jest strasznie ciężko. Teraz, proszę sobie wyobrazić, co czuje taki człowiek, który z tego nagle wychodzi i widzi nagle świat w nowych barwach, bo czuje się dosłownie nowo narodzony i kiedy w tym stanie styka się np. z malarstwem impresjonistów, jak było w moim przypadku, to doznaje czegoś w rodzaju olśnienia. W kontakcie ze sztuką doznawałam wielu refleksji i po pewnym czasie zaczęłam odczuwać potrzebę przelewania ich na papier. Zaczęłam od zapisków dla siebie, które zauważył mój ojciec, Julian, i poradził abym spróbowała coś opublikować gdyż — jego zdaniem — miało to pewną wartość. Nie miałam odwagi, jednakże zachęcona przez ojca, zdecydowałam się i napisałam ni to list, ni to felieton do „Kultury". Później zaczęłam składać swoje teksty „Tygodnikowi Kulturalnemu", „Kulturze", „Literaturze". W pierwszym numerze „Literatury" na pierwszej stronie pisma ukazał się mój wywiad z Tadeuszem Konwickim. Było to 17 lat temu, miałam wtedy 20 lat.

— Obecnie znana jest pani jako dziennikarka zajmująca się problematyką estradową, skąd ta specjalizacja, bo przecież przedtem zajmowała się pani problematyką filmową, a jeszcze wcześniej sztuką ludową?

— Jaka tam specjalizacja, po prostu silne zainteresowanie tą problematyką. O specjalizacji mogłam mówić w przypadku filmu: przestudiowałam dziesiątki książek i obejrzałam setki filmów, jeśli zaś idzie o problematykę estradową nie dysponujemy prawie żadnymi wydawnictwami w tej dziedzinie i stąd, chyba poza Romanem Waschko, Dariuszem Michalskim i jeszcze kilkoma, wszyscy w tej branży dziennikarstwa jesteśmy dyletantami, absolutnymi!

— To dlaczego pani się tym interesuje?!

— Bo uwielbiam tę dziedzinę z czystej pasji obserwacyjnej, po części — można powiedzieć — socjologicznej, a wzięło się to z przypadku. Na początku lat 80 zaczęłam dostrzegać na ulicach Warszawy coraz więcej reklam coraz nowych zespołów rockowych i to mnie zaintrygowało, dlaczego jest ich coraz więcej? Słuchając piosenek rockowych w radiu, zostałam ponowie zaintrygowana ich treścią. Po zanalizowaniu większości — napisałam felieton dla „Polityki" zatytułowany „Pełny spontan". W tym felietonie stwierdziłam na razie, że słowa piosenek rockowych stanowią w dużej mierze odbicie aktualnego stanu świadomości młodzieży, aczkolwiek nie młodzież je pisuje, lecz autorzy nieraz znacznie starsi, tak, że młodzież może się tu z autorami identyfikować i że dla autorów jest to zabieg dosyć sprytny. Już to wywołało, oczywiście, „wstępne" oburzenie. Wkrótce zaczęły mnie interesować i inne sprawy — geneza rockowego boomu w Polsce lat 80 oraz formy zbiorowej akceptacji tej muzyki. Kiedy dowiedziałam się o Festiwalu Muzyków Rockowych w Jarocinie, wybrałam się tam nie tyle, rzec można, dla muzyki, ile po to, by przyjrzeć się imprezie w ogóle, a w szczególności jej odbiorcom. Jak pan zapewne wie, najwięcej uwagi poświęciłam punkom i oni stali się bohaterami moich trzech kolejnych reportaży w „Polityce".

— Na rockowym podwórku narobiła pani trochę zamieszania, które później przerodziło się w burzliwą dyskusję o zasięgu ogólnopolskim.

— Jaka tam burza! Raczej mnóstwo oburzenia, wynikającego z niezrozumienia moich intencji. Nigdy nie niszczyłam muzyki rockowej, pisałam jedynie o ułomności i ograniczeniach tekstów rockowych piosenek. Widzi pan, tu znowu — na tym prostym przykładzie — dotykamy zjawiska, jak u nas nie da się tknąć żadnej własnej wady, jak zaraz zrywa się tysiąc oburzonych głosów. Powiesz o nietolerancji zaraz zerwie się tysiąc oburzonych osób rzekomo tolerancyjnych. Powiesz o fatalnej polszczyźnie złej tekściarskiej produkcji, zaraz zerwie się tysiąc oburzonych muzyków rockowych, którym się wydaje, że świat drży już w posadach, skoro się krytykuje ich teksty. Często powołujemy się na zachodni liberalizm, to w takim razie proszę zobaczyć, jak tam dopiero dziennikarze nie oszczędzają nikogo i jeśli coś jest kiepskiej jakości, pisze się o tym bez ogródek. A u nas zaraz podnosi się krzyk, że obrażamy świętości, choćby rockowe.

— Sprawa weryfikacji muzyków estradowych — też skwierczało w środowiskowym kotle...

— Pisałam, że nieszczęsnym trafem, z braku należytego szkolnictwa estradowego, przeprowadza się u nas ministerialne weryfikacje muzyków estradowych, żeby móc im nadawać uprawnienia zawodowe. Nie popierałam samej formy, która jest zastępcza, i to było wyraźnie zaznaczone w tekstach, lecz sam fakt, że muzyk estradowy nie może niczego nie wiedzieć i nie umieć, poza zagraniem własnego utworu. Tragedią naszą jest to, że racjonalizm argumentacji nie przemawia, że górę biorą emocje, że łatwo się zacietrzewiamy, nie bardzo chcąc spokojnie zanalizować pomyśleć. To dotyczy wszystkiego: czy to będzie sprawa filmu „Shoah", czy tekstów zespołu „Siekiera". Krzyczeć, zakrzyczeć, nie pozwolić dotknąć tego kolca, który się nazywa właśnie „miłość własna", ten sztandar, którym bez przerwy, zwłaszcza ostatnio, wymachujemy. No, więc z tym rockiem też tak samo było. Ja pisałam, że teksty niektóre są bezsensowne, bzdurne, z infantylnym buntem, źle napisane po polsku, a mnie przypisano, że — cytuję — wykonuję polecenie towarzysza Świrgonia, którego na własne oczy przedtem nie widziałam, dopiero tydzień temu zetknęłam się z sekretarzem KC podczas obrad Komisji Kultury. Hołdys się obraził i przestał się kłaniać, jakby zapomniał, że trzy lata temu w „Polityce" poświęciłam mu wywiad sześcioszpaltowy, co spotyka tylko wybitnych twórców kultury na tych łamach. I pewnie nie trzeba rzeczywiście od tej zasady więcej odstępować. Szef Jarocina, Chełstowski, wprawdzie jeszcze nieznacznie się kłania, ale za trzecim moim pobytem w Jarocinie odmówił mi udzielenia informacji, ponieważ z publikacji w „Życiu Literackim" wywnioskował komu przyklaskuję. Oczywiście, władzy oraz — dodał — jak mogłam, nie uprzedzić go wcześniej, lojalnie, że jestem etatowym pracownikiem „Trybuny Ludu". A więc mam się wszem, wobec, dookoła kłaniać, błagać i rozgrzeszać z faktu, że jestem pracownikiem etatowym organu Komitetu Centralnego PZPR. To jest, widzi pan, ta ograniczoność widzenia całości, rozumienia ogólnych intencji, brak racjonalizmu w ocenach i zjawisk, i ludzi. To dotyczy spraw dużych i małych i np. właśnie takich ministerialnych weryfikacji muzyków, którzy de facto są amatorami i trzeba określić ich status zawodowy, dać im wszelkie prawa obywatelskie uprawniające do usług i świadczeń socjalnych, w tym — do twórczej emerytury. O taką emeryturę nie musiał się, oczywiście, troszczyć ani Presley, ani Hendrix, bo byli genialnymi artystami, żyjącymi w systemie, w którym wszystko reguluje biznes, pieniądz, więc naturalnie ich wielki talent sprzedawano za kolosalne pieniądze. U nas mechanizmy rynkowe są inne, a poza tym tak wielkich talentów nie mamy.

— Jest pani krytyczna i złośliwa w swoich publikacjach.

— Krytyczna tak, złośliwa nie. Raczej przekorna, wyostrzająca pewne sprawy. Złośliwość polega na dokuczaniu, ja tego nie robię. Moja przekora, krytycyzm, ostre formułowanie sądów służy w moim oczywiście przekonaniu temu, żeby np. życie estradowe w naszym kraju wyglądało inaczej, żeby miało wyższy poziom i rozmach nowoczesności. Chciałam swoimi artykułami poruszyć zarówno czynniki oficjalne, odpowiedzialne za kulturę, jak i samych wykonawców i twórców kultury estradowej. Bardzo dużo wymagam od siebie, może stąd bierze się mój krytycyzm, poza tym wynika to z prostej troski, aby w moim kraju było lepiej pod każdym względem, czy to będzie życie estradowe, czy morale społeczeństwa, które ostatnimi laty bardzo się załamało; kult chamstwa i rozbijactwa jest w tej chwili — moim zdaniem — czymś dla kraju najniebezpieczniejszym. Wielka katastrofa może grozić nam z tej strony, jeśli się nie opamiętamy i nie zaczniemy cenić w ludziach cnót elementarnych, szanować siebie wzajemnie, cenić zdolnych i przyzwoitych.

— A co pani sądzi o moralności, etyce w naszym środowisku?

— Nie chciałabym publicznie zabierać na ten temat głosu, w każdym razie nie tak szczerze, jak to naprawdę myślę. Za odwagę w tym zawodzie płaci się bardzo drogą ceną, głównie jest to cena zdrowia.

— Ale co może pani powiedzieć teraz?

— Och, zbyt wiele goryczy musiałabym tu wylać, a nie lubię się rozklejać, bo musi mi jeszcze starczyć energii na następnych kilkadziesiąt lat aktywnego życia, tak, jak to sobie zamierzyłam, mimo porażek, załamań, czasami upokorzeń. Lecz potem podnoszę głowę dumnie, wysoko, bo najważniejsza jest godność. Własna godność zmusza innych do szacunku. Nie ma innej drogi, żeby się nierzadko w ten właśnie sposób bronić przed zranieniem, krzywdzącym odrzuceniem, zadaniem niesprawiedliwego ciosu.

— Przemawia przez panią pewna pycha...

— Trochę tak. Wydaje mi się, że mam do tego prawo. Miałam niezwykle twarde i ciężkie życie, do wszystkiego w życiu doszłam sama, bez niczyjej pomocy, bez tzw. układów i protekcji. A kobiecie w tym zawodzie z pewnością szczególnie ciężko się przebić. Niedawno dziennikarka radiowa, pani Elżbieta Ratyńska pytała w swej audycji „Mikrofon i pióro" czy sądzę, że jest to zawód dla kobiety? Odpowiedziałam jej, że tak, że wystarczy mieć tylko ogromną siłę wewnętrzną, ale teraz widzę, że ta odpowiedź świadczyła o tym, że nie jest to w gruncie rzeczy zawód dla kobiety, tylko po prostu dla takich, którzy są w stanie wytrzymać napięcia i wysiłek tego zawodu, albo nie. My sami sobie często w tym zawodzie gotujemy taki los pełen udręki i frustracji — ogromna konkurencyjność zawodu sprawia, że zdarzają się tu często intrygi, zaś zawiść reguluje większość środowiskowych emocji.

— To wróćmy już do samej pani pracy. Weźmy wywiad — jakie kryteria decydują, że wybiera pani danego rozmówcę?

— Decyduje osobowość. Lubię postacie barwne, malownicze, ciekawe, stąd często poszukuję rozmówców wśród idoli estrady, tak było z Rodowicz i Sewerynem Krajewskim (w „Polityce"), Rosiewiczem (w radiu), Osiecką (w telewizji). Ciekawa jestem życia idoli, bo idol, mądry, czy głupi — z głupimi się jeszcze nie zetknęłam — żyje inaczej niż my, inaczej reaguje, a poza tym każdy w jakiś sposób jest śmieszny i dlatego ja lubię się z nimi spotykać podczas wywiadów, ponieważ traktuję ich jak niesforne dzieci, które nierzadko kocha się bardziej niż te dobrze ułożone. Powiem panu zupełnie szczerze: że ludzie tak zupełnie dobrze ułożeni, tzn. bez cienia ekstrawagancji i śmieszności zupełnie mnie nie interesują, są nudni, nie mają życiowego polotu i fantazji.

— W jaki sposób stara się pani drążyć temat, rozmówcę, przy użyciu jakich środków?

— Nie mam żadnej opracowanej metody. Oczywiście, staram się przed wywiadem zdobyć jakieś formalne szczegóły o życiu mojego rozmówcy, jego drodze. Ale cała rzecz polega na tym, żeby na półtorej, dwie godziny usiąść z nim w zupełnej ciszy i zatopić się w rozmowie, zupełnie szczerej, tak jakbyśmy sobie oboje mieli coś do powiedzenia. Metoda dotyczy już samego podejścia do rozmówcy, bo przecież są to zawsze inni, różni ludzie — np. Krajewski jest niesłychanie zamknięty, Osiecka bardzo delikatna, wrażliwa — żadnego z tych dwojga nie można niczym urazić, bo się „schowają", przestaną mówić, a z kolei Rodowicz wymaga pewnej — powiedziałabym — czujności co do sformułowań na temat własnej kariery i dążeń, trzeba bardzo śledzić tok tego, co mówi, żeby to móc zripostować; z Rodowicz świetnie wychodzą słowne pojedynki, bo ona się tak łatwo nie obraża, nie zamyka, nie chowa, tylko odparowuje. Lubię całą tę trójkę za te dwie skrajności. Poza tym każde z nich jest, na swój sposób, trudne.

— Lubi pani słowne pojedynki?

— Bardzo.

— Ale przestała pani w ogóle rozmawiać z filmowcami, a także pisywać o filmie, dlaczego?

— Wie pan, to się już trochę we mnie wyczerpało, z drugiej strony — zniechęciłam się. Tu także spotykały mnie różne intrygi i zawiść, więc ustąpiłam dwojgu krytykom z placu boju. Ci, o których myślę, dobrze wiedzą, że to o nich... Zresztą swoje już napisałam. To, co najważniejsze: w „Życiu Literackim" między rokiem 1973 a 1983 opublikowałam cykl miniatur eseistycznych niby o filmie, a w gruncie rzeczy o kondycji ludzkiej, proszę posłuchać tytułów niektórych z nich: „Tragizm i śmieszność", „Krzyki", „Rozpacze", „Poczucie nieszczęścia" „Oszukana Cabiria", „Człowiek konwencjonalny", „Człowiek zbolały", „Bezradność i lęk", „Godność i desperacja", „Upokorzenia", „Polowanie na ludzi".

— Pisała pani pod wpływem własnych doświadczeń?

— Pod wpływem obserwacji życia, zjawisk i ludzi, a nakładało się to z refleksjami, jakie niosły filmy Chaplina, Stroheima, Bergmana, Felliniego, Peckinpaha, Schatzberga. Po dziesięciu latach wyczerpały się doznania, refleksje, nowe bodźce nie pojawiały się, bo i kino światowe znacznie się zmieniło, a poza tym w Polsce nastąpiły ogromne ograniczenia repertuarowe, więc zabrakło dalszej inspiracji. Oczywiście, jak tylko pojawi się nowa inspiracja, sięgam po pióro i piszę o filmie. Przykładem reportaż z festiwalu w Locarno, który się ukazał w sierpniu w „Życiu Literackim".

— Napisała w nim pani, że kino światowe wyczerpało się?

— To już zauważyłam w zeszłym roku, będąc w San Sebastian — nigdy nie nudziłam się tak bardzo, jak tam, chodząc codziennie do kina festiwalowego „Victoria Eugenia". W tym roku ponownie przekonałam się, że kino światowe straciło rozpęd, że nie pojawiają się filmy naprawdę ciekawe. W Locarno można było obejrzeć średnią produkcję światową, której nie oglądamy w Polsce, bo my mimo wszystko staramy się sprowadzać filmy głośne, albo najlepsze, choć teraz nastawiliśmy się na produkcję wybitnie komercyjną. Międzynarodowe festiwale pokazują, jak na dłoni, jakie jest współczesne kino. Widać na przykład, że skończył się, niestety, czas Wielkich Twórców Kina i obecnie jesteśmy w próżni.

— Co ma oznaczać sformułowanie: „dziesiątki filmów o odchyleniach ludzkiej natury w świecie przesytu"?

— Wiele filmów na festiwalu w Locarno pokazywało dewiacje natury psychoseksualnej, ta tematyka bardzo w ostatnich latach zawładnęła kinem. Stało się ono w jakiś sposób „niesziachetne", a być może w tym jest ono tragicznie prawdziwe. Odzwierciedla nasz czas i nasze zagubienie u schyłku stulecia.

— W swoim artykule „Filmy pod gołym niebem" zniszczyła pani Madonnę, najmodniejszą obecnie piosenkarkę rockową na Zachodzie. Dlaczego ona się pani nie podoba, czy dlatego, że jest młodsza i ładniejsza?

— Młodsza jest na pewno, a jeśli pan uważa, że ładniejsza, to szanuję pański gust. Madonny nie zniszczyłam, stwierdziłam tylko, że jako aktorka jest bardzo niedobra, w ogóle nie ma zdolności aktorskich. W filmie „Rozpaczliwe poszukiwanie Susan" jej partnerka Rosanna Aquette bije ją na głowę, właśnie dlatego, że jest urodziwa i znakomicie gra. Madonna jest dobrą piosenkarką, w tym filmie śpiewa zza kadru. To mi wystarczy.

— Prasa już pani nie wystarcza, występuje pani także w radiu i telewizji, chce pani zabłysnąć?

— Pan myśli typowymi kategoriami „kariery". Tymczasem we mnie jest pasja, żar, nieustanna chęć poszukiwań w tym zawodzie. Chciałam spróbować innego warsztatu, po prostu. Jest to dla mnie coś nowego, co mnie wzbogaca i uzupełnia. Tutaj dziennikarstwo jest inne, czego innego wymaga się od żurnalisty niż w prasie. Głównie ćwiczy się sztukę publicznego wypowiadania się. To wymaga zupełnie odmiennych predyspozycji. Staram się tę sztukę szlifować i pogłębiać. A co do zabłyśnięcia, to już skutecznie niektórzy starają się, żeby mi to utrudnić bądź opóźnić.

— Znowu gorycz, znowu smutek...

— A dlaczego nie. Normalny ludzki stan, proszę pana.

— Jest pani z natury smutna?

— Myślę, wie pan, że nie ma ludzi z natury smutnych. Niech pan przypatrzy się dzieciom: wesołe są wszystkie, wszystkie chcą uczestniczyć w zabawie. Później, w miarę dorastania, życie kształtuje nas w określony sposób i w zależności od tego, jak ono nam się układa, jesteśmy weseli lub smutni. Byłam niesłychanie wesołym, żywiołowym dzieckiem. Dziś najbardziej zasmucają mnie niewłaściwe stosunki między ludźmi. To wszystko.

Foto: Zdzisław Walter

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Izet Sarajlić

Zmiana adresów

Moi przyjaciele
coraz częściej zmieniają
swoje adresy.
Tak, Alfonso Gatto, ten również.
Do wczoraj mieszkał
przy tej wesołej rzymskiej ulicy,
Via Margutta.
Teraz mieszka
na cmentarzu
w Salerno.
Ten jest najgorszy
z owych dwudziestu ośmiu adresów,
które miał
dotychczas.
O wiele lepszym był
adres z czasów Mussoliniego:
Alfonso Gatto,
Więzienie Centralne,
Mediolan.

(1976)

Postęp

Dante chodził pieszo,
Tołstoj jeździł konno,
Balzac podróżował powozem,
Tomasz Mann rowerem,
Hemingway jeepem,
Babel dwukonnym zaprzęgiem.
Francois Sagan jeździ Rolls-Roycem.
A Dante napisał
„Boską komedię".
Tołstoj „Wojnę i pokój",
Balzac „Ojca Goriot",
Tomasz Mann „Buddenbrooków",
Hemingway „Pożegnanie z bronią",
Babel „Armię konną",
A Francois pisze bestsellery.

(1978)

Właściciel butów o numerze 43 ogląda dziecięce sandałki w Muzeum Oświęcimskim

Ileż miłości w te sandałki
włożył przed wojną
szewc z przedmieścia Lwowa,
aby dziecko mając je na stopach
mogło biegać w maju.

A teraz
te sandały
wystawione w Muzeum w Oświęcimiu.
Według nas mogłyby one
odczuwać nieomal winę.

Ktoś,
kto miał buty o rozmiarze 43.
I ktoś
w roku 1941
biegał
w takich samych dziecięcych sandałkach.

(1980)

Nekrolog słowika

Dla Roberta Browna nic łatwiejszego:
zapala świecę,
otwiera okno
i do wtóru słowika
pisze:
„Tak jest mi drogi jak róża".
Między nami,
gdy tak dalej pójdzie,
wkrótce śpiew słowika
będziemy słuchali tylko z taśmy.

(1980)

Mistrzowie

dla Raska Dimitrijevicia

Whitman poucza, że źdźbło trawy nie mniej znaczy niż dzień pracy całego wszechświata.
Pasternak poucza, że jest w końcu rzeczą niemożliwą bardziej ulegać niepojętemu prostactwu aniżeli herezji.
Neruda poucza, że wszystko, co w życiu odkrywamy, odkrywamy w nas samych.
Brecht poucza, że ze wszystkich rzeczy te są najbardziej wartościowe, które okazać się mogą przydatne.
Gałczyński poucza, że opłaci się trud, by być światłem dla drugiego człowieka, i trud przyrządzania kawy dla aniołów.
Sandburg poucza nas, że poezja stanowi syntezę hiacyntów i bizkoptów.
Andrić poucza, że poezja wtedy najsilniej oddziałuje, gdy uda się poecie zaskoczyć czytelnika czymś znanym.
Rilke poucza, że świat nigdzie poza nami nie istnieje.
Lorca poucza, że poezja jest tym niemożliwym, które staje się możliwe.
Majakowski poucza, że najstraszliwszą rzeczą jest zabijanie serca.
Yeats jak nikt inny poucza, że nasza czerwona krew może istotnie stworzyć różę.
Błok poucza nas, że ten tylko, kto kocha, zyskuje prawo nazywania siebie człowiekiem.

(1981)

Krytycy

Dlaczego krytycy
nie piszą wierszem o wierszach,
jako że tak wiele o nich wiedzą?

Któż wie,
może chętniej pisaliby wiersze
zamiast pisać o nich.

Krytycy są jak starcy.
Ci bowiem wiedzą wszystko o miłości.
Tylko kochać, kochać nie potrafią.

Z cyklu „Nekrolog słowika"

Przekład:
STANISŁAW KASZYŃSKI

Niedobra miłość

W ostatnich latach dramaturgia skandynawska, i to reprezentowana nie tylko przez Ibsena czy Strindberga, znajduje wielce dla siebie przychylną aurę w Teatrze im. Jaracza. Niezbyt dawno oglądaliśmy tu dwie sztuki współczesnego dramaturga szwedzkiego Per Olova Enquista, jedną o Strindbergu pt. „Noc trybad" a drugą — pozostająca jeszcze w repertuarze — pt. „Z życia gilst" o autentycznych postaciach dziewiętnastowiecznej Kopenhagi — Andersenie i małżeństwie Heibergów. Toteż wydało mi się rzeczą najzupełniej naturalną, że jeśli już ktoś sięgnął w Łodzi po tekst duńskiego filozofa, duchownego praojca współczesnego egzystencjalizmu, Sörena Kierkegaarda, uczyniła to niechybnie któraś z naszych scen przy ul. Jaracza.

A więc nie dlatego, że akurat Kierkegaard polemizował z heglista Heilbergiem i krytykował jedno z dzieł Andersena (choć ten podtekst dodaje nowej premierze smaczku, mimo iż w sztuce żadnych do tego nie znajdziemy aluzji). Myślę, że ma to swoją niebagatelną wartość poznawczą, kiedy niejako „specjalnością domu" placówki artystycznej staje się sztuka określonego kręgu kulturowego. W tym przypadku zaowocowało to już przybliżeniem dzisiejszemu polskiemu widzowi świata upodobań estetycznych i pojęć moralnych kultury mającej własne, odrębne korzenie, czerpiącej z systemu wartości wytworzonego przez protestantyzm, w jego luterańskim wydaniu.

Skandynawskiemu purytanizmowi, wyrażającemu się m.in. w tłumieniu spontaniczności przeżyć erotycznych, wspomagającemu ponurą obsesję grzechu cielesnego, jednak wiele zawdzięczają nowe obszary psychologii, ale rozumianej na sposób nie rygorystycznie naukowy, lecz potocznie, literacko. Filozofia bowiem Kierkegaarda i późniejszych, współczesnych nam egzystencjalistów aż po Sartre'a, podobnie jak diamentralnie od niej różna filozofia encyklopedystów oświecenia, nie jest bynajmniej domeną ludzi o specjalnym przygotowaniu filozoficznym, lecz popularnym światopoglądem inteligentów o pewnych ambicjach intelektualnych, a dręczonych przez moralne rozterki w zakresie jednostka a społeczeństwo, jednostka i religia.

I myślę, że nie jest dziełem przypadku lub wydawniczego niedbalstwa, że utwór prozy literackiej pt. „Dziennik uwodziciela" znalazł się w jednym tomie z dyskursem — esejem Kierkegaarda pt. „Albo-albo" uświadamiającym czytelnikowi dramaty wyborów moralnych. Nie było to żadnym materii pomieszaniem z uwagi na psychologiczny w rozumieniu literackim sposób podejścia do zagadnień, wyrażony przez trzydziestoletniego wówczas autora, o wymownym pseudonimie Victora Eremity, którego symbolika mówi o zwycięstwie w osamotnieniu (godność — i zwycięstwo — egzystencjalisty, to mężnie znosić swoja samotność wobec ludzi i nieskończoności).

Zaliczany jest dzisiaj ten nurt twórczości Kierkegaarda do okresu jeszcze estetyzującego, w przeciwieństwie do późniejszego okresu etycznego. Ale cóż ten estetyzm dziś znaczy dla widza, który obejrzał adaptację sceniczną „Dziennika"? Postawa estetyczna autora może oznaczać jedynie, że w ocenie motywów postępowania bohatera autor uchyla się od osądu moralnego, że daje pierwszeństwo chłodnej analizie ambicji Johannesa, który tak dalece upaja się swoimi uwodzicielskimi umiejętnościami, niezawodnością stosowanych sposobów, wyzwalających pożądane reakcje, że przybiera to u niego swoista postać miłości, a raczej namiętności, która nie jest jednak miłością.

Johannes — porte parole autora, doprowadza swoją partnerkę do absolutnej zależności wewnętrznej, nie tyle dla zaspokojenia żądzy, ile raczej zachłanności obserwatorskiej i dlatego rzecz staje się w moim odczuciu nieludzka, nacechowana jakby bezinteresownym okrucieństwem, żerująca na cudzym uczuciu i cierpieniu. Owszem, literatura jest właśnie od tego, żeby zawiłości gwoli prawdzie życia wewnętrznych przeżyć ujawnić, bez dydaktycznych celów. Gorzej jednak jeśli autor utożsamia się z taką postawą bohatera. Toteż chociaż smakowałem przenikliwość niejednego z psychologicznych odkryć Johannesa (przybierały one niekiedy postać absolutnych „prawd" i niemal aforyzmów) jak wątpliwa jest jednak szczerość będąca jedynie odreagowaniem ucisku obłudy.

Jest taki znamienny moment zbliżenia zakochanych (słowo „zbliżenie" jest tu zresztą niejednoznaczne), kiedy nie ma się pewności czy bohater przeżył zawód po spełnieniu się, upragnionej sytuacji, czy też doznał poczucia fiaska, inaczej mówiąc — męskiej porażki. W pierwszym przypadku jego potępiająca reakcja na zachowanie się oddanej dziewczyny ma charakter świętoszkowato-kołtuński, w drugim tchórzliwie-kabotyński. Momenty biograficzne zdają się przemawiać za tą drugą interpretacją.

Myślę, że zwłaszcza rola męska wymaga tutaj bardziej zdyscyplinowanego i dojrzałego aktorstwa, niż to, które zaprezentował bezspornie utalentowany, obdarzony doskonałymi warunkami scenicznymi **DARIUSZ SIATKOWSKI** w roli Johannesa. Skalę przeżyć Kordelii — od obawy i rozterki po miłosne oddanie subtelnie zarysowała **EWA ISAJEWICZ-TELEGA**, choć i tu zdałaby się wyraźniej ukształtowana osobowość aktorska.

Spektakl trwający bez przerwy blisko półtorej godziny utrzymywał przeważnie młodą widownię w skupionym napięciu, w czym z pewnością duża zasługa reżysera, który zapobiegał tendencjom do monotonii i statyczności przez „rozpisanie" tekstu listów Johannesa na skontrastowaną interpretację wykonawców. Trafne wydało mi się użycie muzyki z „Don Giovanniego" Mozarta jako emocjonalnego tła rozgrywanej akcji.

A może też odżywa zapotrzebowanie na romantyczny typ przejawiania przeżyć (w przeciwieństwie do panującej mody na dystansowanie się od uczuć pozorami cynizmu)?

Wydaje mi się, że jednak tekst oryginalny „Dziennika uwodziciela", będący — jak sądzę — dobrą literaturą psychologiczną nie stanowi jednak najlepszego materiału na dramat.

JERZY KWIECIŃSKI

Sören Kierkegaard „Dziennik uwodziciela" — na zdjęciu: Ewa Isajewicz-Telega i Dariusz Siatkowski

Foto: Romuald Sakowicz

Dla kogo nagrodę „Odgłosów"?

ODPOWIADA DZIŚ JAN KUNERT SOLISTA TEATRU WIELKIEGO

— Już po raz drugi będzie przyznana przez specjalnie powołaną komisję doroczna nagroda „Odgłosów" za upowszechanie kultury. Jak pan ocenia rolę i potrzebę tego rodzaju wyróżnienia?

— Bez komplementów pod adresem redakcji, uważam ufundowanie takiej nagrody za znakomity pomysł. Oznacza ona bowiem zwrócenie uwagi społeczeństwa na ludzi, którzy w naszym zagonionym i dość zmaterializowanym życiu potrafią znaleźć czas i wykrzesać z siebie energię na bezinteresowną działalność. Rozumiem zresztą, że chodzi wam o działania na polu kultury wykraczające poza czyjeś obowiązki wynikające z umowy o pracę, a więc np. jeśli idzie o ludzi kierującymi zawodowo placówkami kultury należy brać pod uwagę to, co stanowi oryginalny pomysł, twórczą innowację i dobrze służy społeczeństwu swoimi treściami. Myślę, że na wyróżnienie zasługuje w nie mniejszym stopniu amatorska działalność kulturalna, organizowanie występów zespołów amatorskich, kierowanie różnymi formami samokształcenia.

Dodam też, że wasza nagroda ma duże znaczenie moralne, ponieważ podkreśla społeczną wagę postaw altruistycznych i stwarza wzorce osobowe godne naśladowania. Co do mnie, to przyznam się, że dopiero dzięki nagrodzie „Odgłosów" dowiedziałem się o istnieniu całego wachlarza działań społecznych w dziedzinie upowszechniania kultury i sztuki, a także o ludziach tej działalności oddanych, w których istnienie już zaczynałem wątpić. Kiedy działałem w komisji kultury, miałem nieraz możność stwierdzić, że nawet jeśli znajdzie się pieniądze na sfinansowanie jakiegoś kulturalnego przedsięwzięcia np. wyposażenia w jakiś sprzęt czy materiały, to często brak odpowiednich ludzi gotowych coś z siebie dać społecznie. Lista kandydatów do nagrody, która publikowaliście w ubiegłym roku świadczy jednak o tym, że tych ludzi jest na naszym terenie niemało.

— A jak pan ocenia sytuację w dziedzinie upowszechnienia kultury muzycznej?

— Z natury rzeczy ta dziedzina musi mnie obchodzić najżywiej. Bardzo by nam się przydało szersze i głębsze umuzykalnienie społeczeństwa w zakresie muzyki poważnej — czy to instrumentalnej czy wokalnej. Na tym polu sporo robiło w przeszłości Łódzkie Towarzystwo Muzyczne organizując różnego rodzaju objazdową działalność koncertową na wysokim poziomie. Bardzo ważną, lecz stale chyba malejącą rolę odgrywają chóry. Pochodzę ze Śląska, gdzie niemal cała moja rodzina była od pokoleń związana ze śpiewactwem przez czynne uczestnictwo w chórach. Wiem, że wykonywano często bardzo wartościowy repertuar i trzeba zdać sobie sprawę, że gdyby nie chóry i orkiestry amatorskie bardzo wielu słuchaczy nie zetknęłoby się nigdy „na żywo" z muzyką poważną i nie odkryło w sobie zainteresowania w tym kierunku.

— Czy dostrzega pan obecnie w tej swojej dziedzinie, tzn. muzycznej jakieś konkretne zjawiska zasługujące na specjalne wyróżnienie publiczne za upowszechnianie sztuki?

— Tak się składa, że kiedy zacząłem się zastanawiać nad pytaniami redakcji, przyszła mi akurat na myśl czyjaś działalność na innym, tj. nie na muzycznym polu. Wiem o niej zresztą od ludzi, którzy tymi sprawami się interesują, ale nie rozporządzam kompletnymi danymi, które może redakcja zechciałaby uzupełnić. Otóż chodzi o panią WIESŁAWĘ WÓJCIK, emerytowaną nauczycielkę szkoły podstawowej nr 65 w Łodzi, która zorganizowała społecznie bodaj jedyne w Polsce muzeum oświaty na rogu Wólczańskiej przy Zielonej. Zebrano tam, jak mi wiadomo liczne pamiątki dotyczące ludzi zasłużonych dla oświaty, ponadto pani Wójcik była współzałożycielem sekcji nauczycieli tajnego nauczania z czasów II wojny światowej. Ostatnio zresztą p. Wójcik prowadzi tę sekcję na pół etatu. Sądzę, że byłoby słuszne gdyby redakcja zechciała tę moją wstępną propozycję wziąć pod uwagę i skompletować wszystkie dane potrzebne do uzasadnienia kandydatury.

— Dziękujemy panu za cenne spostrzeżenia i propozycje.

KAJOT

Próba charakteru

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Próba charakteru — takie jest hasło wywoławcze refleksji poświęconej pisarstwu Wacława Bilińskiego. Okazji dostarczyła sześćdziesiąta piąta rocznica urodzin tego poczytnego autora, którego bohaterowie nieustannie przechodzą próbę charakteru w bardzo różnych okolicznościach.

Wacław Biliński należy do pokolenia, które świadectwo dojrzałości otrzymało w roku wybuchu drugiej wojny światowej. Fakt ten przesądził o dalszej edukacji późniejszego pisarza: był on murarzem, drwalem, pomocnikiem buchaltera, uczestniczył w robotach przymusowych, a potem w szeregach I Armii Wojska Polskiego przemierzył szlak bojowy do Berlina. W dorobku Bilińskiego doświadczenie wojenne posiada istotne znaczenie. Interesują go zwłaszcza dwa przeciwstawne momenty: początek wojny („Koniec wakacji") oraz jej zakończenie („Lato po wojnie"). Przedmiotem zainteresowania stają się w prozie Wacława Bilińskiego nie tyle same działania wojenne, co wpływ destrukcyjnych wojennych mechanizmów na ludzkie poczynania, na poszukiwanie i wybór życiowej aktywności. Wojna staje się wielką próbą charakteru. Wojna — to przecież wszechstronna komplikacja życiowej sytuacji, przezwycięża się ją wspólnie, przede wszystkim jednak samotnie. Bohaterowie prozy Bilińskiego zmagają się z wrogiem, ale i ze sobą, z własną słabością. Pisarz stara się pokazać możliwości przezwyciężenia wszelkich wojennych komplikacji, stara się uchwycić ową szczególną chwilę, od której bohaterowie jego utworów rozpoczynają stopniowy powrót do normalnego życia, ten moment, od którego „bez pośpiechu, ale nieustępliwie" życie przezwycięża wojnę.

Jakże ważną rolę odgrywa w powieściach Wacława Bilińskiego pytanie, co przerwanej wojną młodości przyniosą pierwsze powojenne lata, co przyniosą one wyniszczonemu krajowi i zmęczonemu narodowi? W „Lecie po wojnie" czytamy: „Wojna to jak wielki pożar, nie wygasa w dniu takim to a takim, o godzinie takiej a takiej. Wojna wygasa pomału...". I właśnie powolne wygasanie wojny, długo jeszcze tkwiącej w jej uczestnikach, stanowi jeden z najważniejszych motywów tej twórczości. Wojna wygasa — próba charakteru obowiązuje nadal, daje impuls do dyskretnej moralistyki.

Opowiadając o tragicznych i bolesnych sprawach nawiązuje autor „Wrócić do siebie" do tej tradycji naszej literatury, w której żołnierska służba łączyła się z przygodowym romansem. Biliński nawiązuje do tradycji sienkiewiczowskiej — jego bohaterowie w jednakim stopniu uwikłani są w patriotyczne perypetie i w tarapaty miłosne, te ostatnie dość często przedstawiane są zresztą w kategoriach humorystycznych. Powieść przygodowa prowokuje do ujęć sensacyjnych i Biliński chętnie z tego korzysta, ale bez przesady — sensacja służy z jednej strony pobudzeniu czytelniczej ciekawości, z drugiej zaś pozwala uwypuklić postawy bohaterów. Wyraźnie to widać w „Końcu wakacji", którego osnową stało się zagadkowe wydarzenie bezpośrednio poprzedzające wybuch wojny: oto w początkach trzeciej dekady sierpnia 1939 roku w okolicy Wielunia przeszedł na polską stronę niemiecki żołnierz, aby przekazać informację o terminie agresji. Na plan pierwszy wysuwa się siłą rzeczy rekonstrukcja motywów czynu Niemca, noszącego w powieści imię Ernsta Hochmana. Tkwią one głęboko w sferze etyki, są następstwem zwycięskiej próby charakteru, jakby pogłosem Conradowskiego ujęcia konfliktu sumienia. Dla Hochmana bowiem „ojczyzna" — to nie kontur terytorialnych granic, to nade wszystko treści psychologiczne i moralne. Hochman to intelektualista, pracownik uniwersytetu, który pozostanie w dotychczasowym miejscu pracy okupić musiał przynależnością do NSDAP. W obliczu dziejowych wstrząsów zwyciężyła w nim jednak postawa nonkonformisty, jakby na przekór przekonaniu o bezsilności intelektualistów w systemach totalitarnych. Swój trudny wybór uzasadnia Hochman słowami Augusta von Platena:

Ten, kto zła z duszy całej nienawidzi,
Ojczyznę nawet rzucić będzie musiał,
Gdy tam służalców lud wielbić je zacznie...

Po przejściu na polską stronę Hochman ma do czynienia głównie z Adamem Kossowiczem, lwowskim germanistą, aktualnie tłumaczem w sztabie armii „Łódź". Uzbrojony w humanistyczne, z dzieciństwa i lektur wyniesione ideały, żyje Kossowicz niejako na marginesie groźnych wydarzeń, a nie pojmując ich rzeczywistej istoty, żywi nadzieję, że całe zło minie w końcu jak zły sen. Kossowicz, zakochany w twórczości E. T. A. Hoffmanna, marzy o napisaniu monografii poświęconej życiu i twórczości tego niezwykłego artysty, obdarzonego niesamowitą wyobraźnią, pisującego utwory, w których wręcz roiło się od duchów i upiorów, od patologii i nieposkromionych żądz. Taki przedmiot zainteresowań nie pojawia się, rzecz prosta, przypadkowo — utwierdza w przekonaniu, iż rzeczywistość bywa groźniejsza od najbardziej nawet wymyślnej fantazji. Zbieżność nazwisk „Hoffmann — Hochman" nie jest przecież przypadkowa.

Sprowadzenie powieści Wacława Bilińskiego do wymowy symbolicznej byłoby uproszczeniem. Jest to proza bardzo zmysłowa, żywa, nasycona realiami, nie gardząca w swych postrzeżeniach różnego rodzaju detalami (niekiedy tylko posługująca się niewymyślnym kamuflażem w rodzaju: Braszka — Praszka, Bieluń — Wieluń). Jest to proza realistyczna, ale tak zorganizowana, że przemawia na różne sposoby: poprzez bezpośrednią narrację, poprzez aluzje do mniej lub bardziej znanych wydarzeń historycznych, poprzez sugestywność obrazowych sentencji w rodzaju choćby tej, Augusta Bebla: „Dlaczego w Niemczech nie może być rewolucji? Bo musieliby podeptać trawniki".

* * *

Autor „Wypadku" chętnie i konsekwentnie penetruje dzisiejsze postawy moralne, zwłaszcza w środowiskach wysokich urzędników, działaczy gospodarczych, naukowców i artystów, a nawet sportowców.

Prosta fabuła, nieskomplikowana kompozycja — aż dziw bierze, że z pretekstowego faktu kradzieży zabytkowej ikony, Madonny Pribleptos, można było stworzyć trzymającą w napięciu powieść, o wielorakim — jakby mimochodem rejestrowanym — wydźwięku. Mimo iż akcja „Ikon" toczy się w różnorodnym krajobrazie, przeważnie zresztą w Bieszczadach, można chyba mówić o powieści „kameralnej". Sprawy bowiem rozgrywają się w zamkniętym czworokącie. Cztery rozdziały powieści, sygnowane imionami bohaterów, przedstawiają bieg wydarzeń niejako z punktu widzenia kolejnej

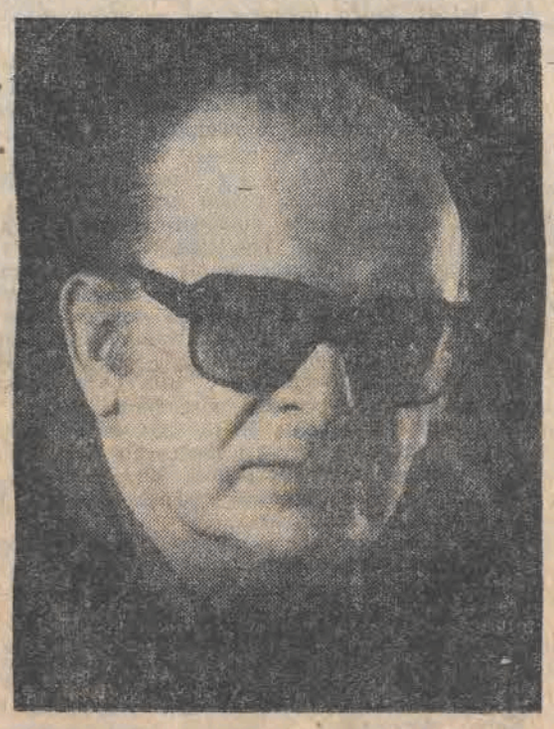

Foto: Ryszard Łucyszyn

dramatis personae. Kulminacyjnym momentem powieści okazuje się znalezienie martwego człowieka na jezdni. O fakcie tym bohaterowie „Ikon" nie powiadamiają jednak milicji, bo każdy miałby coś do stracenia: „Nie oni go potrącili. Nie oni są winni jego śmierci. W ich wozie czworo ludzi nie wiąże żadna zbrodnicza tajemnica. Nie oni zabili na drodze samotnego rowerzystę. A przecież samochód pełen jest strachu. Dlaczego? Wszyscy się boimy. Może nawet nie chodzi o tamtego, pozostawionego na szosie człowieka. Boimy się, że zostaniemy zdemaskowani. Maski. Udawanie. Pozory. Udajemy porządnych ludzi...". Tak oto niespodziewanie „Ikony" przekształcają się z powieści przygodowej w moralitet. Ludzie mieszczący się w fiacie przestają nagle interesować nas jako jednostkowi bohaterowie sensacyjnego romansu — jedynie ważne stają się ich p o s t a w y, te prawdziwe, nieoczekiwanie odarte z codziennych masek, pozbawione ustalonego rytuału, odwykłe bądź nieprzywykłe do zachowań bezkompromisowych. Pisarz wyjaśnia — jakkolwiek nie wprost — skąd to się bierze. Udajemy porządnych ludzi — bo musimy za takich uchodzić w oczach innych. Dla własnej próżności. Dla kariery. Dla poczucia bezpieczeństwa. Aby mieć coś w rodzaju alibi na wszelki wypadek. Zawsze potrafimy znaleźć wygodne wytłumaczenie, usprawiedliwić się przed innymi. A przed sobą? Na to pytanie odpowiedzieć już musi czytelnik.

Myślą przewodnią pisarstwa Wacława Bilińskiego staje się wciąż ponawiana próba postawienia diagnozy dotyczącej natury ludzkiej, diagnozy dotyczącej całego społeczeństwa, w którym żyją i poruszają się bohaterowie powieści. Nie chodzi o łatwe i efektowne uogólnienia, idzie raczej o wnikliwe (w tym przynajmniej stopniu, na jaki pozwala utwór fabularny adresowany do szerokiego odbiorcy) prześledzenie współczesnej sytuacji obyczajowej, idzie o krytyczny ogląd funkcjonowania niektórych instytucji społecznych. Biliński nie posiada zresztą ambicji socjologa, chce raczej przygotować grunt do możliwie wnikliwego rozpoznania, niejako zebrać materiał, podzielić się obserwacjami i przemyśleniami z kimś, kto jest czuły na problematykę jakościowego zróżnicowania naszej społeczności. Jednocześnie nie potrafi oprzeć się pokusie formułowania pytań, wymagających odpowiedzi konkretnej. Domaga się zdecydowanych, a nawet ostrych ocen i przewartościowań. Z każdej powieści autora „Nagród i odznaczeń" dałoby się zestawić listę owych pytań, w rodzaju: — co w naszym życiu (jednostkowym i społecznym) jest istotne, ku czemu wiedzie bieg wydarzeń, na ile jesteśmy w stanie nad nim zapanować, etc. Aby uzyskać odpowiedź szczerą należałoby wznieść się ponad wszelkie konwencje i przyzwyczajenia, zrezygnować z mimikry, spoza przygotowanych na różne okazje masek wychylić prawdziwe oblicze, rozstać się — na pewien przynajmniej czas — z indywidualną i społeczną mitologią. Czy jednak stać nas na to? W tej materii Wacław Biliński optymistą nie jest.

W pisarstwie Wacława Bilińskiego toczy się swoista psychomachia, trwa spór o moralną odpowiedzialność za czyny własne i innych. Na bohaterów powieści czyha niemało pokus. Z reguły okazują się oni ludźmi słabymi lub wygodnymi, co na jedno na ogół wychodzi. Dają się porwać strumieniowi życia i przegrywają próbę charakteru. Powszechność zjawiska niepokoi pisarza. Nic tedy dziwnego, iż zmierzch staje się słowem-kluczem powieści „Widoki o zmierzchu".

* * *

Bilińskiemu udało się stosunkowo dużo powiedzieć o mechanizmach życia politycznego przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w „Wyjaśnieniu". Jest ono zbliżone do powieści politycznej. Bohater „Wyjaśnienia" to człowiek z elity władzy — najwierniejszy realizator (a może i współkonstruktor) polityki „dynamicznego rozwoju" i specjalista od „manewrów gospodarczych", bystry, wytrawny gracz. Subiektywnie jest to z pewnością człowiek uczciwy, zafascynowany możliwościami rozmachu (jakże złudnego, jak się wkrótce miało okazać), pochłonięty ideą dorównania Europie. Jest to człowiek inteligentny, słabego wszakże charakteru — dostawszy się raz w orbitę dworskich układów nie potrafi sam się z nich wyzwolić. Dopiero burzliwy czas wyrzuca go za burtę. Wtedy postanawia wyjaśnić wszystko: przedstawić obiektywne i subiektywne uwarunkowania. Zerwał wszelkie kontakty ze światem, odizolował się nawet od domowników, zamknął się w czterech ścianach i zamaszyście pisze owo nieszczęsne wyjaśnienie. Usiłuje dać własną wersję polskiego kryzysu. Czynność ta okazuje się jednak pracą syzyfową. Wyjaśnienie nigdy nie zostanie ukończone, nigdy nie ujrzy światła dziennego. Co zostanie napisane — wędruje do kosza. Aż do samobójczej śmierci.

Jak pamiętamy zdarzały się w roku 1981 takie przypadki. Działania przedstawionych mechanizmów nie ogranicza zresztą Biliński do elity władzy. Mówi prosto i dosadnie — urodzić się w Polsce to dopiero nieszczęście, bo mamy paskudny charakter narodowy: „Albo serwilizm, wlazidupstwo, czapkowanie. Albo warcholstwo, rabacja, rokosz". W Polsce na ogół trudno znaleźć winnych, działa tu bowiem niezmienny historyczny schemat: rozbudzone nadzieje i zamiast ich urzeczywistnienia potężny krach. Dlaczego tym razem miałoby być inaczej? Takich sarkastycznych pytań wiele znajdujemy w książce Bilińskiego. Pytań w zasadzie bez odpowiedzi, bo po prostu adresowanych do czytelników.

Podstawowy motyw tej powieści: pisanie wyjaśnienia, którego nikt nigdy nie widział i którego nikt nigdy nie zobaczy ratuje powieść przed publicystycznym niebezpieczeństwem, jakim bywa jednoznaczność ocen. Fakty są powszechnie znane. A interpretacja? Spotykamy na przykład taką: „Polska kwadratura koła. Katastrofa. Kto za nią odpowiada? Rozmiary katastrofy. Odpowiedzialność jednostki? Czy grupy? Wszyscy w Polsce tylko o tym dyskutują. Różnią się tylko kunszt oratorski, kreacje aktorskie, szczere czy nieszczere deklaracje. Stocznia. Sejm. Sale w Białym Domu. Sala Kongresowa. Sypialnie małżeńskie. Konwersatoria: snobistyczne, reformistyczne czy po prostu kolejkowe. Miliony Polaków. Miliony w kółko powtarzanych tych samych pytań, tak jakby odpowiedź na nie mogła być i kamieniem filozoficznym, i gwarancją zmian na lepsze, i przynoszącym ulgę w cierpieniach panaceum". Tak więc Wacław Biliński — zgodnie z prawidłami funkcjonowania literatury pięknej — nie zmierza wcale do jednoznacznego wyjaśnienia polskiego kryzysu przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Stara się przede wszystkim pokazać, jak doń doszło, jak ów kryzys stał się po prostu możliwy.

Najważniejszy w tym pisarstwie jest problem odpowiedzialności. Konflikty, emocje i namiętności znajdowały we wcześniejszych powieściach Wacława Bilińskiego częściowe usprawiedliwienie w warunkach, w jakich żyli bohaterowie. Co nie znaczy, że akceptowane było prawo mimikry. Tym razem jest inaczej. Brak napisanego wyjaśnienia nie może oznaczać usprawiedliwienia. Bohater „Wyjaśnienia" sam wymierza sobie karę najwyższą i zarazem najokropniejszą — popełnia samobójstwo. I tragiczny ów gest musi zastąpić wyjaśnienie.

Podnoszone przez Bilińskiego kwestie moralne nie noszą znamion abstrakcji, same zaś powieści nie skłaniają ku parabolicznym uogólnieniom ludzkiego losu. Wacława Bilińskiego interesuje człowiek konkretny, określony czasem, miejscem, sytuacją. W ostatecznym rozrachunku interesuje go próba charakteru, przez jaką wszyscy — chcemy czy nie chcemy — musimy ciągle przechodzić. Warto więc czytać książki Wacława Bilińskiego: dla konfrontacji i nauki, ale i dla niepoślednich wartości artystycznych.

■

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko-obyczajowa

KTO STARSZY OD PANA PAWSZY?

Wiadomo, że „większy Pan Bóg niż pan Rymsza", bo dowodnie to stwierdził Adam Mickiewicz w „Panu Tadeuszu", ale kto starszy od pana Pawszy? Oczywiście również Bóg, gdyż jak pisał M. Wołowski w „Encyklopedii humoru" (Warszawa 1891):

Pan Pawsza i pan Tryzna,
Stary szlachcic, każdy przyzna:
Ale od pana Pawszy,
To chyba Pan Bóg starszy.

Dom Pawszów początek swój wiedzie od Pawszy, posadnika Wielkiego Nowogrodu, około 1270 r. Przodek Tryznów mało co później z Grecji zabłądził do Siewierszczyzny. Z tych dalekich, a niepewnych wywodów urosła przypowieść dla ich wyjaśnienia lub poparcia; jako żart dość wczesny, jako dowód nie ma powagi.

Kiedy na sejmiku żytomierskim, popierając jakiś wniosek, rozkrzyczał się Michał Pawsza, przytomny wojewoda kijowski, Stępkowski, powiedział mu równie donośnym głosem:

— Sza, Pawsza, bo jutro zobaczysz się z Matką Boską!

Z wojewodą niebezpiecznie było żartować; pogróżka poskutkowała i poszła w przysłowie.

A jeśli już o przysłowiach mowa, warto nadmienić, że ukazała się właśnie i zniknęła z półek księgarskich urocza książeczka „Na wszystko jest przysłowie" w wyborze, opracowaniu i ze wstępem Stanisława Świrki, skąd wypisuję grudniowy prognostyk na najbliższe miesiące: *„Adam i Ewa pokazują, jaki styczeń i luty po nich następują".*

RADZIWIŁŁ I ARMATA

Konstanty Gaszyński w znakomitej, godnej wznowienia książeczce „Kontuszowe pogadanki i obrazki ze szlacheckiego życia" (Paryż 1851), powtarza anegdotę o słynnym polskim facecjoniście Karolu Radziwille „Panie Kochanku":

Pewnego dnia u króla w Łazienkach opowiadał Radziwiłł, że pod Nieświeżem leży na polu tak wielka armata pozostała po Szwedach, że raz wracając z wizyty w ogromny deszcz, i widząc zamek jeszcze odległy, kazał forczpanowi wjechać w ową armatę przed burzą. Słuchający panowie dziwili się z niedowierzeniem ogromowi szwedzkiej śmigownicy. Wtenczas Radziwiłł odwołując się na świadectwo jednego ze swoich aworzan:

— Borowski, powiedzże, panie kochanku, czy to nie prawda?

— Tak, wielka prawda — odrzekł dowcipny dworak — że ja właśnie w tę samą porę schroniłem się był bryczką parokonną w armatę, ale postrzegłszy, że Jaśnie Oświecony Książę walił poczwórną karetą, wyjechałem zapałem, ażeby nie zawadzać!

KWESTIONARIUSZE

Już u schyłku XIX w. przestano wierzyć w poznawczą wartość ankiet i kwestionariuszy, o czym przekonujemy się z anonimowej fraszki, stanowiącej odpowiedź na kwestionariusz, w sprawie najwybitniejszych, zdaniem ankietowanego, dzieł literatury, nauki i sztuki, powstałych w XIX w. Kwestionariusz rozsyłany był przez redakcję „Kuriera Warszawskiego":

Pytał „Kurier" mądrego, na co rozum zda się?
Mądry milczał. Gdy coraz bardziej naprzykrza się,
Rzekł mu: na to się przyda, „Kurierze", jak tuszę,
Żeby nie odpowiadać na kwestionariusze.

Wcześniej podobną myśl rozwinął Krasicki:

Rzekł mu: na to się przyda według mego zdania,
Żeby nie odpowiadać na głupie pytania.

MIŁOŚĆ PODDANYCH

Krasicki, ozdoba poetów w wieku Stanisława Augusta, nie był przyjacielem oszczędności. Gdy raz bawił w Berlinie, zrobił 30 tysięcy długu. Na odjezdnym był na pożegnaniu u króla. Lecz gospodarz nie chciał Krasickiego puścić, bo mu nie miał czym zapłacić. Zasmucony udaje się na przechadzkę Krasicki i na nieszczęście, a raczej na szczęście, spotyka króla:

— Jeszcześ tutaj? — rzecze król.

— Poddani Waszej Królewskiej Mości tak mię kochają, że mię puścić nie chcą.

Król, rozśmieszony tą odpowiedzią, zgadł od razu znaczenie tych słów i dług Krasickiego zapłacił.

„Kurier Warszawski", 1835, nr 135

DO JEDNEJ

Dopieroś się teraz do mnie przybliżyła,
Kiedyś wianeczka swojego pozbyła;
Pójdź precz ode mnie, żeć tak rzekę czyście,
Zbywszy jagody, nie wab mnie na liście.

Jan Gawiński (w. XVII)

Opracował:
ANDRZEJ KEMPA

■

Księgarz z Walencji

MONIKA WARNEŃSKA

Saragossa wydawała mi się poważna, surowa, jak gdyby minione wojny, oblężenia i klęski wycisnęły na niej niezatarte piętno. Walencja, choć przeżyła również burzliwe koleje losu, jest znacznie bardziej pogodna. Za dnia nasycona blaskiem słońca, wieczorem prezentuje urok pięknie iluminowanych zabytkowych budowli, zwłaszcza licznych kościołów, skupionych w staromiejskiej dzielnicy. „Świetlista" — taki przydomek, często jej nadawany, nastręczył mi się samorzutnie, zanim znalazłam to określenie w przewodnikach.

Droga do Walencji dała mi pierwszą poglądową lekcję dotyczącą Levante, prowincji, której Walencja jest stolicą. Trasa kolejowa z Saragossy prowadzi w pobliże Costa del Azahar, Wybrzeża Kwiatu Pomarańczowego. Pomarańcze i mandarynki złocą się na drzewach — i leżą spiętrzonymi stosami w malowniczej hali targowej. Są tańsze i smaczniejsze niż gdziekolwiek indziej w Hiszpanii.

Często z zielenią h u e r t a s — pól uprawnych, sadów i plantacji sąsiaduje kawał ziemi suchej, stepowej — jak gdyby dla kontrastu, dla pokazania gruntów, których nie objęło dobrodziejstwo irygacji. Obfitość warzyw i owoców w prowincji Levante jest następstwem stuleci wytężonej, przemyślanej i rozumnej pracy. Nawadnianie ziemi tutejszej — to prastary element miejscowej gospodarki rolnej, a zarazem wielka sztuka. Podwaliny jej stworzyli Maurowie. Katalończycy, mieszkańcy Levante, nie mieli w sobie kastylijskiego fanatyzmu i uprzedzeń wobec muzułmanów. Czerpali wiele z ich doświadczeń, rozwijając je i ulepszając. Jednym z tych doświadczeń była sztuka irygacji gruntów. Na południe od Walencji ciągnie się La Albufera — teren intensywnie nawadniany, gdzie rośnie ryż. Hiszpania zajmuje w jego produkcji pierwsze miejsce w Europie. Lewantyńskie h u e r t a s i pola ryżowe wraz z życiem ich mieszkańców wprowadził na karty literatury obecnie zapomniany, niegdyś głośny pisarz z początków XX wieku, Vincente Blasco Ibanez.

Walencję założyli Grecy. Potem przechodziła kolejno w ręce Fenicjan, Rzymian, Wizygotów, Arabów. Hiszpański rozdział jej dziejów rozpoczyna się wraz z rekonkwistą, której dokonał Cyd. Ten właśnie rycerz o właściwym nazwisku Rodrigo Ruiz Diaz de Vivar, pochodzący z Burgos, obdarzony przydomkiem Campeador, co znaczy „zapaśnik — ambitny i porywczy, walczący raz po stronie chrześcijan, potem po stronie muzułmanów, ostatecznie zwrócił się przeciw Maurom i opanował Walencję. Rządził w niej, jako udzielny książę, energicznie i rozumnie aż do swojej śmierci w roku 1099. Maurowie nadali mu przydomek Cyd wywodzący się z arabskiego „sidi" — pan. Została po nim legenda która literacko rozwinął hiszpański dramatopisarz Guilles de Castro żyjący na przełomie XVI i XVII wieku. Na jego utworze Corneille oparł potem swoją słynną sztukę. W Walencji nie pozostały jednak żadne pamiątki po Cydzie — prochy jego przewieziono dawno do Burgos.

Wieczór w Walencji. Nad placem śródmiejskim dominuje katedra, która przed wiekami zajęła miejsce dawnego meczetu. Do niej przylgnęła ośmioboczna wieża gotycka Miguelete, w miejscowym narzeczu zwana El Micalet, czyli „Michałek". Przed katedrą mnóstwo ludzi odświętnie ubranych. Niebawem odbędzie się ślub. Panna młoda wygląda jak bajkowa wróżka w sukni z leciutkiej koronki o kolorze kości słoniowej, przetykanej złotem — i w koronkowym maleńkim welonie na kunsztownie upiętej fryzurze. Niemniej pięknie prezentują się drużki w brokatowych szerokich spódnicach, w staroświeckich mantylach i w „czółkach" podwyższających uczesanie. Pan młody przywdział szafirowy kubrak z czerwoną szarfą. Czerwona czapeczka z długim fontaziem, buty podobne do naszych kierpców i czerwone skarpetki uzupełniają ten oryginalny strój. Podobnie ubrani są drużbowie. Ktoś z widzów, dostrzegłszy moje zainteresowanie potwierdza że są to stare, tradycyjne stroje walenckie. Wszystkim nawet takim jak ja, przypadkowym świadkom uroczystości rozdawane są małe chorągiewki, którymi zebrani powiewają ku młodej parze opuszczającej świątynię.

W głównej kaplicy katedralnej przechowywany jest puchar z agatu, który zależnie od padającego nań światła mieni się różnymi kolorami, od szmaragdowej zieleni do krwistej purpury. Klejnot ów uważany jest za legendarny kielich świętego Graala, którym Chrystus posługiwał się podczas ostatniej wieczerzy. Podobno święty Piotr przywiózł ów puchar z Palestyny; trafił on najpierw do Hueski, potem do Walencji.

Dwie masywne wieże: Torre de los Serranos i Torre di San Bartolomeo wraz z łukowatą bramą pomiędzy nimi, pozostały jako reszta murów warownych, bezmyślnie zniszczonych w drugiej połowie ubiegłego wieku. Przez Porta de los Serranos wkroczyły do miasta wojska napoleońskie po długotrwałym oblężeniu Walencji, z której zresztą szybko musiały się wycofać. Trzecie co do wielkości miasto współczesnej Hiszpanii odegrało ważną rolę podczas wojny domowej dwukrotnie pełniąc zastępczą rolę stolicy republiki. Przypomnijmy: już w listopadzie 1936 roku ówczesny rząd ewakuował się z Madrytu do Walencji i pozostał w niej do października 1937 roku. Walencja była po kapitulacji Barcelony ponownie stolicą, tym razem na krótki czas — od 26 stycznia 1939 roku do ostatecznego upadku republiki. W marcu 1939 roku wycofały się stąd ostatnie oddziały republikańskie. Walencja zaprzestała oporu przeciwko frankistom dopiero 28 marca tegoż roku — tak jak Madryt.

Zainteresowała mnie mała księgarenka w cieniu katedry. Obok „Dnia Szakala" Fryderyka Forsyte'a w witrynie wyłożone są aż trzy książki o Janie Pawle II. Właściciel uśmiecha się zachęcająco — i aż mi przykro że go zapewne rozczaruję, nic nie nabywając. Pyta, skąd jestem? Z Polski? Rodaczka papieża!

Rozmówca włada nieźle francuskim, konwersacja jest więc łatwa. Pan Miguel P. interesuje się naszym krajem nie tylko ze względu na papieża. Pyta, co słychać w Polsce, jak rozwija się bieg wydarzeń w niespokojnym roku 1980. Ku mojemu zdziwieniu, jest całkiem nieźle zorientowany w sytuacji naszego kraju. Zostaję zaproszona po zamknięciu księgarni na p a e l l a à l a v a l e n c i a n a — i na pogawędkę. Jeśli chcę coś jeszcze zobaczyć w mieście, pan Miguel chętnie służyć mi będzie radą i pomocą.

P a e l l a à l a v a l e n c i a n a (składniki: ryż, kura, polędwica, langusty, mnóstwo jarzyn i jeszcze więcej znakomitych przypraw), okazuje się znakomita; znajomość z panem Miguelem — nieoceniona. Usłyszę od niego niejeden ciekawy szczegół dotyczący zabytków i osobliwości Walencji a także dziejów tego miasta. Właściciel księgarenki jest katolikiem, ale jak zaznacza — nie klerykałem. Można z nim rozmawiać o wojnie domowej, którą określa, jako tragedię narodową i straszliwe, gorzkie doświadczenie.

— *Przez dwieście minionych lat Walencja była jednym z miast najbardziej bojowych podczas każdej kolejnej walki o niepodległość. Francuzi za czasów napoleońskich stracili wiele czasu i ponieśli mnóstwo ofiar, zanim opanowali Walencję, zresztą na krótko. W roku 1808 wybuchło tu powstanie przeciwko nim, z mnichem, ojcem Rico, jako przywódcą. Te lata bardzo zubożyły Walencję. Dźwignęła się na nowo dopiero w drugiej połowie ubiegłego stulecia wraz z rozwojem przemysłu, zwłaszcza stoczniowego, chemicznego i metalurgicznego.*

— Czy podczas wojny domowej było bardzo ciężko? Pamięta pan te lata?

— *Owszem, było ciężko, choć na pewno nie tak, jak w Madrycie. Przypominam sobie to, co słyszeliśmy wówczas o kłopotach żywnościowych w stolicy. U nas pod tym względem było bez porównania lżej. Nic dziwnego; Walencja ma zaplecze rolnicze i ogrodnicze w pobliskich h u e r t a s. Nie przeżywaliśmy tak silnych bombardowań, jak nasi rodacy w Madrycie. Pamiętam przeładowanie miasta mnóstwem uciekinierów, ściągających nawet z bardzo odległych okolic. Potem, kiedy sytuacja uległa zaostrzeniu, kiedy przybliżyła się wojna — ginęli ludzie i doznawała zniszczeń niejedna z zabytkowych budowli...*

Wojna przybliżyła się do Walencji wiosną 1938 roku, pomiędzy 8 maja a 15 kwietnia. Celem ofensywy, rozpoczętej wówczas przez frankistów w Aragonii, było dotarcie aż na wybrzeże śródziemnomorskie, a tym samym rozcięcie republiki na dwie części. Potem miały nastąpić działania w Katalonii i opanowanie terenów nad granicą francuską w Pirenejach. Rebelianci przeważali liczebnie. Opór wojsk republikańskich został złamany. Frankiści szli jak taran, z miażdżącym impetem, wspierani również i tym razem przez niemiecki Legion Condor oraz włoski korpus ekspedycyjny.

Wtedy właśnie do stałych brygad wchodzących w skład 35 dywizji armii republikańskiej, a mianowicie do XI i XV Brygady Międzynarodowej włączono XIII Brygadę, w której walczyli Dąbrowszczacy. Znaleźli się oni więc pierwszy raz pod rozkazami generała „Waltera" — Karola Świerczewskiego — ale nie na długo. Brygady Międzynarodowe mimo całego doświadczenia i hartu bojowego podczas owych działań poszły w rozsypkę; dowódcy utracili kontakt z oddziałami. Ricardo de la Ciervan w „Ilustrowanej historii hiszpańskiej wojny domowej" podkreśla iż generał „Walter", który został odcięty na tyłach nieprzyjaciela od własnej dywizji, przedarł się do swoich pod ogniem nieprzyjaciela. Pięć brygad międzynarodowych, zdziesiątkowanych przez wroga, trafia wreszcie do miasta Caspe, skąd niebawem muszą one wycofać się w kierunku Gandesy. Okrążona brygada imienia Jarosława Dąbrowskiego — jedyna, która jako zorganizowana jednostka zachowała zdolność bojową — przebija się do głównych sił dywizji.

Tymczasem kolejne uderzenia frankistów rozbijają XI Brygadę Międzynarodową imienia Garibaldiego i XIV Brygadę Międzynarodową „La Marseillaise". Resztki XI i XV Brygady przyłączają się do oddziałów broniących Gandesy. Jest ona ostatnią redutą, osłaniającą dostęp do ujścia Ebro. Na polu walki pod Gandesą giną z bronią w ręku, do ostatka stawiając opór prawie całe słynne bataliony: niemiecki z XI Brygady, noszący imię Ernesta Thälmanna — oraz amerykański batalion imienia Lincolna z XV Brygady. Nieprzyjacielskie ugrupowania, korzystając z silnego wsparcia artylerii i lotnictwa, nacierają w kierunku wybrzeża. 15 kwietnia zdobyły jego trzydziestokilometrowy odcinek w rejonie Vinaroz.

Te dramatyczne wydarzenia rozgrywały się wiosną 1938 roku niedaleko Walencji po najnowszych zwycięstwach frankistowskich zagrożonej bezpośrednio. Rok przedtem Michał Kolcow, autor „Dziennika hiszpańskiego", korespondent „Prawdy" moskiewskiej, notując pierwsze wrażenia po przybyciu do tego miasta, zachwycał się „*delikatnym ciepłem, cudownym tchnieniem morza, aromatem kwiatów i owoców*". Po surowym, prawie górskim chłodzie i wojennym zgiełku Madrytu, była tu, jak pisze radziecki korespondent, „*prawdziwa kąpiel odżywcza*". Wokół miasta rozpościerały się sterty pomarańcz, jak złocisty kobierzec. Nie było ich gdzie wywozić, nie było komu ich sprzedawać. Nieco później Ilia Erenburg zanotował, że kiedy rząd republikański przeniósł się do Barcelony, „*Walencja podziła prawie normalne, prowincjonalne życie, tyle że przymierała głodem*".

Tej wiosny stała się, jak wspomina pan Miguel obecnie miastem po wojennemu surowym. Front był coraz bliżej. Ale ludzie wciąż jeszcze nie tracili nadziei. Nadziei zwycięstwa republiki.

Jeśli z ust mojego rozmówcy pada takie stwierdzenie, to znaczy, że i on żywił owe nadzieje. Nie mówię tego jednak na głos. Wolę bowiem nie psuć nastroju pogawędki, połączonej ze zwiedzaniem.

— *Szkoda, że nie przyjechała pani w marcu* — mówi siwy księgarz. — *Wtedy przypada uroczyście obchodzony u nas dzień świętego Józefa, wielka f e e r i a z obchodami f a l l a s. Słyszała pani coś o tym?*

Słyszałam i bardzo żałuję, że nie mam okazji zobaczyć tego święta. Walencję ogarnia wtedy bowiem wielka, zbiorowa euforia. Na placach miejskich pojawiają się pomniki i posągi, olbrzymie, lecz nietrwałe, sporządzone z drewna i masy papierowej. Przedstawiają one postacie prawdziwe bądź legendarne. Wiele tych ogromnych kukieł jest arcydziełami dowcipu i pomysłowości.

— *Przygotowanie f a l l a s trwa całymi miesiącami* — mówi pan Miguel. — *Stają one do konkursu. Twórcy posągów uznanych za najpiękniejsze, otrzymują nagrody i wyrazy uznania. Równocześnie odbywają się corridy, ulicami przeciągają barwne pochody, trwa parodniowy karnawał. Kilkaset orkiestr towarzyszy orszakowi młodych dziewcząt w strojach ludowych — i dzieci, które składają kwiaty. O, tu, właśnie gdzie jesteśmy teraz. Przed bazyliką pod wezwaniem Madonny Ponizonych* — N u e s t r a S e n o r a d e l o s D e s e m p e r a d o s.

F i e s t a trwa przez cały tydzień. Nocą z 19 na 20 marca niebo goreje od wspaniałych ogni sztucznych, a na placach płoną wszystkie f a l l a s. Taki jest finał każdorazowego „*święta prochu i ognia*", które wywodzi się z zamierzchłych czasów, z tradycji i obyczajów Celtów iberyjskich.

Pan Miguel chce pokazać mi wszystko, czego wczoraj nie zdążyłam zwiedzić w Walencji. Wędrujemy więc od barokowej bazyliki do również barokowego kościoła Santa Catalina o ważiutkich oknach i pełnej wdzięku sylwetce. Oglądam P a l a c i o d e l a G e n e r a l i d a d — dawną siedzibę miejscowych Kortezów, piękny okaz gotyku katalońskiego. Inne kościoły — wśród nich San Juan del Mercado, który najbardziej ucierpiał od pożaru podczas wojny domowej i nie został jeszcze do dziś całkowicie odrestaurowany. Pałac markizów de los Aguas, w którym mieści się narodowe muzeum ceramiki. Portal pałacu pokrywają rzeźbione w złotawym alabastrze postacie i mnóstwo ornamentów, nacechowanych kapryśnym, niespokojnym rozwichrzeniem.

— *Zaprojektował ten portal w roku 1740 malarz Hipolito Rovira. Był to wielki, niepospolity talent, który pogrążył się w obłędzie* — mówi pan Miguel.

Dzieło szalonego malarza nosi piętno jego osobowości, stanowiąc zarazem klasyczny przykład c h u r r i g u e s c o — późnobarokowego stylu, który nadawał falowanie gzymsom, kolumny zaś skręcał w niemal wężowe spirale. Ten bardzo hiszpański styl bogactwem ozdób początkowo fascynuje, potem przytłacza.

Pan Miguel, bardzo elokwentny, gdy mowa o dziejach Walencji, powściągliwie traktuje moje pytania dotyczące wojny i późniejszego okresu po niej. Domyślam się, ze skąpych półsłówek, że mego rozmówcy nie ominęło więzienie — na szczęście krótkotrwałe. Kilka osób z jego bliskiej rodziny do dziś pozostaje za granicą. „Mała stabilizacja", której wyrazem jest księgarenka, przyszła więc raczej późno.

Odprowadzając mnie do pociągu, pan Miguel przynosi mandarynki — i francuskie dzienniki, jako lekturę na dalszą podróż. Zbywa niecierpliwym ruchem ręki moje podziękowania — i głosem pełnym troski pyta:

— *Senora, czy tam u was w Polsce też nie zanosi się na wojnę domową?...*

Kilkanaście miesięcy przedtem na takie pytanie zareagowałabym raczej śmiechem. Usłyszawszy je wszakże jesienią roku 1980 daleka jestem od wesołości, choć mimo wszystko treść tych słów wydaje mi się nierealna.

— Skąd takie przypuszczenie, senor Miguel? Mamy rzeczywiście w naszym kraju poważny kryzys ekonomiczny i polityczny, a na jego tle istnieją rozdźwięki społeczne. Ale wojna domowa? Proszę wybaczyć, to raczej nonsens.

— *Czytam w naszej prasie, w gazetach włoskich i francuskich, że w Polsce wzrasta napięcie* — replikuje księgarz. — *Przypominają mi się różne rzeczy w mojej ojczyźnie — przed wielu laty.*

— Prasa zachodnia często przesadza i dramatyzuje. Chce za wszelką cenę wzbudzać sensację, i....

Urywam wpół zdania. Prasa zachodnia często przesadza, ale sytuacja u nas pod koniec roku 1980 staje się z dnia na dzień coraz trudniejsza. Ustawiczne strajki, coraz to nowe żądania, spotęgowane niepokoje...

— *Nawet jeśli nasza prasa przesadza... Nie może pani zaprzeczyć, że społeczeństwo polskie zostało podzielone. A to nie wróży nic dobrego.*

— Chyba zgodzi się pan ze mną, że nie ma społeczeństw jednolitych? Byłoby źle, gdyby wszyscy w całym kraju głosili jednakowe poglądy!

— *Zgadzam się, oczywiście. Ale co innego różnorodność poglądów, a co innego głębokie podziały, tak jak u was obecnie. Być może, my, Hiszpanie, zwłaszcza ludzie mojego pokolenia, jesteśmy na te sprawy szczególnie wyczuleni. Wy, Polacy, macie ogrom doświadczeń drugiej wojny światowej, obcego najazdu, prześladowań ze strony wroga, okrutnej okupacji. My natomiast dźwigamy cały bagaż wspomnień i pozostałości wojny domowej, wraz z tym, co ją poprzedziło, i co nastąpiło po niej. Trzeba uniknąć tych niebezpieczeństw, póki to jeszcze możliwe. Proszę wsiadać, senora, już czas. Życzę wszystkiego dobrego pani i waszemu krajowi! Niech pani pamięta, że...*

Ostatnie słowa stary księgarz wypowiada po hiszpańsku. Niezupełnie go zrozumiałam, stojąc już w oknie wagonu. Mówił coś o domu? Unosi dłoń na pożegnanie. Jego przygarbiona sylwetka i rozwiane, siwe włosy pozostają mi w oczach, jako ostatnie wspomnienie z Walencji.

(Fragment książki „Zwierciadło z Toledo", pisanej w latach 1980—81, która ukaże się niebawem nakładem Ministerstwa Obrony Narodowej).

Kronika kulturalna

OGÓLNOPOLSKIE Spotkania Kabaretów Wiejskich (po raz trzeci) odbędą się w dniach 5—9 marca br. Organizatorzy — Ośrodek Kultury Wsi ZMW „Scena Ludowa". Miejscem spotkań będzie Dom Wczasowy „Górnik" w Zawoi.

Zgłoszenia nadsyłać należy pod adresem — OKW ZMW „Scena Ludowa", ul. Sobieskiego 5/7, 31-136 Kraków. Do zgłoszenia należy dołączyć scenariusz programu, zatwierdzony przez Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Termin składania zgłoszeń — 31 stycznia 1986 r.

MUZEUM Historii Ruchu Rewolucyjnego w Łodzi, Oddział Radogoszcz eksponuje wystawę fotograficzną pt. „Dziecko i wojna" w siedzibie muzeum, ul. Zgierska 147.

KLUB „Pod witrażem" Stowarzyszenia Twórców Kultury w Łodzi zaprezentował film **Wojciecha Wójcika** pt. „Sam pośród swoich". Film i reżysera prezentowała **Maria Kornatowska.**

TOWARZYSTWO Przyjaźni Polsko-Radzieckiej informuje, że zbliża się termin eliminacji Konkursu Piosenki Radzieckiej. Szczegółowych informacji udziela Gabinet Muzyczny ŁDK ul. Piotrkowska 115/117 (tel. 32-47-46) i Łódzki Dom Przyjaźni przy ul. Narutowicza 48 (tel. 32-39-79).

Punkty Konsultacyjne XXV Ogólnopolskiego Konkursu Piosenki Radzieckiej otwarto we wszystkich dzielnicach Łodzi i miastach województwa łódzkiego.

AUTENTYCZNE zeznania byłych więźniów obozu w Radogoszczu są treścią widowiska pn. „Radogoszcz — spotkanie z lekcją historii". Autorzy: **Kazimierz Drobik** i **Jerzy Kopaliński**, ilustracja muzyczna — **Krystyna Pietranek**, scenografia — **Ryszard Pryt**. Reżyseria — **Konrad Łukasiewicz.**

Wykonawcami są aktorzy scen łódzkich. Spektakl jest prezentowany przez Dzielnicowy Dom Kultury Łódź — Bałuty i Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego Oddział Radogoszcz.

ŁÓDZKI Teatr Nowy utrzymuje od lat owocne kontakty z jugosłowiańskim środowiskiem teatralnym. W Małej Sali TN odbyła się ostatnio prapremiera polska sztuki **Dušana Kovačevica** pt. „Bałkański szpieg" w reżyserii **Grzegorza Sobocińskiego**, ze scenografią **Iwony Zaborowskiej.** Grają — **Wanda Chwiałkowska, Krystyna Tolewska, Janusz Kubicki, Bogusław Mach** i **Wojciech Pilarski.**

Sztuka jest szokującą groteską, obfitującą w absurdalne sytuacje.

JEDEN z najwybitniejszych artystów sceny polskiej — **Jan Świderski** obchodził siedemdziesiątą rocznicę urodzin. List gratulacyjny do jubilata wystosował premier **Zbigniew Messner.**

Jan Świderski ma w swym dorobku ponad 200 ról — teatralnych, filmowych i telewizyjnych. Jest laureatem Nagrody Państwowej I stopnia (1964 i 1976) oraz Nagrody I stopnia Ministra Kultury i Sztuki (1972).

Łódzcy widzowie mieli w grudniu ub. roku okazję podziwiać mistrza Jana Świderskiego, który wystąpił gościnnie w zorganizowanym przez Stowarzyszenie Artystyczne cyklu „Mistrzowie sceny polskiej".

Jak wiadomo choroba spowodowała, że znakomity aktor musiał przerwać swoje łódzkie występy. Miejmy nadzieję, że stan zdrowia Jana Świderskiego pozwoli mu wystąpić na łódzkiej scenie w najbliższym czasie.

MIŁOŚNICY muzyki rozrywkowej mieli ostatnio okazję posłuchać koncertu piosenkarki **Eleni** (w Teatrze Wielkim) oraz występu gwiazd jazzu — **Jarosława Śmietany, Jana Ptaszyna-Wróblewskiego i Andrzeja Zauchy** (w klubie „Relax").

Łódzki Wieczór Muzyki Bluesowej, zorganizowany przez Estradę Łódzką odbędzie się 25 stycznia w Teatrze Wielkim. Wystąpią: chór Collegium Musicum UŁ pod dyrekcją **Andrzeja Chmielowca**, orkiestra symfoniczna Akademii Muzycznej pod dyrekcją **Zdzisława Szostaka, Jan Skrzek, Stanisław Sojka** z zespołem, grupa „Dżem" oraz **Tadeusz Nalepa** z zespołem. Koncert prowadzi **Andrzej Jaroszewski.** Łódzka Tv zrejestruje koncert w całości.

TYGODNIK „Przyjaźń" przyznaje od roku 1974 coroczne nagrody teatralne za wybitne osiągnięcia artystyczne w dziedzinie prezentacji dramaturgii narodów Związku Radzieckiego. Za rok ubiegły laureatami zostali: **Janusz Nyczak** za reżyserię „Trzech sióstr" Antoniego Czechowa w Teatrze Nowym w Poznaniu, **Marek Okopiński** za wielokrotne, konsekwentne realizowanie sztuk radzieckich na scenach polskich i **Jerzy Koenig** za wybitne tłumaczenia najnowszych utworów dramaturgów radzieckich.

Nagrody wręczał przewodniczący ZG TPPR **Stanisław Wroński**, uczestniczył kierownik Wydziału Kultury KC PZPR **Witold Nawrocki.**

BIURO Wystaw Artystycznych w Skierniewicach zorganizowało wystawę indywidualną **Andrzeja Gruna.** Jest to 31 wystawa tego znanego artysty łódzkiego. Andrzej Grun jest także dziennikarzem i krytykiem, autorem esejów o sztuce i ciekawych programów telewizyjnych poświęconych sztuce.

Katalog wystawy opracowany przez autora ze zdjęciami **Andrzeja Wacha** i **Zdzisława Waltera** wydrukowany został w prywatnej Oficynie Drukarskiej w Łodzi.

Polemiki • Listy • Opinie

KARNAWAŁ NASZYCH PRZODKÓW

Szarość i monotonię codziennego życia mieszkańców dawnej Łodzi przerywał okres karnawału. Na jego przyjęcie przygotowywało się całe miasto: restauratorzy i cukiernicy, muzykanci, fryzjerzy, magazyny mód, nauczyciele tańca i punkty wynajmu karet i powozów, czyli tzw. remizy. Rozpoczynało się żniwo dla setek ludzi karnawałowej branży.

W gazetach miejscowych pojawiały się liczne inseraty firm handlowych, polecające mieszkańcom Łodzi bogaty asortyment towarów na okres karnawału. Uwagę czytelników zwracały anonsy nauczycieli tańca. Bywanie na balach należało wtedy do podstawowych, ale i miłych obowiązków towarzyskich, zaś umiejętność tańczenia — do bardzo pożądanych i cenionych zalet.

Zabawy karnawałowe otwierał słynny bal maskowy w Sali Koncertowej przy ul. Dzielnej 18 (Narutowicza). Na urządzanych tutaj balach mieszały się we wzajemnym obcowaniu różne warstwy społeczne. Obok zamożnych fabrykantów i kupców napotykało się tu zazwyczaj kantorowiczów i subiektów sklepowych, obok wytwornych pań „z towarzystwa" — bony i modystki, a nawet pokojówki.

Interesującą relację z maskarady w łódzkiej „koncertówce" przekazał czytelnikom korespondent jednej z gazet warszawskich:

„Wstęp otwarty jest dla wszystkich bez różnicy stanu, narodowości i stroju. W jednej z lóż piętrowych gra hałaśliwa orkiestra. W sąsiedniej salce płyną strumienie wódki i piwa, w lożach piętrowych gruchają zakochane pary. Na dole, na olbrzymiej sali wre ochoczy taniec. Orkiestra rżnie marsza, kilkadziesiąt par odważnych, bez ładu i porządku, sunie po olbrzymiej sali, huczą okrzyki, grzmi tupanie i szeleszczą suknie, zmęczone piersi tancerek falują, twarze płoną, oczy błyszczą, jakiś szał ogarnia tłum podochocony, który porwany tańcem zapomina o troskach, o jutrzejszej pracy i na pół pijany szaleje".

Bale w „koncertówce" nie zawsze pozostawiały po sobie przyjemne wspomnienia. Jak podawał „Rozwój" podczas jednej z zabaw jakiś złodziej skradł znanemu przemysłowcowi złotą papierośnicę wartości 300 rubli. Na tejże zabawie zgrabna „maseczka" ściągnęła jednemu z kupców portfel ze sporą zawartością gotówki.

Arystokracja przemysłowa zabawiała się w ściśle zamkniętych kółkach. Aby nie gorszyć ludu fabrycznego, balowała w swoich luksusowych pałacach przy szczelnie zasłoniętych kotarami oknach. „Z niemałym nakładem starań i pieniędzy urządza się bale karnawałowe u wielkich przemysłowców tutejszych — pisał W. Gorski w „Łodzi spółczesnej". — Przepych toalet współzawodniczy wówczas ze zdumiewającą okazałością przyjęć we wspaniale przystrojonych salonach".

Na balach magnaterii przemysłowej podawano zazwyczaj dwie kolacje. O północy gorącą — angielską i zimną — francuską nad ranem. Na balach mieszczańskich bufet był przede wszystkim słodki, z ciastami i winem, choć bywały i solidniejsze kolacje. Ambicją wszystkich organizatorów zabaw było dobre zaopatrzenie bufetu.

Kameralny charakter miały zabawy organizowane przez Stowarzyszenie Śpiewacze „Lutnia" w lokalu własnym przy ul. Piotrkowskiej 108. Gromadziły one inteligencję, kupców i rzemieślników polskich. Zabawy u „lutnistów" uprzyjemniały produkcje artystyczne amatorów. Bale maskowe w „Lutni" wyróżniała nie tylko prawdziwie rodzinna atmosfera, ale i staranna oprawa plastyczna pomieszczeń, w których się odbywały. Przykładem niech będzie maskarada, na której czytelnia „Lutni" i sąsiadująca z nią alkowa przekształcone zostały w dwie piękne groty. Na urządzenie ich zużyto 40 pudów tektury. Posiadały one efektowne oświetlenie. Salę prób chóru zmieniono w ogród i przyozdobiono dekoracjami wypożyczonymi z Teatru Polskiego. Na schodach wiodących na drugie piętro urządzono estetyczną karczmę „Pod kogutkiem", gdzie pod słomianym dachem raczono gości miodem i piwem.

Urządzaniem zabaw karnawałowych w Łodzi zajmowało się wiele stowarzyszeń społecznych i zawodowych. Organizatorzy tych imprez prześcigali się w pomysłowości. Na przykład na balu maskowym Stowarzyszenia Majstrów Przemysłu Włóknistego wyznaczono nagrody za najoryginalniejsze kostiumy. Pierwszą nagrodę — złoty zegarek — otrzymała właścicielka kostiumu wyobrażającego przemysł łódzki. Drugą nagrodę zdobyła pani przyodziana w kostium uosabiający jesień, wreszcie trzecia — uczestniczka balu przyodziana w kostium uszyty z... wiórków drzewnych.

Bal „Na plaży", zorganizowany przez komitet opiekuńczy Szkoły Rzemiosł przy ul. Wodnej, zgromadził kilkaset osób z różnych warstw społecznych. Sala balowa przedstawiała wybrzeże morskie z wysoką latarnią, w okienku której migotały różnokolorowe światła. Większość gości przybyła na bal w kostiumach używanych na plaży w kąpieliskach morskich, zatem panie w białych lub kolorowych sukienkach, panowie zaś w białych letnich ubraniach. Niektórzy z panów zbyt opacznie zrozumieli intencje organizatorów zabawy i pojawili się w strojach bardzo swobodnych, uważając, że „na plaży" każdy może używać pod tym względem swobody.

Zorganizowany po raz pierwszy w Łodzi przez grupę miejscowych malarzy Maskowy Bal Sztuki w pomieszczeniach Sali Koncertowej zaimponował pod względem szaty dekoracyjnej uczestnikom zabawy. Kilkadziesiąt różnego kształtu witraży kolorowych udekorowało salę tańca. Ściany przyozdobiono ucieszynymi karykaturami popularnych w Łodzi osobistości. W różnych miejscach ustawiono udekorowane pomysłowo kioski, w których pełne urody i wdzięku aktorki sprzedawały wino szampańskie i słodycze. Bal Sztuki zgromadził około tysiąca osób. Do tańca przygrywały na przemian dwie orkiestry. Panie w najbardziej oryginalnych maskach wyróżnione zostały nagrodami w postaci obrazów olejnych malowanych przez miejscowych artystów-malarzy.

Niektóre imprezy karnawałowe odbywały się na wolnym powietrzu. Przykładem tego była wielka zabawa łyżwowa na stawie w Helenowie (park im. 19 Stycznia). Impreza wypadła znakomicie. Kilkaset osób używało ślizgawki przy dźwiękach orkiestry wojskowej. Tańczono na lodzie pięknego walca, wieloosobowego kontredansa, a gdy o zmroku oświetlono staw lampą elektryczną i bengalskimi ogniami — zachwyt i podziw publiczności nie miały granic. „Znakomita aura" ściągnęła bowiem na lodową zabawę nie tylko łyżwiarzy, ale i tłumy widzów.

Niewielu mieszkańców Łodzi mogło pozwolić sobie na uczestnictwo w wielkich zabawach karnawałowych. Większość musiała liczyć się z groszem, toteż znacznym powodzeniem cieszyły się dostępne dla kieszeni uboższego łodzianina sale tańca, zwane z niemiecka „tancbudami". Salę tańca stanowiła zazwyczaj obszerna szopa, w której wieczorem zbierała się młodzież fabryczna. W pomieszczeniu pełnym kurzu i zaduchu, przy świetle lampy naftowej, odbywały się tańce. Zazwyczaj tancerzy było mniej niż tancerek, toteż gdy nie starczało partnerów, wówczas

Dama damę chwyta w braku kawalera,
Wywijają z sobą wściekłego sztajera!

WACŁAW PAWLAK

NAGRODA NOT

Prezydium Rady Wojewódzkiej Federacji Stowarzyszeń Naukowo-Technicznych Naczelnej Organizacji Technicznej w Łodzi zawiadamia, że 15 lutego 1986 r. mija termin nadsyłania wniosków o przyznanie nagród NOT za wybitne osiągnięcia w dziedzinie techniki. Nagrody te przyznawane są od 18 lat.

Dotychczas zgłoszono 634 wnioski, w których opracowaniu brało udział blisko 4 tys. osób.

Znaczącym sukcesem łódzkiego środowiska technicznego było przyznanie w latach 1978 i 1982 tytułu wicemistrza techniki w konkursie ogólnopolskim, który ogłaszany jest od 1977 r.

W 1985 roku zespół Koła Zakładowego SIMP przy Biurze Projektów Przemysłu Gumowego „Stomil" za opracowanie pt. „Maszyna do dynamicznego badania opon lotniczych" otrzymał honorowy tytuł Wojewódzkiego Mistrza Techniki NOT.

Inżynierowie i technicy winni zgłaszać wnioski o przyznanie nagród za pośrednictwem swoich macierzystych stowarzyszeń naukowo-technicznych.

Szczegółowych informacji udziela Dział Organizacyjny Rady Wojewódzkiej NOT w Łodzi, pl. Komuny Paryskiej 5a, pokój 304.

SKĄD SIĘ BIORĄ NARKOMANI

Chciałbym zainteresować czytelników kilkoma sprawami, które wcale nie wydają się być oczywistymi.

Po pierwsze — trzeba sobie otwarcie powiedzieć, że problem narkomanii wśród młodzieży w Polsce istnieje już od wielu lat, a ciągle jest traktowany po macoszemu, jakby z przymrużeniem oka, a niekiedy wręcz jako temat tabu. Mogę się uważać za doświadczonego praktyka, gdyż mam ponad dwudziestoletni staż w pracy z młodzieżą, z drugiej zaś strony przyznać się z niemałym wstydem i zażenowaniem do tego, że w pracy z narkomanami jestem zupełnie „zielony", a skala problemu narkomanii jest mi prawie zupełnie obca. A ileż w przeszłości godzin spędziłem na różnych „ważnych" i jakże bezsensownych często kursach, szkoleniach itp.? Na własnej skórze przekonałem się, że wyczucie, intuicja czy doświadczenie pedagogiczne — to stanowczo zbyt mało atutów w pracy z tą młodzieżą. Potrzebna jest gruntowna wiedza. A skąd ją czerpać, skoro w zasięgu ręki prawie pustka. Potrzebne jest rychłe i zespolone działanie, aby za kilka lat narkomania nie stała się tym, czym w dniu dzisiejszym jest alkoholizm. Przecież już, a może przede wszystkim — profilaktyka, wymaga wszechstronnego przygotowania merytorycznego i bogatego doświadczenia.

Po drugie — uważam, że korekty wymagają programy wychowawcze szkół, które w większości nic nie mówią, gdyż stanowią zlepek frazesów i to często wielokrotnie przeżutych, stanowią swoistą „grę w pozorowane". Marek Kotański w jednej ze swoich broszur stwierdził, że chcąc być w zgodzie z wytycznymi władz oświatowych miał dwa plany — „swój", który realizował, a drugi „na pokaz" dla władz. Takich sytuacji być oczywiście nie powinno.

Sądzę, że nowe kierownictwo resortu oświaty skończy z niedobrą zasadą odbijania piłeczki czy przerzucania odpowiedzialności, a skupi swoją uwagę między innymi i na tym, aby szkoła mogła się stać wzorem partnerstwa młodzieży z dorosłymi, aby kształciła zdrowe ambicje, aby uczyła żyć poczciwie i pożytecznie, aby dążyła do likwidacji nieufności i zakłamania między domem i rodzicami a szkołą i nauczycielami. Poświęcam tym sprawom tyle miejsca, gdyż bogatszy o doświadczenia minionych czterech miesięcy, a także o przeczytaną lekturę, którą udostępnili mi moi słuchacze, mogę stwierdzić, że narkomania jest wynikiem braków wychowawczych domu i szkoły, że pojawia się często jako wypełnienie pustki życiowej.

Żeby nie być gołosłownym dodam, że w drugi dzień świąt, na zaproszenie uczniów — byłych narkomanów, odwiedziłem Monar w Sokolnikach. Przez blisko dwie godziny pobytu zwiedziłem cały ośrodek, a także przeprowadziłem kilka bardzo szczerych i serdecznych rozmów.

Odnośnie braków wychowawczych w domu rodzinnym, to najczęściej powtarzanymi przykładami były: rozkład małżeństwa i dorastanie dziecka w atmosferze ciągłych awantur, wzajemnych oszczerstw i kłamstwa; brak zrozumienia przez rodziców małych, ale jakże ważnych problemów własnego dziecka; brak więzi uczuciowej; wychowywanie metodami ostrych reprymend i zastraszenia; wytwarzanie atmosfery obawy przed ojcem i matką; zbywanie dziecka byle jaką czy nieszczerą odpowiedzią.

Wcale nie mniejsza jest litania „grzechów" szkoły, wśród których najważniejsze wydają się być: zakłamanie i sztuczność postaw nauczycieli polegające między innymi na głoszeniu innych prawd „służbowo" i „prywatnie" na ucho; niesprawiedliwość w ocenie; brak ciepła i tolerancji dla błędów młodzieży; wychowywanie metodą nakazów i zakazów.

Jest rzeczą charakterystyczną, że Monar w terapii i resocjalizacji swoich mieszkańców proponuje dokładnie odwrotne warunki od tych, z którymi ci młodzi ludzie zetknęli się we własnych domach i szkołach. Koncepcja profilaktyki Monaru opiera się na korczakowskiej dewizie wychowania, że „wszystkie problemy dotyczące młodzieży powinny być rozwiązywane tylko z jej uczestnictwem". Może warto by tę dewizę wdrożyć do praktyki szkolnej?

Odezwą się w tym miejscu zapewne głosy, że wydziwiam, bo przecież w szkołach działają samorządy, organizacje młodzieżowe etc. To prawda. Tylko jaka jest ich rola? Marek Kotański przyznał, że na początku swej pracy z narkomanami, przeżył bolesne doświadczenia, ale z drugiej strony, gdy wypracowany przez niego system zaczął się sprawdzać, przestał eksperymentować, a zajął się żmudnym doskonaleniem tego, co przyniosło wymierne efekty.

Eksperymentować można w laboratoriach, ale nie w procesie wychowawczym. Moim zdaniem — to podstawowy błąd wszelkich programów wychowawczych w pracy z młodzieżą, których w minionym 40-leciu PRL mieliśmy niemało.

Wracając do Monaru trzeba podkreślić, że wbrew obawom i innym pseudopedagogicznym kalkulacjom, młodzież podyktowała sobie bardzo twarde warunki życia, między innymi rzetelną pracę na rzecz ośrodka i nie tylko, pełną samoobsługę, rezygnację z przyjemności i wygodnictwa, bezwzględną abstynencję, zaangażowanie w życie ośrodka, szacunek i życzliwość dla ludzi, bezwzględną uczciwość wobec siebie i innych, myślenie o przyszłości itp. W ten sposób, mozolnie, dzień po dniu, tworzą się zręby monarowskiej społeczności, przywracanie wartości takim słowom, jak: przyjaźń, miłość, lojalność, uczciwość, odwaga, rodzą się działania wypływające z nakazu i potrzeby serca.

W trakcie pobytu w Sokolnikach przeglądałem również kronikę i księgę pamiątkową ośrodka, dokumenty wspaniałych dokonań społeczności monarowskiej, ale też i jej porażek. Takie się niestety też zdarzają, a do najdotkliwszych należą ucieczki w dawny światek narkomanów, ucieczki, które nierzadko kończą się śmiercią.

Po trzecie — pragnę zainteresować odpowiednie czynniki tym, że Monar w Sokolnikach powinien być otoczony troskliwą opieką, przede wszystkim finansową.

Może w tym miejscu, nie rozumiejąc w pełni intencji programu Marka Kotańskiego, popełniam błąd zabierając głos w tej właśnie kwestii, ale odniosłem wrażenie, że na wyposażenie ośrodka bardzo by się przydał autokar. Byłby to niewątpliwie wspaniały prezent, który w znacznym stopniu ułatwiłby organizację czasu wolnego — wycieczki, biwaki, obozy, wyjazdy do kina czy teatru. Nie wiem tylko, czy moja propozycja nie kłóci się z modelem spartańskiego trybu życia i świadomej rezygnacji tej młodzieży z przyjemności.

Pobyt w sokolnickim Monarze był dla mnie bardzo potrzebną i pożyteczną lekcją. Jestem zdania, że takie doświadczenie powinien mieć za sobą każdy nauczyciel i wychowawca, a to chociażby dlatego, żeby przekonać się naocznie, że nie jest to wcale armia straceńców, wykolejeńców i zboczeńców sięgających moralnego dna, ale przede wszystkim gromada chorych, nieszczęśliwych, często zagubionych ludzi, którzy w większości bardzo pragną wyzwolić się z nałogu, którzy chcą mieć rodziny i własne dzieci, którzy myślą o wyborze ciekawego zawodu i życiu godziwym, którzy mają naprawdę ambitne plany na przyszłość. W wielu przypadkach myślą konkretniej od swych „normalnych", bo nie skażonych narkotykami rówieśników w szkole wieczorowej, hartują swoje dusze i są przygotowani na twardy bój. Towarzyszy im nadzieja, że i dla nich zaświeci słońce.

STANISŁAW SOWIŃSKI

SPROSTOWANIE

Złośliwy chochlik drukarski dwukrotnie wyrzucił z moich kolejnych tekstów o szczęściu słówko „nie" — zmieniając tym samym całkowicie sens odpowiednich zdań.

Prawidłowo powinno być:

1) w odcinku drugim (nr 2) — szpalta 3, akapit 2 — „Przyjemnościami godnymi wyboru są jedynie te rozkoszne doznania, za które n i e trzeba płacić poważnymi cierpieniami i kłopotami".

2) w odcinku trzecim (nr 3) — szpalta 4, akapit 4 — „Najważniejsze jednak, żeby robić coś dobrego i sprawiedliwego, bo wtedy życie jest dobre i n i e trzeba się go bać".

Przepraszam bardzo moich Czytelników. I jednocześnie informuję, że następne odcinki na temat wzorów życia szczęśliwego ukażą się w lutym.

EDMUND LEWANDOWSKI

DOM I SCHODY

Nie wyobrażam sobie, aby ktoś nie poczuł się dotknięty, gdyby zanegować jego inteligencję, kulturę, w końcu zaś brzydko się wyrazić na temat umiejętności współżycia z innymi. Jesteśmy jak jeden mąż — najwyższej klasy, a wszystko co się dzieje — to za sprawą „ich", anonimowych siewców nieporozumień, „psujów" i w ogóle...

Od lat jest sprawą oczywistą, że z drewniaków czy niewielkich kamienic czynszowych przeprowadzamy się do bloków. Nawet powrót do budowy domków jednorodzinnych (tam zresztą też się każdy o każdego ociera) nie zmieni faktu, że jesteśmy na siebie skazani. W tym samym bloku, w tej samej klatce. Nie musimy się znać, nie musimy się kochać, ale musimy czy raczej powinniśmy współżyć.

A jaka jest rzeczywistość? Niestety, nasz dom kończy się zazwyczaj za drzwiami własnego mieszkania. Korytarz, winda i otoczenie budynku to zupełnie inna sprawa. To nas nie obchodzi. Gdy odbierałem przydział lokalu kazano mi podpisać klauzulę, że w zamian za groszową zresztą obniżkę czynszu mam obowiązek sprzątać korytarz. Administracja sporządziła nawet specjalny grafik. No i co? Ano to, że niektórzy sprzątają, większość zaś nie. Dobrze, że chociaż gospodarz domu co jakiś czas uprzątnie podest na parterze i windę. Czy jednak rzecz w sprzątaniu? Śmiem twierdzić, że nie. Rzecz jest w ś m i e c e n i u.

Pomijam już, że mamy dość specyficzną sytuację: tuż obok jest sklep piekarniczy i czekający przed 6 rano klienci (po co — nie wiem, bo chleba i tak starcza), chroniąc się przed zimnem uważają za swój święty obowiązek pluć, rzucać pety, zapałki itp. Pewno u siebie w domu by tego nie zrobili, ale tu? Przecież to „niczyje"...

A my sami? Ano — puszcza się pieski samopas po schodach, a one jak wiadomo nie zawsze są na tyle dobrze wychowane, aby wytrzymać aż do trawnika. Czy jednak mieć pretensje do psów, jeśli nawet na wyższych kondygnacjach też leżą rozdeptane pety i wypalone zapałki. Zgodnie z zasadą „nim wejdę do domu — rozdeptać". Mimo że to nie gumno jak drzewiej bywało, lecz własny blok. Ważne pewno, że w mieszkaniu czysto (to jest — nie ma na podłodze rozdeptanych petów?).

I tak sobie „współżyjemy" po sąsiedzku. Wbijając kołki około 24.00 w nocy (a jak tu ustalić, kto to robi, skoro akustyka jest znakomita), zatykając zsyp połamanymi meblami, których nam się nie chce znieść na dół.

Kulturalnie.

Pomijam sprawę wiecznie otwartych drzwi wejściowych do klatki, gdyż pamiętanie o ich zamykaniu, przynajmniej w zimie — przekracza nasze możliwości. Mimo napisów, apeli... To za trudne!

Znam pewien dom czynszowy w Hilden (RFN), w którym każdy z lokatorów spaliłby się ze wstydu, gdyby na klatce schodowej było brudno. Sam oczywiście sprząta i dlatego nie śmieci. Podejrzewam nawet, że na klatce schodowej jest czyściej niż w niejednym mieszkaniu.

Ale takich porównań nie lubimy: są one niegodne naszego statusu i przyzwyczajeń.

W. AFELT

Julio Garcia Espinosa Romero

Nuevo Cine Latinoamericano

(korespondencja z Hawany)

ANDRZEJ MAKOWIECKI

1.

— Pierwsze materiały filmowe pochodzą z 1895 roku i stanowią skromną kronikę walk rewolucyjnych z okolic Santiago de Cuba. Trudno oczywiście mówić tu o dziele sztuki — ciągnie wiceminister kultury Julio Garcia Espinosa Romero — *ale faktem jest, że istnieje taki dokument zrealizowany przez ekipę francuską.*

— O ile wiem, pan również realizował filmy dokumentalne. Kiedy powstał pański głośny „El Mégano"?

— W latach pięćdziesiątych.

— A więc w okresie tyranii?

— W jej pełnym rozkwicie. bardzo chętnie kręcili na Kubie swoje komercyjne obrazy — wodewile, komedie, opowiastki kryminalne dające światu fałszywy choć egzotyczny wizerunek wyspy i społeczeństwa kubańskiego. Dysponowali najlepszym sprzętem, zatrudniali najwspanialszych reżyserów i aktorów, nie żałowali pieniędzy na reklamę. Wystarczy powiedzieć, że jeszcze w 1958 roku, kiedy tyrania Batisty chyliła się już ku upadkowi, zainwestowali w swoją filmową maszynerię na Kubie sześć milionów dolarów. W rok później, kiedy wycofali się zabierając sprzęt i likwidując wszelkie swoje interesy, zaczynaliśmy tworzyć pierwszą w dziejach narodu, niezależną kinematografię kubańską dysponując zaledwie kwotą miliona dolarów. I nagle okazało się, że nie jest to wcale tak mało, że wystarczy, aby przystąpić do produkcji pierwszych filmów rodzimych i aby sprowadzać w dalszym ciągu do naszych kin interesujące filmy zagraniczne.

— Świat pomagał wam w owym czasie.

— Bardzo. Tak czy owak, większość sal projekcyjnych nie przestała funkcjonować, obsługa nie straciła pracy, a widzowie mieli co oglądać.

2.

— Jest pan wiceministrem kultury oraz dyrektorem Instytutu Kinematografii (Presidente del Instituto Cubano del Arte e Industria Cinematográficos). Otrzymał pan wiele odznaczeń, między innymi order „Felix Varela", który jest najwyższym uhonorowaniem kubańskim w dziedzinie kultury. Twierdzi się również, iż był pan twórcą prądu zwanego Nuevo Cine Latinoamericano (Nowe Kino Latynoamerykańskie). Proszę wyjaśnić, na czym to kino polega.

— Wspominałem panu, iż od razu po zwycięstwie Rewolucji zaczęliśmy tworzyć narodową kinematografię, przy czym zarówno władza jak i widownia udzieliły nam wsparcia. Początki były skromne, ale dzisiaj produkujemy osiemnaście filmów rocznie. Współpracujemy z wieloma krajami świata — socjalistycznymi i kapitalistycznymi. Wśród tych ostatnich jest Hiszpania, Francja i Wielka Brytania. Jeśli chodzi o nasz blok, realizujemy obecnie w koprodukcji ze Związkiem Radzieckim obraz „La vida de Capablanka", traktujący o życiu wielkiego kubańskiego mistrza szachowego, który był postacią legendarną i nie miał sobie równych przy szachownicy.

— Czy przewiduje pan także współpracę z filmem polskim?

— Oczywiście. Wiążemy z tym duże nadzieje, tym bardziej, że już w 1987 roku zrealizujemy wspólnie dramat historyczny o kolejach losu generała Carlosa Roloffa Miałowskiego — wielkiego Polaka, który był bohaterem walk wyzwoleńczych na Kubie. Są już podpisane umowy, powstaje scenariusz.

3.

Dopiero wróciwszy do kraju dowiedziałem się, iż autorem scenariusza będzie polski poeta i prozaik, Bohdan Drozdowski. Tak się zresztą dziwnie złożyło, że w momencie, kiedy ja pisałem swój kubański reportaż, a było to przed Bożym Narodzeniem, w Zakopanem, w Domu Pracy Twórczej ZLP, w sąsiednim pokoju Bohdan Drozdowski wystukiwał na maszynie sceny filmowe z życia naszego wspaniałego, choć tak mało nam znanego rodaka. Powiedziałem Drozdowskiemu, iż będąc w Hawanie otrzymałem z rąk dyrektora Muzeum Regla, magistra Pedro Cosmy Bañosa, unikalny dokument z autentycznym podpisem generała Miałowskiego, który zamierzam oprawić w ramy i powiesić na honorowym miejscu w gabinecie. Powiedziałem również, że zapaliłem świeczkę na grobie Miałowskiego, kiedy zwiedzałem zabytkowy, hawański cmentarz Kolumba. Drozdowski zna ten cmentarz i ten grób z pięknego, białego marmuru, na którym widnieje tylko jedno słowo: ROLOFF.

Od pokazania tego grobu właśnie, na który najeżdża powoli z helikoptera kamera, rozpoczyna się akcja filmu. Byłby to jeden z owych naprawdę potrzebnych obrazów, jeśli weźmie się pod uwagę, iż na Kubie imię Roloffa znane jest praktycznie każdemu dziecku, w Polsce zaś nie wie o nim prawie nikt. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej opublikowało wprawdzie przed kilkoma laty obszerną, bogato ilustrowaną biografię Miałowskiego, napisaną z pietyzmem przez kubańskiego historyka Rolanda Alvareza Esteveza, ale ukazała się ona w małym, pięciotysięcznym nakładzie. Film kinowy, który z czasem pokazałaby zapewne telewizja, w większym stopniu oddałby hołd pamięci bohaterskiego Polaka, o którym jego towarzysz broni, José Marti, największy z kubańskich herosów powiedział:

— Był (Roloff) człowiekiem zasługującym na to, by rosła wielka palma na jego grobie.

4.

Wiceminister Julio Garcia Espinosa:

— Bardzo cenię film polski; przyjaźnię się z Jerzym Kawalerowiczem, któremu chciałbym za pańskim pośrednictwem przekazać pozdrowienia i ukłony. No, ale wróćmy teraz do spraw związanych z Nowym Kinem Latynoamerykańskim.

— Właśnie! Podejrzewam, że leży to panu na sercu.

— Otóż obecnie mamy koprodukcje z pięcioma krajami kontynentu: Peru, Boliwią, Kolumbią, Wenezuelą i Meksykiem, przy czym gotowi jesteśmy współpracować z każdym innym państwem naszego obszaru językowego, a także z Brazylią, która posługuje się językiem portugalskim. Realizując film w koprodukcji z krajami europejskimi stawiamy tylko jeden warunek: reżyser musi być Kubańczykiem. W wypadku Ameryki Łacińskiej nie stawiamy takich wymagań — swobodnie wymieniamy się reżyserami, aktorami, operatorami. Jak w rodzinie. Ameryka jest tylko jedna i tylko nasza, a film ją jednoczy.

Tu wiceminister Julio Garcia Espinosa powiedział zdanie, które zapisałem dosłownie:

— El movimiento del cine latinoamericano es movimiento decisivo para la liberacion de America Latina (poczynania kina latynoamerykańskiego są działalnością decydującą w wyzwalaniu kontynentu). *Władze kubańskie w pełni podzielają tę opinię i udzielają jej wsparcia, to samo trzeba powiedzieć o kubańskiej widowni. Kilkakrotnie wspomniałem, iż publiczność chadza tłumnie na rodzime filmy, ale równie chętnie ogląda to, co sprowadzamy z takiej na przykład Argentyny, Brazylii czy Peru. Zatem pańska, słuszna skądinąd teza o brutalnej i zwycięskiej ekspansji kulturowej USA, którą obaliłem już w odniesieniu do Kuby i Ameryki Łacińskiej, kiedy była mowa o tańcu kolektywnym i muzyce, pada po raz drugi, gdy dyskutujemy o arenie filmowej. Wiemy, iż Amerykanie z Północy chcieliby zawojować nasze sale projekcyjne, jesteśmy świadomi, jak bardzo im na tym zależy. Film nie przestał być potęgą, a jego oddziaływanie jest wielkie. Dlatego często sami czynimy starania, aby wyeksportować do Stanów Zjednoczonych, któryś z naszych filmów. O widownię jesteśmy spokojni biorąc pod uwagę, iż w USA przebywa aktualnie, legalnie i nielegalnie, ponad dwadzieścia milionów obywateli hiszpanojęzycznych, pochodzących z Ameryki Łacińskiej, jankesów zaś przyciągnie choćby zwykła ciekawość, jak wygląda ta dzisiejsza Kuba.*

— Trudno oprzeć się wrażeniu, że będąc niewielkim stosunkowo krajem próbujecie odgrywać w wielu wypadkach rolę przywódcza.

— Jesteśmy po prostu wolnym krajem. Mamy szlachetne intencje. Pragniemy zjednoczyć całą Amerykę Łacińską w jej walce o sprawiedliwość i demokrację.

— Stąd wzięła się idea organizowania festiwali filmowych?

— Tak. Pomiędzy drugim a szesnastym grudnia (85) odbędzie się w Hawanie siódmy już Międzynarodowy Festiwal Nowego Kina Latynoamerykańskiego.

— Jak scharakteryzowałby pan różnice pomiędzy waszym panamerykańskim festiwalem a powiedzmy, festiwalami w Moskwie czy Cannes?

— Festiwalom przyświecają z reguły szlachetne intencje zaprezentowania szczytowych, oryginalnych bądź eksperymentalnych osiągnięć sztuki filmowej. Dzieła są oceniane: chwalone i krytykowane. Twórcy poznają się, zbliżają do siebie, wymieniają poglądy, podejmują decyzje o współpracy. Dziennikarze mają platformę do szerokiej dyskusji, a widownia do zademonstrowania swoich sympatii. Nasz festiwal przebiega podobnie, posiada jednak nad każdym innym festiwalem tę przewagę, że nie musimy uciekać się do pośrednictwa języków obcych, wykładać swoich racji po angielsku lub francusku. Wszyscy władamy hiszpańskim, wszyscy myślimy po hiszpańsku, a prezentowane filmy nie wymagają tłumaczeń, dubbingów i czytanych list dialogowych.

— Krótko mówiąc: spotkanie w gronie rodzinnym?

— Si. W rodzinie też zdarzają się różnice poglądów, ale porozumienie jest łatwiejsze.

5.

Julio Garcia Espinosa Romero zademonstrował mi szeroką galerię plakatów filmowych, twierdząc, iż na tym polu sztuka latynoamerykańska też dorobiła się znaczących sukcesów. Analizował je ze znawstwem, a były rzeczywiście oryginalne, śmiałe, nieraz wprost wyzywające w barwach i formach. Na ścianach gabinetu wiceministra można było również podziwiać płótna kubańskich malarzy wiącznie ze wspaniałymi dziełami René Portocarrero, najwybitniejszego z pewnością twórcy kubańskiego, który zmarł zaledwie przed kilkoma miesiącami. W jednej ze stylowych restauracji, zbudowanej w ogrodzie na ruinach starego zamczyska, zachowały się jego niesamowite freski ścienne i witraże pełne drapieżnych kwiatów i kolorów.

Wiceminister mówi:

— Sztuka kubańska, mam na myśli malarstwo i rzeźbę, nie musi szukać natchnień za granicą, a jej korzenie są w równej mierze hiszpańskie co afrykańskie. Jednym słowem: jest taka, jak my: skóra może być ciemna, brązowa i biała, a oczy czarne lub niebieskie, krew jednakże w każdym wypadku będzie afrykańsko-kreolską mieszanką z niewielkim dodatkiem innych ras.

— Widuje się ludzi bardzo podobnych do Indian i Chińczyków — powiedziałem.

— Widuje się — przytaknął Espinosa — *Sądzę, że wprawne oko krytyka dostrzeże ślady tego we wszelkich przejawach naszej kultury.*

6.

Dyskutowaliśmy oczywiście o kubańskiej i latynoamerykańskiej literaturze, ale jest to temat, który chciałbym poruszyć przy innej okazji.

Pod koniec rozmowy Julio Garcia Espinosa Romero uczynił kilka przeraźliwie trafnych uwag, które można odnieść do każdego społeczeństwa.

— Twierdzi pan — powiedział — *iż Amerykanie (USA) zawojowali świat narzucając mu swoją kulturę i subkulturę, swój jazz, swoje kino, swoje komiksy, dżins, gumę do żucia, coca-colę, a ja próbowałem panu udowodnić, że Kuba i pozostałe kraje Ameryki Łacińskiej mogą oprzeć się z powodzeniem owej ekspansji, ba, przebić ją nawet, jak to zrobił nasz kubański rum, nasze sławne koktajle: daiguiri, cuba libre czy mojito.*

— Można by jeszcze wspomnieć cygara.

— Oczywiście. Wróćmy jednak do rzeczy. Nie ulega kwestii (obydwaj zresztą byliśmy co do tego zgodni), *że presja kultury na świadomość społeczną jest ogromna. Szczególnie zaś na świadomość młodzieży, tej piętnasto- szesnasto- siedemnastoletniej, która na podstawie obejrzanego filmu lub wysłuchanego utworu muzycznego buduje sobie świat ideałów i marzeń. Toczy się walka o rząd młodych dusz. Młodego chłopaka nie przekonasz do żadnej sprawiedliwej formacji ustrojowej tłumacząc mu tylko, że w socjaliźmie wszyscy będą mieli mieszkania, bo on na razie mieszka z rodzicami i mieszkanie nie jest mu potrzebne. Nie przemówi do niego argument, że chorzy będą mogli leczyć się za darmo w szpitalach, bo on na razie jest zdrowy i o szpitalu nie myśli, podobnie jak nie myśli o przytułku dla starców i zasłużonej emeryturze. Powiadasz, że nie będzie głodny, a on uśmiecha się, bo na razie karmi go mama; że będzie miał pracę, a on na razie uczy się i w wolnych chwilach woli tańczyć niż pracować, co jest w końcu normalne. Należy, rzecz jasna, wpajać młodzieży socjalistyczne ideały, należy tłumaczyć jej piękne zasady sprawiedliwości, równości i braterstwa. Kto jednak zapomina, co jest motorem działania każdego młodego chłopaka i dziewczyny, a w każdym razie — znakomitej ich większości, ten popełnia wielki błąd.*

— Mógłby pan to sprecyzować, panie ministrze?

— Owszem, Pareja. Wie pan, co znaczy to słowo po hiszpańsku? Młody chłopak szuka partnerki. Młoda dziewczyna szuka partnera. Gdzie szukają? Ano, właśnie w tych miejscach, o których dyskutowaliśmy: w salach tanecznych, w dyskotekach, w kinach, w teatrach muzycznych, w kawiarniach, w świecie małej i dużej kultury, która kształtuje ich, wzbogaca lub zubaża, uczy lub ogłupia. Są to często momenty rozstrzygające dla charakteru człowieka i jego przyszłych losów. Warto więc, nim para się znajdzie i rozpocznie dojrzałe życie, dać jej taką rozrywkę kulturalną, która tworzy ludzi dobrych i pięknych.

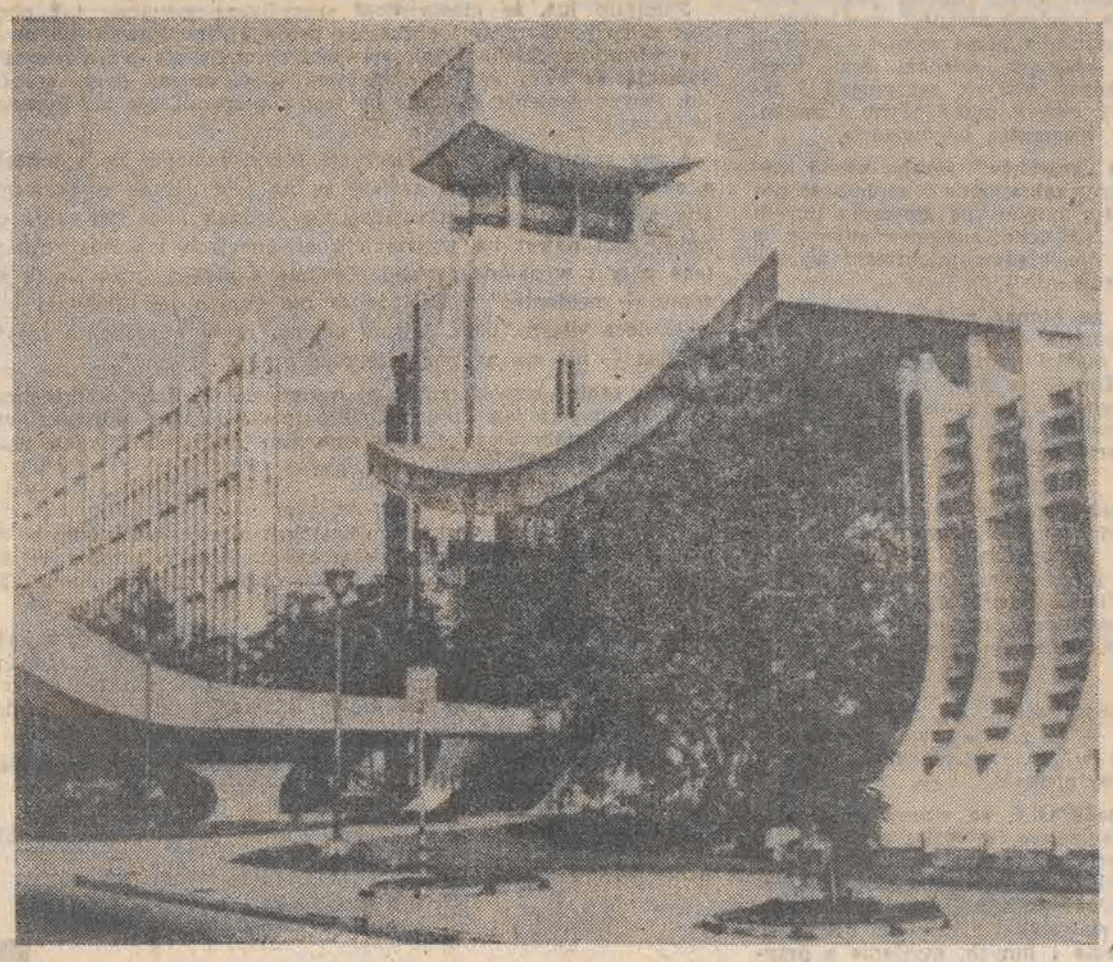

Kierowcy parkują swoje pojazdy „na styk"

Argentyńczyk nigdy się nie spieszy

GRZEGORZ WALENDA

1.

Kiedy przelatywaliśmy nad równikiem w atmosferze, jaka panowała na pokładzie, było coś z sylwestrowej zabawy. Strzelały korki szampanów, stewardesy rozdawały pamiątkowe dyplomy i znaczki. W końcu nieczęsto można podróżować na drugą półkulę. Jedynie na załodze samolotu wydarzenie to wydawało się nie robić specjalnego wrażenia. Później znowu wszyscy ułożyli się wygodnie w fotelach. Niektórzy spali lub czytali, inni z kolei podziwiali widok za oknami. Jednak mimo dużej ilości wrażeń, podróż zaczynała coraz bardziej męczyć. Gdy więc wreszcie stewardesa poinformowała, że za niecałe pół godziny samolot zacznie podchodzić do lądowania, nie byłem chyba jedynym pasażerem, który odetchnął z ulgą.

2.

Gęsta sieć ulic dzieli Buenos Aires na tysiące tzw. „caudras", charakteryzujących się zwartą i dość zróżnicowaną zabudową. Przeważają kilkupiętrowe budynki, pomiędzy które wciśnięte są domki parterowe. Gdzieniegdzie strzelają w górę nowoczesne wieżowce, często o przedziwnych kształtach. Niektóre mają za podstawę trójkąt, inne znów są potężnymi oszklonymi walcami. Miejscami miasto przypomina wielki plac budowy. Idąc ulicą należy uważać, aby nie zabrudzić ubrania farbą lub cementem. Wszędzie bowiem coś się buduje, remontuje lub rozbiera. Trzeba też patrzeć pod nogi, gdyż można łatwo wpaść w zakryty do połowy deskami dół albo potknąć się o ruchomą płytę chodnikową. Wrażenie nieładu potęgują leżące przed domami torby foliowe, w których Argentyńczycy wyrzucają codziennie śmieci.

O ile jednak dziurę w chodniku można ominąć, o tyle znacznie trudniej jest przejść przez ruchliwą ulicę. W Buenos Aires ruch nasila się rano, gdy mieszkańcy stolicy śpieszą do pracy, a także w godzinach wieczornych. Wtedy najczęściej tworzą się korki, a średnia prędkość samochodów nie przekracza kilkunastu kilometrów na godzinę. Ale ulice zapełnione są również przez pozostałą część dnia. Kierowcy rzadko włączają kierunkowskazy, natomiast dość często naciskają na klakson.

Dokonując ekwilibrystycznych manewrów w wartkim potoku aut, płynącym po szerokich, często jednokierunkowych, ulicach, zwracają uwagę jedynie na sygnalizację świetlną na skrzyżowaniach. Jeśli pieszy zechce przejść przez jezdnię, to musi zachować dużą ostrożność, gdyż kierowcy dość niechętnie zwalniają. Drobne stłuczki są tu na porządku dziennym, dlatego też nikt nie rozpacza nad zadrapanym lakierem, czy wklęśniętym zderzakiem Charakterystyczny jest sposób parkowania pojazdów. Jeśli miejsca przy krawężniku jest zbyt mało, należy swoim autem przepchnąć kilka centymetrów samochód, który przed sobą ma jeszcze trochę luzu i... gotowe. Następni zrobią to samo. Podobno niebezpiecznie jest zostawiać auto na ulicy przez dłuższy czas, gdyż mogą być później kłopoty z jego odszukaniem, jeśli będzie codziennie po kilka razy przepychane. Argentyńczycy przyzwyczaili się już do takiego sposobu parkowania i nawet nie zaciągają ręcznego hamulca, aby nie przeszkadzać sobie nawzajem.

3.

W Buenos Aires spotkać można samochody rozmaitych marek. Pod tym względem stolica Argentyny nie różni się specjalnie od Paryża czy innych europejskich miast. Charakterystyczne są tu jedynie autobusy — silne i niezawodne „Mercedesy" o nieco przestarzałej sylwetce nadwozia, które pędzą ulicami, praktycznie jeden za drugim, zatrzymując się przeważnie tylko na żądanie. Swoimi kolorami i kształtem przypominają — spotykane w lunaparkach — pojazdy dla dzieci. W miejscach o dużym nasileniu ruchu odległość między przystankami nie przekracza kilkunastu metrów. Oczywiście przy każdym zatrzymują się autobusy innych linii. Pasażerowie kupują bilety od kierowcy, który rusza, gdy tylko wszyscy wsiądą, a już podczas jazdy — manewrując w strumieniu aut — pobiera opłatę, wydaje resztę i bilet. Autobus jest w Buenos Aires niezwykle szybkim i — co należy dodać — dość tanim środkiem transportu.

W mieście funkcjonuje też 5 linii metra, które łączą, położone w pobliżu portu, centrum z innymi dzielnicami tzw. „Capital Federal" czyli stolicy właściwej, oddzielonej od prowincji Buenos Aires obwodnicą „General Paz". Linie kolejki podziemnej nie są zbyt długie, a więc stanowią jedynie dodatek do prężnej komunikacji autobusowej, ustępującej niemal wyłącznie pod względem wygody, zawsze dostępnym, czarno-żółtym taksówkom.

4.

Wśród mieszkańców stolicy przeważa biała ludność pochodzenia europejskiego. Indianie, którzy pierwotnie zamieszkiwali obszar dzisiejszej Argentyny, zostali niemal całkowicie wytępieni w latach 1878—1883. Wcześniej jednak, w wyniku związków Indian z hiszpańskimi kolonizatorami urodziło się wielu Metysów, stanowiących obecnie znaczny procent społeczeństwa. Z Metysów wywodzili się legendarni „gauchos" — odpowiednicy amerykańskich kowbojów. W XIX wieku Argentyna przeżyła prawdziwy najazd Europejczyków, szukających pracy w charakterze robotników rolnych. Najwięcej było wśród nich Hiszpanów i Włochów, których potomkowie tworzą dziś trzon miejscowej ludności. Razem z nimi napływali do Argentyny m. in. Francuzi, Anglicy, Niemcy, Szwajcarzy, Austriacy, a także Polacy — zadomowieni zwłaszcza na terenie prowincji Misiones.

Kraj liczy obecnie około 30 mln mieszkańców, z których prawie jedna trzecia żyje w obrębie tzw. Wielkiego Buenos Aires (Capital Federal i prowincja). Mieszkaniec stolicy rozpoczyna dzień od wypicia filiżanki kawy lub herbaty ziołowej — tradycyjnego argentyńskiego napoju, do dziś przygotowywanego w drewnianych lub metalowych kielichach, będącego naparem z liści krzewu „mate". Suszone zioła wsypuje się do specjalnego naczynia i zalewa gotowaną, ale nie wrzącą wodą. Tak przyrządzony napój Argentyńczyk sączy przez metalową rurkę, zaopatrzoną w sitko, które zatrzymuje rozmoczone liście, przepuszczając jedynie zielonkawy gorzki płyn. Zioło „mate" — znane również w Paragwaju i innych krajach Ameryki Południowej — jest środkiem pobudzającym oraz wpływa korzystnie na proces przemiany materii. Specyficzny sposób parzenia i picia „mate" wymaga czasu, na którego brak raczej nikt tu się nie uskarża. Kioskarze i sprzedawcy często w ciągu dnia sączą napój czekając na klientów.

W ogóle Argentyńczycy sprawiają wrażenie ludzi spokojnych, którzy rzadko się spieszą. Zresztą nie sądzę, aby ktoś nerwowy mógł znieść jazdę do pracy lub powrót z niedzielnego wypoczynku w kilometrowych korkach, gdy samochody posuwają się do przodu w żółwim tempie. Trzeba się do tego po prostu przyzwyczaić. Każdy bowiem musi rano wyruszyć do pracy, a podczas weekendu żaden Argentyńczyk nie odmówi sobie wypadu na świeże powietrze z rodziną.

W sobotę do południa w mieście jest jeszcze gwarno, gdyż otwarte są wszystkie sklepy. Po obiedzie natomiast ruch zamiera i tak jest już do niedzieli. Mieszkańcy stolicy wyjeżdżają za miasto, aby na łonie przyrody zjeść tradycyjne „asado" (pieczeń) z rożna. W bardziej znanych miejscach jest wówczas tłoczno niemal, jak w centrum Buenos Aires. Dużym powodzeniem cieszą się oczywiście restauracje. Niektórzy jednak wolą sami przyrządzić posiłek. Rozkładają ruszt i rozpalają ognisko, do którego wrzucają specjalne bryły węgla. Kiedy ogień zgaśnie, nad żarem rozstawia się ruszt z kiełbaskami i mięsem. Proces pieczenia trwa ponad godzinę. Czekając na główne danie biesiadnicy jedzą chrupiące bułki z masłem i popijają wino. Mocniejsze alkohole, takie jak np. whisky, są bardzo rzadko spożywane.

O ile potrawy — przynajmniej te typowe, oparte głównie na mięsie wołowym — nie są wyszukane, o tyle wybór win jest ogromny. W wielu restauracjach, które zapełniają się w południe, a następnie w późnych godzinach wieczornych, butelki z dziesiątkami gatunków win leżą na ustawionych wzdłuż ścian regałach, czekając na smakoszy. Kolację Argentyńczycy zaczynają jeść po godzinie dziewiątej. W pustych do tej pory restauracjach nagle zaczyna brakować wolnych miejsc. Na posiłek przychodzą całe rodziny. Nawet małe dzieci towarzyszą rodzicom w nocnych ucztach, trwających często kilka godzin.

5.

Oczywiście życie Argentyńczyków nie mija tylko na pracy i jedzeniu. Dużym powodzeniem cieszy się sport. W Buenos Aires co rusz spotyka się korty tenisowe — najczęściej wyposażone w sztuczne oświetlenie, co jest tu bardzo ważne, zważywszy że w tygodniu czas na rozrywkę można wygospodarować dopiero wieczorem. Najwięcej zwolenników ma jednak piłka nożna. Mecze drużyn klubowych oraz reprezentacji cieszą się zawsze ogromnym zainteresowaniem, a najpopularniejsze zespoły pochodzą właśnie ze stolicy. Rozgrywane są też towarzyskie mecze między drużynami z zakładów pracy. W tego typu spotkaniach liczy się przede wszystkim dobra zabawa, a wynik i poziom gry nie mają większego znaczenia.

Jeśli ktoś nie interesuje się sportem może obejrzeć spektakl w jednym z ponad 40 teatrów stolicy. Najsłynniejszy z nich to „Colón" — teatr opery i baletu, z przepięknym wnętrzem, kilkupoziomowymi balkonami i doskonałą akustyką, na którego scenie występowało wielu światowej sławy artystów. Mimo dużej liczby miejsc na widowni, bilety do „Colón" przeważnie wyprzedane są już kilka tygodni przed poszczególnymi spektaklami. Dla miłośników filmu w Buenos Aires jest blisko 200 kin, w których wyświetlane są najczęściej najnowsze szlagiery importowane z USA lub z krajów Europy Zachodniej. Po zmroku handlowo-rozrywkowe centrum stolicy w rejonie ulic „Florida", „Corrientes" i reprezentacyjnej, zadziwiająco szerokiej, alei „9 de Julio" ze słynnym obeliskiem, tętni życiem.

Sklepy otwarte są do późnych godzin wieczornych, gwarno jest w restauracjach, a uliczni sprzedawcy oferują — przyrządzane na poczekaniu — gorące orzeszki ziemne w słodkim syropie. Gdzieniegdzie domorośli artyści prezentują swoje umiejętności aktorskie lub muzyczne, licząc na to, że zainteresowani ich występami przechodnie wrzucą trochę pieniędzy do czapki lub przeznaczonego na ten cel futerału od gitary. Mniej towarzyscy mieszkańcy Buenos Aires, których męczy uliczny gwar, spędzają wieczory przed telewizorem. Mogą oglądać swój ulubiony program na jednym z pięciu kanałów. Największe powodzenie mają seriale i filmy pełnometrażowe z USA, wypełniające większość czasu antenowego. Poszczególne punkty programu emitowane są bez zapowiedzi spikera, a oddzielają je tylko reklamy, które pojawiają się też co kilka minut w trakcie trwania audycji. Pod tym względem telewizja argentyńska bardzo przypomina północnoamerykańską, zwłaszcza że — jak już wspomniałem — zdominowana jest przez wyprodukowane w USA programy. Ostatnio rozwija się w Buenos Aires sieć telewizji kablowej, która wkrótce obejmie swoim zasięgiem cały obszar stolicy.

Turyści najczęściej rozpoczynają wędrówkę po stolicy od „Plaza de Mayo", gdzie mieści się „Różowy dom" czyli siedziba rządu oraz słynna katedra — największy kościół w Argentynie i zarazem jedna z najstarszych w mieście budowli. Dwanaście korynckich kolumn zdobiących fronton sprawia, że katedra przypomina paryski kościół Madeleine, chociaż podobno nie jest jego kopią, jak niektórzy sądzą. Przy tym samym placu stoi zabytkowy budynek, gdzie na początku ubiegłego stulecia utworzono pierwszy lokalny rząd.

Buenos Aires jest miastem wspaniałych pomników wzniesionych ku czci ważnych postaci z historii kraju, wśród których na czoło wybija się generał José de San Martin, zwany tu „Wyzwolicielem", ze względu na zasługi w uwolnieniu Argentyny spod hiszpańskiego panowania. Dużo o historii państwa można dowiedzieć się, zwiedzając liczne muzea. Wreszcie — zarówno turyści jak i mieszkańcy stolicy — mogą podziwiać miejscową przyrodę, łączącą typową dla naszego klimatu roślinność z palmami i podzwrotnikowymi krzewami w jednym z wielu pięknych parków.

6.

Miłym zaskoczeniem była dla mnie obecność akcentów polskich w Buenos Aires, których — muszę przyznać — nie spodziewałem się spotkać tak daleko od kraju. Spacerując ulicą „Florida" natrafiłem na wystawę rysunków satyrycznych, gdzie, wśród dzieł artystów z wielu państw, nie zabrakło również prac polskich plastyków, takich jak Chodorowski, Jujka czy Krzyskow. Ponadto stolicę Argentyny odwiedził Krzysztof Zanussi, którego twórczość jest za Atlantykiem znana i ceniona. Natomiast w telewizji Argentyńczycy mogli obejrzeć kilka polskich filmów. Zaprezentowano „Spiralę" i „Constans" Zanussiego, „Amatora" Kieślowskiego oraz trzy filmy Andrzeja Wajdy.

Gdyby ktoś kilka miesięcy temu zapytał mnie z czym kojarzy mi się nazwa Buenos Aires, odpowiedziałbym bez wahania, że z gorącymi gitarowymi rytmami i słynnym tangiem, które podobno narodziło się w malowniczej, choć ubogiej, dzielnicy Boca. Dziś, gdy wspominam stolicę Argentyny, mam przed oczami ruchliwe ulice, tysiące małych sklepów i tłumy przechodniów. O „europejskim" obliczu tego odległego miasta łatwo jednak zapominam, kiedy włączam przywiezioną z podróży kasetę z argentyńską muzyką, której najchętniej słucham popijając napar z liści „mate".

Ulica Florida — znany deptak handlowy. Ruch maleje tu tylko w niedzielę.

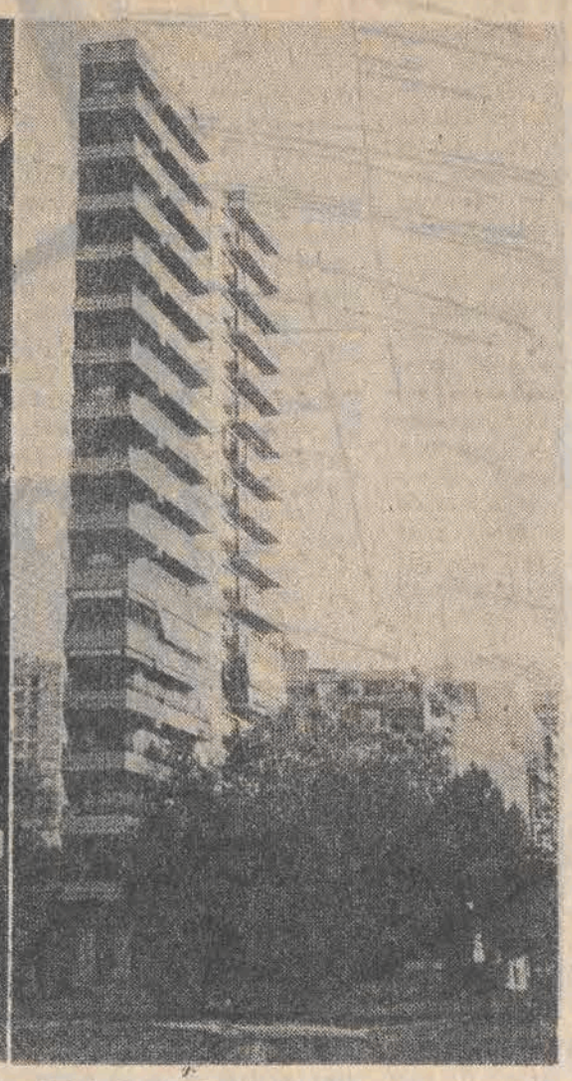

Zadziwia niecodzienna architektura

Foto: Grzegorz Walenda

„W obronie upadłej kobiety”

KRZYSZTOF BARANOWSKI

W 1922 r. Łódź pasjonowała się sprawą sądową, która została wytoczona wiceprzewodniczącemu rady miejskiej w Łodzi młodemu, bo liczącemu zaledwie 31 lat, działaczowi PPS Stanisławowi Rapalskiemu oraz jeszcze młodszemu od niego redaktorowi socjalistycznego tygodnika „Łodzianin” Władysławowi Doleckiemu.

Pozornie sprawa nie miała politycznego charakteru, a dotyczyła tylko metod pracy stosunkowo mało ważnej instytucji władz państwowych jakim był Urząd Sanitarno-Obyczajowy w Łodzi. W podtekście bardzo jednak wyraźnie występowały motywy walki politycznej między obozem postępowym a konserwatywnym, częściowo także dotyczył on kompetencji władz państwowych, w tym wypadku reprezentowanych przez Urząd Sanitarno-Obyczajowy, a pozostającym pod silnymi wpływami socjalistów zarządem miejskim w Łodzi.

TROCHĘ HISTORII PROSTYTUCJI

Otóż, ażeby zrozumieć tło tego procesu musimy się cofnąć znacznie wstecz i przedstawić jak wyglądał stosunek władz do zagadnienia prostytucji w czasach dawniejszych oraz w latach międzywojennych. W miastach dawnej Polski teoretycznie obowiązywały surowe zasady moralne głoszone przez przepisy prawa miejskiego, opartego na tzw. „Zwierciadle Saskim” zwanym u nas „Krwawym Saxonem”, które głosiły, że „cudzołożnik mieczem będzie karan”. W praktyce sądowej rzadko jednak odwoływano się do tych przepisów. Niekiedy władze różnych miast urządzały „polowania na kobiety powłóczne”, czyli prostytutki, smagano je pod pręgierzem oraz ku uciesze gawiedzi chętnie uczestniczącej w takim widowisku wypędzano je z miasta.

Już jednak w drugiej połowie XVIII w. niektórzy z magnatów nie gardzili dochodami z prostytucji i w należących do nich jurydykach dawali schronienie dobrze się opłacającym „nierządnicom”, które otaczali nawet pewnego rodzaju opieką. Od końca XVIII w. we Francji władze państwowe specjalnymi przepisami poczęły regulować działalność prostytucji, aby uchronić ludność przed plagą chorób wenerycznych. Również i na ziemiach polskich od początku XIX w poczęła w tym zakresie obowiązywać kontrola władz państwowych. Prostytutki w olbrzymiej większości zostały skoszarowane w wielkich domach publicznych, które były połączone zwykle z szynkami. Właściciele tych instytucji w bezprzykładny sposób wykorzystywali nieszczęśliwe kobiety które w pewnym stopniu stały się jakby ich niewolnicami.

W ciągu jednak XIX w. w większości krajów Europy przeprowadzona została tzw. reglamentacja prostytucji. Domy publiczne związane z wyszynkiem napojów alkoholowych zostały skasowane. Na terenie Królestwa Polskiego od końca XIX w. mogły mieszkać w jednym lokalu najwyżej cztery prostytutki. Otrzymywały one od władz specjalne książeczki zdrowia tzw. czarne książki, do których wpisywane były wyniki ich każdorazowego badania lekarskiego.

Po powstaniu państwa polskiego władze wydały szereg rozporządzeń teoretycznie mających poprawić „ciężką dolę prostytutek”. Opiekę nad nimi powierzono nie policji, ale specjalnym urzędom sanitarno obyczajowym podległym Ministerstwu Zdrowia. Bezsprzecznie spowodowało to pewną poprawę w położeniu tych nieszczęśliwych kobiet. W niektórych jednak miastach, szczególnie zaś w Łodzi, niewłaściwe funkcjonowanie tej instytucji różnego rodzaju nadużycia ze strony jej pracowników, a szczególnie agentów obyczajowych, którzy mieli wyłapywać nie zarejestrowane prostytutki, doprowadziło do licznych nadużyć.

A tymczasem w wielu krajach Europy, np w Anglii, Holandii, Szwajcarii Norwegii i Finlandii, zlikwidowana została reglamentacja prostytucji. Natomiast poczęto odpowiednio organizować akcję profilaktyczną w stosunku do chorych wenerycznie. Dało to zresztą bardzo dobre wyniki.

STANISŁAW RAPALSKI PISZE ARTYKUŁY

I oto w lutym i w marcu 1922 r. znany w Łodzi działacz socjalistyczny Stanisław Rapalski na łamach tygodnika „Łodzianin” opublikował duży artykuł pt. „W obronie upadłej kobiety” w którym nie tylko atakował cały system reglamentacji prostytutek, ale również i działalność Urzędu Sanitarno-Obyczajowego. Pisał on: *„Przeciętny mieszkaniec „Łodzi nie ma potrzeby bliżej interesować się tą instytucją. A jednak z urzędem tym związana jest niejedna tragedia życia ludzkiego. Od wyroku komisji, która sądzi w tym urzędzie, zależy, czy osoba oskarżona może nosić tytuł wolnego obywatela, czy też otrzyma piętno hańby w postaci czarnej książki, a w związku z tym... tytuł wyrzutka społeczeństwa...”.*

Rapalski zwracał uwagę, że *„ofiarami zawodowej prostytucji padają tylko dzieci proletariatu”*. Przytaczał dane statystyczne, odnoszące się zresztą do innych krajów, z których wynikało, że *„przeciętnie 85 proc. prostytutek zawodowych to dzieci robotników, które nędza i głód pchnęły na drogę demoralizacji. 12 proc. to dzieci uboższej pracującej inteligencji, 3 proc. pochodzi ze sfer zamożniejszych”*. Kończył zaś swój pierwszy artykuł stwierdzeniem: *„Z wyrzutem sumienia musimy sobie powiedzieć, że my, społeczeństwo, jesteśmy temu winni, że miast oświaty, miast pracy, miast serdecznej ochrony, dajemy przede wszystkim urząd policyjno sanitarny, szpital dla wenerycznie chorych, a w końcu więzienie. I cóż pogódźmy się z faktem, wszak żyjemy w ustroju kapitalistycznym, a więc wszystkie uświęcone środki tego ustroju z konieczności respektować musimy. Jednakże mamy prawo domagać się, aby urzędy nie były tyranią obywateli, aby nie były rozsadnikiem tych przestępstw, do których zwalczania są powołane”.*

W następnym numerze „Łodzianina” Stanisław Rapalski pisał o funkcjonowaniu Urzędu Sanitarno-Obyczajowego w Łodzi, a także Towarzystwa Ochrony Kobiet, w którym *„co wtorek odbywa się cenzura moralności dziewcząt, które podejrzane są o uprawianie nierządu”*. W jego mniemaniu pokutował tam jeszcze duch inkwizycji z XVI w. *„Dziewczyna, która odbyła tę cenzurę, nim ostatecznie na niej przybiją to piętno, pod którym całe życie ugina się, taka dziewczyna rzeczywiście może powiedzieć, że odbyła kilka chwil w piekle. Nie będę wymieniał osób, które biorą udział w tej cenzurze, ale to jest coś, co urąga wszelkim pojęciom ludzkim”.*

Z kolei przytaczał Rapalski szereg przykładów, jak to kobiety, które już dawno porzuciły prostytucję zmuszane były do ustawicznych badań kontrolnych, których nie można było pogodzić z pracą zawodową, jak zmuszano je do powtórnego przyjęcia czarnej książki, jak przez pracowników Urzędu Sanitarno-Obyczajowego były szykanowane. Kończył zaś swój drugi artykuł stwierdzeniem: *„jeżeli do tego dodamy ciągłe opiekowanie się przez agentów i dowiadywanie się o moralności tych dziewcząt w ich otoczeniu, to dojdziemy przekonania, że jest nonsensem twierdzenie, aby dziewczyna upadła mogła się wyzbyć swej hańby prostytucji, gdyż działalność, względnie zarządzenia Urzędu Sanitarno-Obyczajowego utrudniają jej, a nawet uniemożliwiają wykonywanie uczciwej pracy”.*

W trzecim artykule Stanisław Rapalski zajął się sprawą działalności kierownika tego urzędu dr Władysława Stanisławskiego. Lekarz ten postępował w sposób wyjątkowo arbitralny, przekreślając w zasadzie możliwości porzucenia przez prostytutkę tego hańbiącego zawodu. Ponieważ pozostający pod wpływami socjalistów zarząd miejski Łodzi rozpoczął starania, aby we współpracy z katolickim duchownym ks. Franciszkiem Sieczką, kierować te dziewczyny, które chciały porzucić prostytucję do specjalnych zakładów resocjalizacji, dr Stanisławski *„wysyła alarmujące listy do Wojewódzkiego Urzędu Zdrowia z prośbą o natychmiastową pomoc, gdyż uważa, że powaga jego i Komisji do Spraw Nierządu jest zachwiana”.*

W czwartym z kolei artykule Stanisław Rapalski wypowiadał się jako zdecydowany przeciwnik reglamentacji prostytutek. Wykazywał również, iż w innych miastach polskich obowiązujące przepisy nie były tak bezwzględnie interpretowane i nie dochodziło w nich do takich przykrych szykan wobec kobiet, które chciały porzucić prostytucję, jak w Łodzi.

Artykuły Stanisława Rapalskiego pisane były z olbrzymim temperamentem polemicznym. Stąd znalazło się tam np. wyrażenie: *„a wszelkiego rodzaju mamutom, którzy poza obrębem swego Urzędu nie widzą końca własnego nosa”*. Pozornie nie wymienione było, że autor miał na myśli dr Stanisławskiego, ale każdy czytelnik mógł się tego domyślać.

Ponieważ w tamtym czasie w Łodzi bardzo ostre były antagonizmy między władzami państwowymi a samorządowymi i ustawicznie dochodziło do sporów kompetencyjnych, obrażony dr Władysław Stanisławski znalazł poważnych sojuszników. Oto Urząd Prokuratorski przy Sądzie Okręgowym w Łodzi wniósł oskarżenie przeciw Stanisławowi Rapalskiemu oraz redaktorowi „Łodzianina” Władysławowi Doleckiemu o znieważenie urzędnika państwowego, jakim był dr Stanisławski. Sąd Okręgowy reprezentowany przez późniejszego prezydenta Łodzi Mariana Cynarskiego, znanego działacza endeckiego, w związku z wnioskiem prokuratora zamieścił jeszcze pozornie groźną, a w gruncie rzeczy tylko dość nieuprzejmą klauzulę: *„środek zapobiegawczy zmienić na kaucję w wysokości 100.000 marek od każdego z podsądnych, a do złożenia kaucji osadzić Rapalskiego i Doleckiego w areszcie”* Naturalnie Rapalski i Dolecki zapłacili kaucję i nie zostali wysłani do aresztu, ale już sama taka wzmianka wskazuje, że sędzia Cynarski traktował postawione przez Rapalskiego zarzuty, jako ciężką obrazę urzędnika państwowego.

PROCES

6 października 1922 r. w Sądzie Okręgowym w Łodzi odbyła się rozprawa przeciw Stanisławowi Rapalskiemu i Władysławowi Doleckiemu. Na salę przybyła liczna publiczność. Znalazło się tam również wielu sędziów, prokuratorów i adwokatów, pragnących przysłuchiwać się tej niecodziennej sprawie. Rozprawę prowadził wspomniany już Marian Cynarski, oskarżał prokurator Jan Skubiczewski. Rapalskiego bronił adwokat Rafał Kempner.

Przez salę rozpraw przewinęło się wielu świadków powołanych zarówno przez obronę, jak i przez oskarżyciela publicznego, byli to więc lekarze, pracownicy szpitala dla wenerycznie chorych pod wezwaniem Marii Magdaleny, dziewczęta, które zmuszano do przyjmowania tzw. czarnych książeczek lub też szykanowane ustawicznymi badaniami, ich rodzice, pracodawczynie, u których były zatrudnione i in.

Badania te w sposób jak najbardziej wyraźny wykazywały metody usług dr. Władysława Stanisławskiego i podległego mu personelu Urzędu Sanitarno-Obyczajowego. Oto bardzo często młode dziewczyny, nie mające nic wspólnego z nierządem zostawały jako domniemane nie zarejestrowane prostytutki, przyprowadzane przez agentów do Urzędu Sanitarno-Obyczajowego i następnie zmuszane do regularnego, trzy razy w tygodniu przychodzenia na badania lekarskie. Ponieważ odbywały się one w godzinach przedpołudniowych uniemożliwiało to posądzanym o prostytucję dziewczętom posiadanie stałej pracy. A wreszcie wielu z pracodawców dowiedziawszy się o tym, że ich pracownica uważana jest za kobietę publiczną i obowiązana jest do tak częstych badań lekarskich, rezygnowało z zatrudniania ich, a niekiedy nawet bez wypowiedzenia wyrzucało z roboty.

Zdarzało się, że i sam kierownik Urzędu dr Władysław Stanisławski zmuszał młode dziewczyny, posądzone może najzupełniej niesłusznie o nierząd, do przyjęcia osławionej czarnej książki. Oto np. jedna z dziewcząt, występująca w tamtym procesie jako świadek, zeznawała *„Jak byłam pierwszy raz, to powiedział* (dr Stanisławski): *jak pani jeszcze raz będzie u nas, to pani będzie zmuszona wziąć czarną książeczkę. Z początku nie miałam książki, a za drugim razem byłam zmuszona wziąć... Czarna książka leżała pół roku, a na ulicę nie wychodziłam, ale na kontrolę musiałam chodzić... Lokatorzy starali się umieścić mnie w fabryce, ale nie mogłam w fabryce pracować, bo mnie odrywali od zajęcia, żebym chodziła na kontrolę”.*

Matka jednej z dziewcząt, zmuszanych bezpodstawnie do ustawicznych badań, podczas tego procesu stwierdzała, że jej córka *„nigdy nie chodziła po ulicy, a miała książkę, bo jej siłą dali. Ja spaliłam tę książkę i musiałam 100 marek kary zapłacić za to”.*

Ojciec tej dziewczyny zeznawał: *„Pracowała w fabryce blisko dwa lata, ale pracować nie mogła, bo dr Stanisławski ją wzywał na kontrolę. Powiedział dr Stanisławski, że jak nie przyjdzie trzy razy na tydzień na kontrolę, to z fabryki diabli ją wezmą, bo on agentów tam pośle”.* Wówczas sędzia zadał świadkowi pytanie: *„Czy córka zajmowała się prostytucją”.* Świadek odpowiedział: *„Raz tylko zbłądziła z jednym oficerem. Prostytucją się nie zajmowała, bo pracowała w fabryce i była pod naszą opieką”.* Sędzia zwrócił się znów do świadka: *„Więc ojciec pozwolił, żeby jej dali książkę”.* Świadek odpowiedział: *„Ja robotnik fabryczny, czy ja mogę znać prawo?... Chciałem udowodnić świadkami, że ona nigdzie nie wychodzi, że pracuje, ale się nie mogłem z doktorem porozumieć... Mnie ojca biednego wysłuchać nie chcieli.... Żona ciągle przez sześć tygodni chodziła. Tłumaczyła mu, że córka uczciwie się prowadzi i zaręczała świadkami”.*

A oto wyjątek z przemówienia adwokata Kempnera: *„Rodzice tej dziewczyny Józef i Józefa R. opowiedzieli smutne, bolesne dzieje swych długich starań, usiłowań, wreszcie utarczek z dr. Stanisławskim, żeby wydobyć córkę z tych kleszczy... Dr Stanisławski nie przedstawił żadnego dowodu, że córka ich zawodowo uprawia nierząd i mimo to dano jej czarną książeczkę. Ta czarna książeczka wywołała taką zgrozę, taką nienawiść, że matka tę książkę spaliła... Nic nie pomogło. Siłą, przemocą R. ściągnięto najpierw do Urzędu, a z Urzędu na ulicę”.*

A oto inny fragment przemówienia adwokata Kempnera: *„Weronika P. — to laborantka w aptece, którą ajenci tak zmaltretowali, tak prześladowali, że zażyła jodyny, trując się. Dziś ta P. jest prostytutką i powie sądowi, że nie kto inny na tę drogę ją sprowadził, jak tylko te zabiegi Urzędu, podległego naszemu Ministerstwu Zdrowia, które jest właśnie powołane do przeciwdziałania temu”.*

O metodach postępowania pracowników Urzędu Sanitarno-Obyczajowego mówiły zeznania pewnej bardzo młodej dziewczyny: *„Byłam na zabawie w Helenowie, to po wyjściu zatrzymali mnie na ulicy ajenci Urzędu... Ja prosiłam, żeby nie zatrzymywali mnie... a oni oświadczyli, że puszczą jeśli pójdę z nimi do Helenowa, albo zaaresztują mnie... Ja poszłam do Helenowa z nimi... Później upili mnie wódką... byłam w nietrzeźwym stanie... oni zabrali mnie do Hotelu Polskiego”.* Adwokat zadał wówczas pytanie: *„Kazali pani rozebrać się? Rozebrali panią?”.* Dziewczyna odpowiedziała: *„Tak”.* Z kolei adwokat zapytał: *„I zachowali się niewłaściwie — pani mnie rozumie”.* Dziewczyna odpowiedziała: *„Tak”.* Adwokat dalej pytał: *„To było za zgodą pani”.* Dziewczyna odpowiedziała: *„Nie... Po tym wypadku w hotelu ajenci przychodzili, abym chodziła na kontrolę. Nie chciałam, żeby rodzice dowiedzieli się o tym. Chodziłam na kontrolę po kryjomu przed rodzicami, lecz prostytucją się nie trudniłam. Na kontroli wyśmiewały się ze mnie koleżanki, że i tak jestem prostytutką, choć po ulicy nie chodzę... Później zostałam prostytutką”.*

DWA WYROKI

Zeznania licznych świadków wykazały w jak najbardziej wyraźny sposób metody pracy dr. Władysława Stanisławskiego i podległego mu personelu Urzędu Sanitarno-Obyczajowego. Dlatego też mimo wyraźnej niechęci sędziego Mariana Cynarskiego do oskarżonych, co odczuwa się czytając stenogramy rozprawy, to jednak musiał wydać wyrok uniewinniający.

Pognębiony zupełnie dr Władysław Stanisławski w miesiąc po sprawie w sądzie okręgowym przeniósł się z Łodzi na lekarza powiatowego do Torunia.

Na tym jednak nie zakończyło się postępowanie przeciw Stanisławowi Rapalskiemu i Władysławowi Doleckiemu. Oto niezadowolony z wyroku sądu prokurator wniósł skargę do Sądu Apelacyjnego w Warszawie, domagając się skazania Stanisława Rapalskiego na cztery miesiące, a Władysława Doleckiego na dwa miesiące więzienia.

Z niewiadomych przyczyn do sprawy w sądzie apelacyjnym doszło dopiero 12 czerwca 1924 r., a więc w przeszło 17 miesięcy po sprawie w sądzie okręgowym. Znów po raz drugi omawiana była działalność Urzędu Sanitarno-Obyczajowego w Łodzi oraz dr. Władysława Stanisławskiego. Swoistą wymowę miały zeznania duchownego ks. Franciszka Sieczki, którego zeznania były wyraźnie korzystne dla oskarżonych.

Z bardzo trudnych do zrozumienia przyczyn sąd apelacyjny opierając się na zeznaniach świadków oskarżenia, przedstawiających olbrzymie zasługi dr. Władysława Stanisławskiego, wydał w stosunku do oskarżonych Rapalskiego i Doleckiego, wyrok skazujący. Miał on jednak charakter tylko symboliczny. Stanisław Rapalski skazany został na pięć dni aresztu, natomiast Władysław Dolecki na trzy. Jednocześnie na zasadzie amnestii wymierzone kary zostały darowane. Jedynie więc tylko zasądzone zostały od nich koszty sądowe.

Mimo tego pozornie skazującego wyroku zarówno Stanisław Rapalski, jak i Władysław Dolecki, wyszli z tego procesu zwycięsko. Zmusili oni ówczesne władze sanitarno-obyczajowe, nie tylko zresztą w Łodzi, ale i w całym państwie, do zmiany postępowania, do bardziej humanitarnego i wnikliwego postępowania nie tylko wobec prostytutek, ale również i wobec tych wszystkich kobiet, które niekiedy najzupełniej niesłusznie posądzane były o tajemne oddawanie się nierządowi.

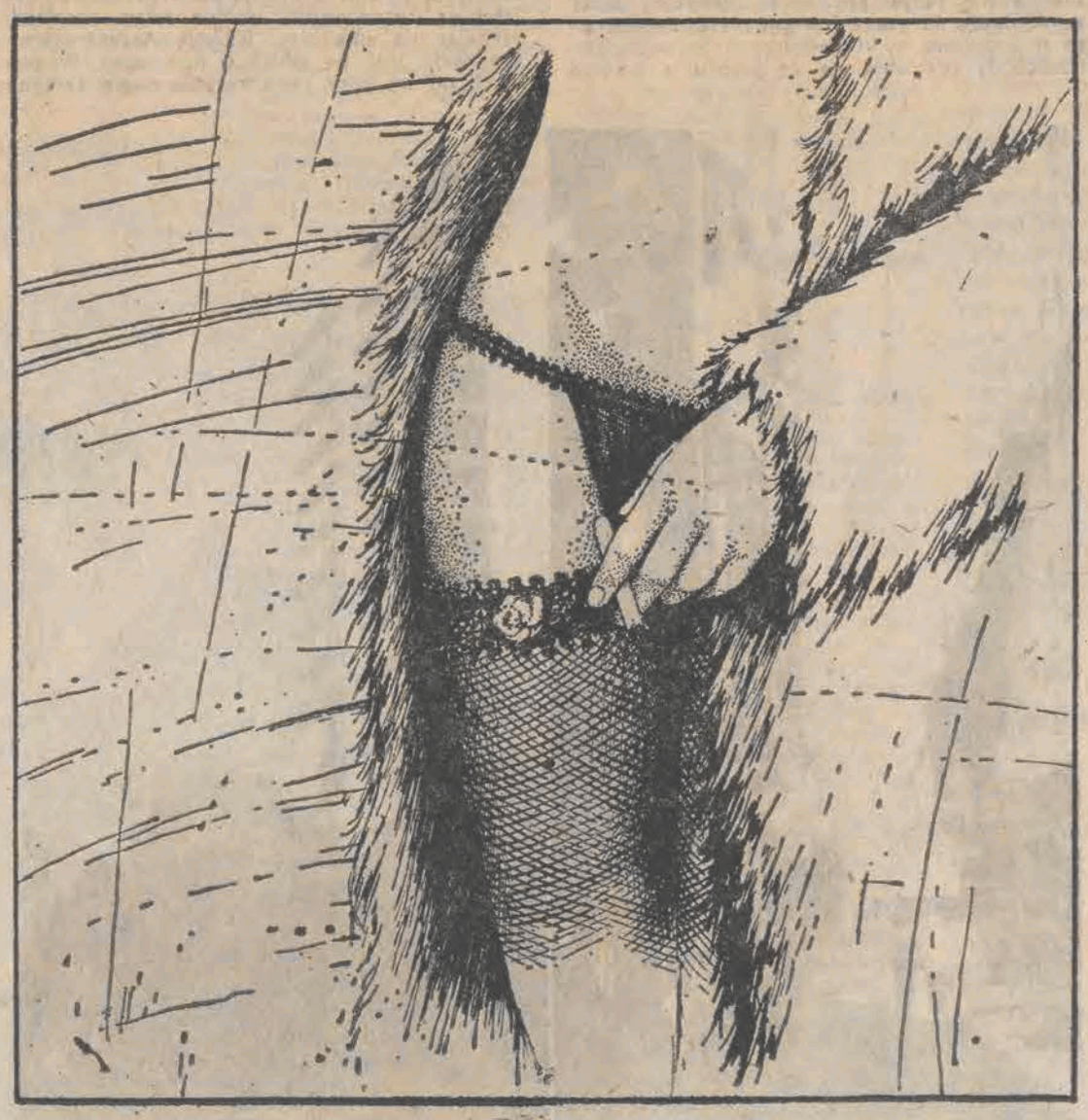

Rys. Janusz Szymański-Glanc

1

Nasza zima nie jest zła

Proszę mi wybaczyć, że zimą piszę o zimie, gdyż jest to pisanie nietypowe. U nas zimą ludzie raczej spodziewają się jesieni lub wręcz wiosny, a latem odwrotnie. Wiadomo przecież, że jak chce się kupić coś na lato, to właśnie teraz zima najlepsza ku temu pora. A latem znów czas myśleć o zimie. Może się więc wydawać, że i latem trzeba pisać o zimie, a zimą o lecie. Ale postawiłem sobie ambitne zadanie, aby być aktualnym i pisać akurat o tym, co ludzi interesuje. Teraz na przykład interesuje ich zima, bo jest.

Jesienią paru starszych wiekiem górali straszyło mnie w telewizorze tym, że zima będzie sroga, ale wbrew piosence i przepowiedniom nasza zima nie jest zła. Do tej pory przynajmniej. Ledwie coś zamarznie, zaraz odmarza. Ledwie powieje chłodem, zaraz przychodzi ocieplenie. Zwariować można od tej huśtawki pogody. Ale ludzie jakoś nie wariują. Najwyżej rękę lub nogę sobie złamią pośliznąwszy się na nieodgarniętym ze śniegu chodniku.

Byłem niedawno na takim zebraniu, na którym wstał człowiek i zażądał, aby natychmiast, bezapelacyjnie, stanowczo i raz na zawsze rozprawić się z wszelkim złem. — Nierobów — powiada on — pozamykać w obozach pracy i tak długo uczyć, aż się nauczą pracować; opozycję polityczną zlikwidować zamykając ją w areszcie, inicjatywę prywatną rozwiązać i zakazać, a dozorców, którzy nie spełniają swoich obowiązków wyrzucić ze służbowych mieszkań. Ale nasza władza — mówił dalej — jest taka słaba, że nawet z dozorcami nie potrafi sobie poradzić.

Są — jak z tego widać — ludzie, którym wydaje się, że jednym dekretem, pociągnięciem, postanowieniem można zlikwidować zjawiska, które są dość złożone, mają wielorakie przyczyny i źródła i likwidacją których wymaga czasu i różnorodnych starań. Być może tacy ludzie są szczęśliwi, gdyż świat jawi im się prosto i nieskomplikowanie. Ale nie daj Boże, aby zaczęli oni działać, gdyż narobiliby takiego bigosu, który później musielibyśmy jeść długimi latami, co zresztą obecnie czynimy. Obraz świata nie może bowiem przystawać tylko do ideałów, musi przede wszystkim odpowiadać rzeczywistości.

Ot, choćby drobna sprawa dozorców. Dozorowanie nie cieszyło się niegdyś społecznym uznaniem. O dozorcy mówiło się, i mówi zresztą, pogardliwie — cieć. Wprawdzie lubimy deklarować, że każda praca jest ważna, że żadna praca nie hańbi, ale wiemy dobrze, że dzielimy też prace na dobra i zła, łatwą i ciężką. Być dozorcą nie należy do prac dobrych i szanowanych. Ale dozorca musi być. Ktoś musi dbać o porządek w domu, w bloku. Żeby więc nie obrażać uczuć człowieka pracy „obraźliwe" słowo: dozorca zastąpiono godnym słowem: gospodarz domu. Tylko że jeśli coś brzydkiego inaczej nazwiemy przez to nie zmieni się jego istota. Obrazu świata — nawet w tak wąskim wycinku — nie można odrywać od rzeczywistości. No i żeby ludzi przyciągnąć do tej trudnej a niewdzięcznej pracy zaczęto dawać mieszkania, co było słuszne, ale i zbyt łakome. Wielu, połakomiwszy się na mieszkanie, zgodziło się przez jakiś czas nawet podozorować, po czym szybko się z tego wycofało, zatrzymując mieszkanie. Teraz próbuje się ich wykwaterowywać, ale to też nie jest takie proste.

Dokonały się u nas przeróżne zmiany i to niekiedy bardzo pożyteczne, ale nie nauczyliśmy się szanować pracy, choć pracę wyniesiono bardzo wysoko. W teorii. W praktyce każdy pragnie być dyrektorem, uczonym, kierownikiem, lekarzem, urzędnikiem, a brakuje sprzątaczek, dozorców, „śmieciarzy" i tak dalej. Dyrektor, lekarz, urzędnik też ciężko pracują, ale ludziom wydaje się, że to jest bardzo przyjemnie być dyrektorem, bo się go wszyscy boją, szanują, poważają, a dozorcą czy sprzątaczką pomiatają. A gdy przychodzi szara godzina dyrektor marzy niekiedy, aby to wszystko mieć z głowy i zostać portierem, bo portier to ma dobrze, a portier — widząc odjeżdżającego służbowym samochodem dyrektora — marzy, aby zostać dyrektorem, bo ten to ma dobrze. Tymczasem każdy powinien dobrze robić to, co umie i do czego został przygotowany. Ale wróćmy do zimy!

Gdy po odwilży przychodzi mróz, boję się wyjść z domu, bo już dwukrotnie w życiu miałem połamane ręce. Nogi mam jeszcze całe i chciałbym, aby tak było nadal. Z praktyki wiem, że wielu dozorców nie sprząta śniegu, nie sypie piasku, a ci, którzy tak robią należą do chlubnych wyjątków. Kilka dni temu, gdy nagle przyszedł mróz pracownicy Inspekcji Miejskiej nałożyli na dozorców, którzy nie wykonywali swoich obowiązków, 9 mandatów, udzielili 41 ostrzeżeń, a 34 dozorców w ogóle nie zastali w „ich" posesji i zostawili wezwanie, które później zamienią na mandaty. Teraz nie mogli ukarać ich mandatami, bo ich nie było „na posterunku". Ale to wszystko jest kroplą w morzu. Od tych ostrzeżeń i mandatów natychmiast nie zmieni się stosunek do pracy.

Czasem sobie tak marzę. Gdyby tak wszyscy zaczęli nagle dobrze robić to, co do nich należy, do czego się zobowiązali podpisując umowę o pracę. Jak byłoby pięknie... Ech, marzyciel! Więc pozostaje mi tylko cieszyć się, że nasza zima nie jest zła, bo mogłoby być dużo gorzej.

ZENON POROWATY

2

Sport

Zima kibica

Zima. Dla kibiców okres przestoju. Czym tu się interesować? Piłkarze trenują, przygotowują się do ligowych rozgrywek i Mundialu. Kolarze też nie mają najciekawszego okresu, sezon dopiero przed nimi i trzeba się do tego sezonu przygotować. Dobry czas mają siatkarze, koszykarze i piłkarze ręczni obu płci. Ale ich rozgrywki — być może zupełnie niesprawiedliwie — nie budzą większych emocji. W sportach zimowych, choć to właśnie zima, też zastój. Piotr Fijas skacze raz lepiej, raz gorzej. Dorota i Małgorzata Mogore — dawniej Tlałkówny — zostały Francuzkami i mogą już startować, choć tyle było krzyku na ten temat. Andrzej Grubba i koledzy święcą triumfy. I bardzo dobrze, tylko niektórzy — znów niesprawiedliwie — powiadają, że to taki sport świetlicowy. Prawdziwy sport — to piłka nożna. Ale na piłkę trzeba będzie jeszcze trochę poczekać.

Zanim więc piłkarze wyjdą na boisko, do głosu dorwali się różni teoretycy, którzy powiadają, że mamy wspaniałą drużynę i mistrzostwo świata jest w... zasięgu ręki. Piękny to i optymistyczny pomysł. Można sobie pomarzyć, porozważać, pokombinować, a rzeczywistość piłkarska i tak potoczy się swoimi koleinami. Co z tych marzeń zostanie, zobaczymy w czerwcu 1986 roku. Czyli już niedługo. Za niecałe pół roku.

Mundial w Meksyku zaczął się pechowo. Jak zapewne wielu kibiców pamięta, miał on być rozgrywany w Kolumbii, ale kraj ten doszedł do wniosku, że jest to impreza kosztowna, więc zrezygnowano z niej i organizacji Mundialu podjął się Meksyk. Ale we wrześniu 1985 roku stolicę tego kraju nawiedziło trzęsienie ziemi i dziś wielu mieszkańców miasta Meksyk jest bezdomnych. Edward Mikołajczyk, który został rzecznikiem prasowym PZPN, pojechał do Meksyku i zamiast opisać, jakie to wspaniałe będą mistrzostwa świata w tym kraju, przedstawił w „Sportowcu" relację o tym, jak dzieci protestowały przeciw organizacji Mundialu w Meksyku, prezentując delegatom piłkarskich organizacji z krajów, które wygrały udział w mistrzostwach, transparenty z napisem: „Mundial w Meksyku to absurd, gdy ludzie umierają z głodu i mieszkają na ulicy". Czytając te korespondencje zastanawiałam się, czy dziennikarze powinni pełnić obowiązki rzeczników prasowych, bo zawsze jednak wyjdzie z nich dziennikarska dusza, która stłamsi gdzieś tam urzędnika. Przykład Edwarda Mikołajczyka tylko te wątpliwości we mnie utwierdził.

Do mistrzostw świata w Meksyku jeszcze sporo czasu, więc można sobie spokojnie pospekulować. „Sportowiec" zebrał w redakcji kilka osób i zadał im między innymi pytanie: „Czy będziemy mistrzami świata?". Jeśli pamięta się, z jakim trudem nasza drużyna doszła do zwycięskiego końca eliminacji, to pytanie wydaje się śmieszne. Ale rację ma chyba Janusz Zaorski — reżyser, który mówi:

— W sporcie trzeba wysoko stawiać poprzeczkę, stąd zawsze złościły mnie komentarze w rodzaju — sukcesem będzie, jeśli wyjdziemy z grupy, albo jeśli zremisujemy z tym czy innym przeciwnikiem. Uważam, że nasi piłkarze powinni mierzyć wysoko, tytuł mistrza świata wcale nie wydaje mi się celem nieosiągalnym.

Zgadzam się z takim postawieniem sprawy, mnie też denerwuje „granie na remis", kunktatorstwo, stawianie sobie i drużynie minimalnych celów, liczenie punktów niczym lichwiarskie liczenie procentów, puszczanie całej pary w gwizdek. Ale, żeby tak nie było, to wszystko musi być zgrane, dobrze przygotowane, bez tak typowej dla nas improwizacji. Trzeba poważnie wziąć pod uwagę to, co mówi Zbigniew Boniek:

„...wygra ten zespół, który będzie miał najlepiej „uzbrojoną medycynę". Szybka regeneracja sił, uzupełnienie ubytków potasu, sodu, wszystkich pierwiastków zadecyduje o tym która drużyna najlepiej zniesie mistrzostwa".

Zbigniew Boniek zna się na tym nie ze słyszenia, a z praktyki. Zbyt wiele potu i krwi zostawił na murawie piłkarskich boisk, żeby nie wiedzieć „w co jest grane".

Ale też nie traktujmy naszych wspaniałych chłopców jak pieszczochów, których ostro wyrażona po meczu opinia w gazecie może załamać. „Nie można — powiada Wojciech Gassowski, znany ongiś piosenkarz — po jednym złym spotkaniu odsądzić zawodnika od czci i wiary. Myślę, że nieco inne pisanie o piłce mogłoby bardzo pomóc reprezentantom". Nasi zawodowcy, grający w zagranicznych klubach, coś więcej wiedzą o tym, jak w świecie pisze się o piłce nożnej. U nas natomiast właśnie z niepokojem obserwuję, jak zagłaskuje się pewną, na siłę kreowaną, gwiazdę piłkarską. Bez przesady! Nieszczęście w tym — jak to trafnie ujął Tadeusz Olszański — że „u nas nie ma tradycji obcowania sportowców z prasą. Wszystkie opinie traktowane są jako wyroki sądu, powstają konflikty i antagonizmy, nawet między piłkarzami". A gdyby tak normalnie to traktować? Przecież każdy z nas ma raz lepszy dzień, raz gorszy. I czy zawsze musimy wszystkich tylko chwalić?

Jeśli chcemy wysoko ustawić poprzeczkę przed naszą reprezentacją na Mundial w Meksyku, to trzeba im mówić też prawdę zarówno wtedy, gdy są dobrzy, jak i wtedy, gdy są źli.

BOGDA MADEJ

3

Andrzej K. super star

Z przykrością zawiadamiam, że kolega Andrzej Karol, pisujący felietony na tej kolumnie, przestał czasowo funkcjonować jako dziennikarz. Stało się to wczoraj o godzinie jedenastej minut dwadzieścia trzy. Naoczni świadkowie twierdzą, że nagle, dosłownie w ciągu jednej sekundy, złośliwy publicystyczny wilk i malkontent Andrzej K. przeistoczył się w słodkiego baranka — wersja „super", na różowych szkłach kontaktowych. Baranek ów rozgłosił wszem i wobec, iż podoba mu się dokładnie wszystko oraz skup butelek, gwoździe w bułkach, funkcjonowanie PKP i ja osobiście, chociaż dotąd z wrodzonym taktem mawiał, że jestem brzydsza od końcówki jeża.

Zrozumieliśmy: mamy oto do czynienia z człowiekiem szczęśliwym. W tej przykrej sytuacji, zgodnie uradziliśmy, by na czas jakiś odsunąć kolegę od publicznego artykułowania prywatnych ocen, albowiem nie jesteśmy pismem satyrycznym ani organem pogrobowców okresu minionego. K. jeszcze naszej decyzji nie zna. Zresztą niewiele do niego dociera. Łazi po mieście, klaszcze w ręce, śmieje się, spokojnych ludzi zaczepia i obcałowuje. Znajomy lekarz uspokaja jednak, tłumacząc, że jesteśmy świadkami objawów typowych dla osobnika, któremu wręczono klucze do własnego „M". Nauka określa to zjawisko jako tzw. szok bytowy. Istotnie, źródła zazwyczaj dobrze poinformowane donoszą, że Andrzej Karol dostał mieszkanie.

Jak daleko sięgam w pamięć, zawsze widzę Andrzeja Karola pochylonego nad maszyną, gdy redaguje kolejne, tysiąc czterysta siódme podanie o przydział mieszkania, pokoju, dziupli (niepotrzebne skreślić). Tę sztukę miał opanowaną do perfekcji. W pismach swych adresowanych do wszystkich możliwych instytucji, nawet do kółka łowieckiego, wyszczególniał on głównie to, czego nie posiada — jakby nieposiadanie czegoś miało być przywilejem. Dzieli nas jednak przepaść pokoleniowa, więc nie miałam śmiałości agitować kolegi wierzącego i praktykującego. Mijały lata. Karol, jako człowiek zasadnie uczciwy, czyli cokolwiek śmieszny, nie szukał innych, powszechnie znanych sposobów zasiedlania mieszkaniowej substancji. Bohatersko milczał, gdy ze spółdzielczej kolejki wypychali go wielodzietni, samotne matki i ciężarne staruszki. Dzięki temu mogliśmy hucznie obchodzić ćwierćwiecze jego zmagań z administracją, zamykające się okrągłą liczbą czterech tysięcy pięciuset podań różnej treści, które zamiarowaliśmy wydać jako dzieła zebrane Andrzeja Karola.

W ostatnim czasie dało się jednak zauważyć, że nasz felietonista jakby zatracił stoicki spokój. Wysmarował parę upiornie krytykanckich tekstów, po opublikowaniu których, tu i tam zazgrzytały zęby urzędnicze. Robiliśmy nawet zakłady, czy Andrzeja K. czeka doraźniak, ekskomunika czy może występ na festiwalu kołobrzeskim. Świadomie bowiem igrał z ogniem albo, jak kto woli, przekreślał swe szanse na mieszkaniowe jutro. Tymczasem stała się rzecz zgoła odmienna. Ale tylko pozornie...

Nie ma co ukrywać, że nasz kolega padł ofiarą perfidnie ukartowanej zemsty. Dokonali jej ci, którym Karol wytoczył proces myślowy. Oni to, za pomocą jednego głupiego mieszkanka, pozbyli się żarliwego krytykanta, wichrzyciela i złośliwcy. Teraz obdarowany jest bezbronny jak niemowlę, oślepiony łaską i pozbawiony elementarnej odwagi. Czyn ten jest wielce nieetyczny, zważywszy fakt, iż przydzielono lokal old boyowi, który przez całe długie życie jakoś sobie radził bez niego, a więc dawno zapomniał do czego mieszkanie służy. Skrzywdzono człowieka!

Piszę te słowa nie tyle z konieczności wypełnienia miejsca po czasowo nieobecnym koledze, ile z normalnej ludzkiej zazdrości. Bo niby czemu Karol będzie się wylegiwał we własnym domu, a ja muszę spędzać noce na dworcu, albo pod pretekstem zbierania materiałów dziennikarskich mam kimać w hotelach siódmej kategorii. Przecież ja także potrafię dołożyć komu trzeba. Ostrzegam.

Prezes spółdzielni mieszkaniowej, do której mam zaszczyt należeć od czasu kiedy człowiek postawił nogę na Księżycu, zapewnił mnie, że już niedługo... W każdym razie drzewka na stolarkę okienną do mojego „M" właśnie zaflancowano, a ślimaki i małże, w celu zwapnienia, już kroczą na wyznaczone stanowiska obok planowanych cementowni.

REZERWOWA II

4

Lewym okiem

Niezwykły Disneyland

Pewien emerytowany zachodnioniemiecki policjant pojechał niedawno do Anglii specjalnie w tym celu, żeby odwiedzić miejscowość Malton, gdzie spędził ostatnie dwa lata wojny jako jeniec. Nie ma w tym nic dziwnego, ludzie często szukają własnych śladów z przeszłości, wiedzeni sentymentem do swoich młodych lat i chęcią sprawdzenia po latach tego, co pozostało w pamięci.

Turysta niemiecki spotkał niedaleko Malton kolegę, z którym razem przebywali w obozie. Kolega nie wrócił po wojnie do Niemiec — a po co, skoro w Anglii wiodło mu się tak dobrze? Jeszcze dziś wspomina: nigdy w domu nie jadłem tak dobrze, jak w angielskim obozie dla jeńców. Obaj stwierdzają, że zaskoczeni byli traktowaniem ich przez obsługę obozu, poruszali się po okolicy, urządzali zabawy. Z czterystu tysięcy takich jeńców pozostało w Anglii ponad dwadzieścia pięć tysięcy, część z nich jest dzisiaj zamożnymi ludźmi. Z tych co wrócili wielu przyjeżdża w odwiedziny z dziećmi i wnukami, są mile widzianymi, dającymi zarobić turystami.

A wobec tego zróbmy coś, żeby tych turystów przyjeżdżało więcej — pomyślał sobie pewien tutejszy biznesman. I oto już się buduje makieta byłego obozu. Piętnaście baraków urządzonych identycznie jak wtedy, otoczonych drutem kolczastym i uzbrojonymi wieżyczkami. Prawdziwi strażnicy krążyć będą wokół drutów i czuwać na wieżyczkach przy maszynowej broni. Tylko zamiast jeńców — woskowe manekiny zasiądą przy typowych zajęciach obozowych. — Czegoś takiego nie ma nigdzie na świecie — chwali się z dumą inicjator całej imprezy, obiecujący sobie spore zyski po swoim Dinsneylandzie. Oczywiście gośćmi będą także rodacy, wśród których — jak czytamy — daje się ostatnio odczuć nowa fala fascynacji wspomnieniami z ostatniej wojny, a także Włosi, którzy w tym samym obozie poprzedzili żołnierzy niemieckich. Włochów zresztą wspomina się tu mniej chętnie niż Niemców, bo Włosi zatrudniani tu tak jak Niemcy w lasach i na farmach pracowali mniej starannie...

Cóż to była za sympatyczna wojna, — oh, what a lovely war! — pisze ironicznie hamburski „Der Spiegel", z którego czerpię te wiadomości. Byli wrogowie wcale nie zachowali swej wzajemnej wrogości, są sobie życzliwi, przyjaźnią się i odwiedzają wzajemnie. No i dobrze. Myślę jednak, że to jest możliwe tylko pod warunkiem, gdy strona inicjująca, a więc w tym wypadku strona angielska — ma czyste sumienie, nie zaszargane zbrodnią ludobójstwa. Teraz można odtworzyć tamte baraki i tamte warunki bez ich na siłę upiększania, z wiernością dla rzeczy, którą turyści niemieccy mogliby przecież łatwo zweryfikować. Nie przypuszczam, żeby jakiś biznesman zachodnioniemiecki chciał jako atrakcję turystyczną odtworzyć wiernie któryś z obozów koncentracyjnych i zaprosić do niego międzynarodową publiczność. Jeśli są tego typu turyści — a są na pewno — którzy odwiedzają strony swej niegdysiejszej drogi przez mękę, to muszą to robić po kryjomu, nie ujawniając swych motywów, nie licząc absolutnie na jakąkolwiek pamięć miejscowej ludności.

Ludność z okolic Malton pamięta jeńców, bo nie ma czego wobec nich się wstydzić.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Wielki las

(29)

ZBIGNIEW NIENACKI

Nad drogą rozlewał się czerwcowy upał i Maryn ziewnął. Poczuł zmęczenie spowodowane nocą spędzoną z dziewczyną, zachciało mu się spać. Był głodny, nie miał jednak ochoty wracać do domu Horsta. Czuł się głupio, że Horst przyprowadził mu dziewczynę do łóżka, a on z tego skorzystał. Weronika uczyniła słusznie, że się nie pokazała, bo co innego mógłby wyczytać z wyrazu jej twarzy, jak nie wzgardę. Do diabła, był przecież mężczyzną, który sam mógł sprowadzić sobie dziewczynę. Postawiono go jednak przed faktem dokonanym, usiadł przy stole z Horstem i dziewczyną, a potem wszystko nastąpiło o wiele lepiej niż się spodziewał, gdyż dziewczyna mu się podobała. Choć tak naprawdę podobała mu się nie tutaj, ale tam w knajpie, ubrana i krążąca między stolikami. W łóżku, naga i od razu oczekująca na spełnienie, obudziła w nim nawet coś w rodzaju niechęci i był taki moment, kiedy chciał się wykręcić, powiedzieć jej: „ubierz się, ja nie przyjmuję od nikogo takich darów". Potem jednak usłyszał nad swoją głową szuranie odsuwanego krzesła, wyobraził sobie, że tam na górze siedzi Weronika i myśli, co on tu na dole robi z tą dziewczyną. Maryn dość się nasłuchał, jak skrzypi łóżko w leśniczówce Kuleszy. Niech teraz ona posłucha, co się będzie działo pod jej pokojem. Wyobrażenie o znajdującej się na górze Weronice tak go podnieciło, że wziął dziewczynę prawie natychmiast i przeżywał jak gdyby podwójne zadowolenie: zaspokajał swoją żądzę i zarazem mścił się. I to musiało mu nieźle wyjść, skoro ta dziewczyna tak głośno krzyczała. Później znowu wyobraził sobie poczucie wstrętu, jakie w tym momencie ogarnęło Weronikę i doznał kolejnego podniecenia. To dziwne, ale od pewnego czasu taką podniecającą radość sprawiała mu myśl, że budzi w Weronice wstręt i obrzydzenie. Chciał pastwić się nad jej uczuciami, deptać je, choć — na Boga — przecież ona nic mu złego nie zrobiła. Tłumaczył sobie, że nie potrafi żyć z poczuciem wstrętu do samego siebie i dlatego ów wstręt usiłował przenieść na kogoś innego. Jak długo można nienawidzić samego siebie? Lepiej, żeby ktoś nas nienawidził i nami pogardzał, w ten bowiem sposób człowiek tworzy w sobie mechanizm ochronny przeciw temu kto nim pogardza. Dlatego nie jest prawdą, że źle czułby się przy stole w towarzystwie Horsta, dziewczyny i Weroniki. Wyraz wstrętu na jej twarzy prawdopodobnie wprowadziłby go od razu w lepszy nastrój, a nawet spowodował natychmiastowe pożądanie dziewczyny, a tak przyszło ono później, gdy pomyślał o Weronice przysłuchującej się jego łóżkowej zabawie. Człowiek był istotą pokrętną i zadziwiająco zakłamaną — czy nie tego uczono go przez długie miesiące, zanim stał się zawodowym łowcą ludzkich brudów?

Sięgnął po papierosy, znalazł w kieszeni tylko pustą paczkę. Znowu zachciało mu się spać. Zeskoczył z konia na zacienionym przez las poboczu drogi, wyjął uzdę z pyska klaczy i pozwolił jej się paść w rowie, gdzie rosła gęsta i wysoka trawa. Sam usiadł w tej trawie, stopami sięgając asfaltu, a potem położył się na plecach i niemal zaraz zasnął.

Nie usłyszał ani pracy silników, ani też szmeru opon. Zbudził go dopiero melodyjny sygnał klaksonu. Tuż obok zatrzymały się dwie szare wołgi: w jednej — na tylnym siedzeniu tkwiły dwie kobiety, a w drugim —na tylnym siedzeniu zobaczył starego leśniczego Kondradta i przy kierowcy jakiegoś młodzika w skórzanej marynarce. Ten właśnie wyskoczył z samochodu i podszedł do Maryna.

— Leśniczy — młodzik lekkim ruchem głowy wskazał na wołgę, gdzie siedział Kondradt — powiedział mi, że pan jest tutaj strażnikiem łowieckim. Potrzebujemy pana.

„Tajniak" — określił go Maryn.

Powoli podniósł się z trawy, obciągając mundur. Pomyślał, że pracowników służb specjalnych poznaje się równie łatwo jak kominiarzy. W taki upał i to w samochodzie nosić skórzaną marynarkę? Ale on musiał przecież czymś okryć broń pod lewą pachą. Podciągnięta nieco lewa nogawka sztruksowych spodni mówiła, że za bardzo skrócił sobie jedną szelkę od kabury. „Tajniak niższej rangi" — upewnił się Maryn. Wyższa ranga nosiła małe jak dłoń Beretty, które można było schować w kieszeni spodni.

— Całą noc pracowałem. A pan mnie zbudził — powiedział Maryn niechętnie.

— To sprawa wagi państwowej — odparł tamten z ową nonszalancją charakterystyczną dla początkujących tajniaków. — Chcemy przeszukać jeden z tych domów w lesie. Wzięliśmy na świadka leśniczego, ale po drodze, gdy pana zobaczyłem, pomyślałem, że będzie jeszcze lepiej przy dwóch świadkach.

— Weźcie kogoś innego.

— Nie ma tu nikogo innego. Mówiłem panu: musimy przeszukać ten drugi dom. I pan podpisze protokół, że nic nie zabraliśmy, niczego nie podłożyliśmy.

— I tak podłożycie, jak będziecie chcieli...

Tajniak machnął mu przed nosem legitymacją służbową.

— Pójdzie pan z nami i koniec dyskusji — rozzłościł się.

— A koń? — Maryn wskazał na klacz skubiącą trawę na poboczu.

— To przecież tylko parę kroków stąd. Niech pan przyjedzie na swoim koniu. A my zaczekamy przed wejściem do domu. Jeśli pan się nie zjawi za dziesięć minut, znajdę pana i każę zamknąć za utrudnianie działalności aparatowi ścigania.

— Ma pan papierosa? — zapytał Maryn.

Tamten roześmiał się.

— Właśnie, że nie mam. Też mi się chce cholernie palić. A żadna z tych osób nie pali. Ale tam chyba coś znajdziemy do palenia. Tak myślę — mrugnął okiem do Maryna i od razu stał się bardziej sympatyczny.

Odjechali w stronę dwóch białych domków, a Maryn założył klaczy uzdę, wskoczył na siodło i pogalopował za nimi.

Bramę w wysokim ogrodzeniu zastał otwartą, samochody stały na betonowym podjeździe przed drugim domem. Na drzwiach i okiennicach widniały przyklejone do futryn długie paski papieru z pieczęciami i plombami. Domy — niewielkie zresztą — kryte czerwoną dachówką, zostały otynkowane na biało.

— Niech pan puści konia byle gdzie. Nawet na te stare klomby — beztrosko rozkazał tajniak, zauważywszy, że Maryn zastanawia się, co zrobić z klaczą. — Klomby i tak wkrótce zarosną chwastami. Niech pan zachowuje się tak, jak gdyby wszedł pan do chlewa, gdzie mieszkały świnie.

Dwie kobiety zachichotały aprobująco, stary Kondradt też zgodnie kiwnął głową i rzekł:

— To były kiedyś domy robotników leśnych. Dziesięć lat temu jakichś dwóch dygnitarzy zrobiło tutaj sobie wycieczkę. Potem przyszli do mnie, bo to moje leśnictwo i powiedzieli, że zabierają te domy, bo są dobrze ukryte w lesie. Wziąłem ich za wariatów, bo co ja zrobię z ludźmi, którzy te domy zamieszkują. „Za mało pan zjadł soli w swoim życiu" — roześmieli mi się w twarz. A potem nadleśniczy z polecenia władz wyższych przesiedlił robotników do bloków w mieście, a oni te domy polecili remontować. Siatką ogrodzili.

Jedna z kobiet powiedziała:

— Dookoła gęsty las. Ja bym się tu bała mieszkać. Po co się tak schowali w głębi lasu?

— Las jest jak wielkie szambo — odezwał się Maryn. — Ścieka tutaj wszelki brud, ale nie czuje się smrodu.

— Tylko ani słowa nikomu o tym, co zobaczycie — groźnym tonem ostrzegł tajniak.

— Wiem. To sprawa honoru naszej państwowej firmy — zgodził się stary Kondradt.

— Oczywiście. Dobrze pan to ujął — zaśmiał się tamten i zerwał paski na drzwiach. — Ale to mogę wam powiedzieć, że ten z pierwszego domu się zastrzelił, a ten, do którego teraz wchodzimy, uciekł za granicę i otrzymał zaocznie wyrok śmierci. Tak więc wchodzimy, jak powiedziałem, do chlewa.

Kobiety — dość młode, o krótkich nogach i szerokich biodrach, starannie ufryzowane — określił Maryn jako „księgowe". Odgadywanie czyjegoś zawodu tylko z wyglądu i zachowania było zresztą jego ulubioną zabawą już od wczesnej młodości. Może krył się za tym ów siódmy zmysł, jakaś tajemnicza cecha, o której nie powiedzieli mu nigdy psychologowie z jego firmy? Ale tak się działo, że niemal natychmiast wiedział, iż ma przed sobą lekarza lub prawnika, nauczycielkę czy księgową, podobnie jak od razu odkrył tajniaka w młodym człowieku który wysiadł z samochodu. Kobiety ufryzowały się, ubrały czyste bluzeczki i zrobiły staranny makijaż, gdyż zapowiedziano im, że pojadą do jakiejś tajnej rezydencji i ich podróż otoczona będzie tajemnicą. Co się spodziewały po tej podróży? Czego oczekiwały? Były wyraźnie rozczarowane, że owe tajemnicze rezydencje są tylko małymi domkami w lesie.

Weszli do dużego hallu z barem na modłę amerykańską, wielką szafą różnobarwnych butelek z alkoholem. Na podłodze leżały futrzaki, tu i ówdzie stały fotele i kanapy wyścielane cielęcą skórą, ściany wyłożono modrzewiową boazerią. Tajniak oprowadził ich po całym domu — z dwoma sypialniami umeblowanymi zagranicznymi sprzętami, pokojem do gry w bilard, dość sporym salonem z niskimi stołkami, ławami, kanapami krytymi czerwoną skórą. Dwie łazienki miały błękitną mozaikę i okrągłe błękitne wanny z lśniącymi mosiądzem kranami. Na poddaszu był drugi bar, a trzeci w piwnicy. W barach stołki były zbyt wysokie i księgowe czuły się na nich niewygodnie, ich krótkie nogi dyndały w powietrzu. Stary leśniczy Kondradt udawał, że to, na co patrzy wcale go nie obchodzi, zresztą wiele domów w Gaudach urządzono w podobny sposób. Raz tylko delikatnie dotknął zakurzonego telewizora (a było ich w tym domu kilka i to przystosowanych do videokaset). Ekrany połyskiwały jak wielkie pokryte bielmem oczy, ale jednocześnie odnosiło się wrażenie, że patrzą, widzą, ktoś podgląda tych, co się tutaj znaleźli. Tajniak nie pozwalał otworzyć okiennic i oglądano wnętrze w elektrycznym świetle, co przydawało wszystkiemu świetności. Wystarczyło jednak cokolwiek dotknąć, a na dłoniach pozostawały ślady kurzu.

— Czytałam, że on miał kasety do wyświetlania przez telewizor filmów z różnymi takimi scenami... — jedna z kobiet zaśmiała się gardłowo.

— Bzdury — uciął tajniak. — Zabraliśmy dwadzieścia osiem videokaset. Same kryminały. To znaczy, po prostu filmy kryminalne.

A potem pokazał im szafy w sypialniach dość dobrze ukryte w ścianach boazerii i kazał spisać ilość i rodzaj bielizny pościelowej.

— Zapomnieli to zrobić. A musi być wszystko dokładnie: ile było prześcieradeł, z czego zrobionych, ile poszew i poszewek, ile kołder i poduszek. Bo to wszystko przechodzi na skarb państwa. Pan leśniczy tego dopilnuje.

Wziął Maryna pod ramię i poszedł z nim do hallu.

— Wypilibyśmy sobie po jednym albo po dwa — wskazał butelki z kolorowymi trunkami.

— Wolałbym zapalić — odrzekł Maryn.

Tajniak wszedł za bar, wyciągnął szuflady spod kontuaru, zaglądał w każdy kąt, ale papierosów nie znalazł.

— Nie ma, cholera — zaklął z prawdziwą złością. — Czego się pan napije?

— Martini — powiedział Maryn, wskazując na kryty cielęcą skórą stołek barowy.

— Która to butelka? — tajniak urzędował za barem, chusteczką od nosa wycierając zakurzone kieliszki.

— Ta na lewo, na trzeciej półce.

— Pan się zna na wódkach?

— Tak — przytaknął Maryn.

Dopiero w tej chwili blask elektrycznego światła z żyrandola pod sufitem rozbłysnął na dużych pokrytych werniksem obrazach rozwieszonych na ścianach. Były to przeważnie pejzaże leśne. Między nimi wisiała oprawiona w szkło — duża fotografia, chyba powiększenie z jakiegoś małego zdjęcia, bo nawet z daleka widać było ziarno. Maryn zeskoczył ze stołka i podszedł bliżej, żeby się przyjrzeć ludziom na fotografii. Natychmiast zauważył to tajniak i powiedział:

— Ten w środku grupy, w białym prochowcu i z pepeszą, to nasz „gospodarz". Reszty nie znam. Niech pan popatrzy, ani jeden nie ma na sobie dobrych butów, a naszemu gospodarzowi niemal wszystkie palce z prawego buta wyłażą. Ludzie się zmieniają i to szybko. O co on właściwie walczył? Żeby innym było dobrze, czy żeby jemu było dobrze?

Maryna coś ścisnęło za krtań. W gromadce ludzi na powiększonej fotografii zobaczył młodego człowieka, którego przed czterema laty firma poleciła mu bardzo uważnie obserwować. Rzecz jasna ów osobnik zbliżał się już do sześćdziesiątki, ale zachował takie same rysy jak młodzik na powiększonej fotografii. To nie było łatwe zadanie, gdyż facet przebywał zawsze w otoczeniu co najmniej dwóch niższych od niego rangą urzędników. A poza tym działo się to zimą, Maryn marzł przed hotelem, sporo pieniędzy musiał wydać na przekupienie pokojówek i portierów hotelowych, zresztą w tanich hotelach, gdzie zatrzymywał się ów gość. Ale to się opłaciło. Facet wyszedł na chwilę samotnie z hotelu i natychmiast podjechał do niego duży wóz z japończykiem za kierownicą. Odjechali nie wiadomo dokąd, Maryn nie miał pod hotelem wozu i nie mógł ich dalej śledzić. Gość zresztą wrócił po pół godzinie. Maryn ustalił po numerach wozu, że samochód należał do człowieka, który bardzo daleko stąd produkował tranzystory, opatrując je metką znanej powszechnie wielkiej korporacji przemysłowej. Później Ivo Bunder skontaktował się z prywatną agencją detektywistyczną Carattu, która zajmowała się ściganiem producentów, podszywających się pod znane firmy. Carattu miał tę sprawę już od dawna na oku, co nie przeszkadzało, że zakupiono partię tańszych, gorzej wykonanych tranzystorów niby to od znanej korporacji, ale faktycznie od fałszerzy. Różnica w cenie musiała być znaczna i ów facet z kraju być może całą różnicę zagarnął do kieszeni, choć tego Maryn nie potrafił udowodnić. Rzecz jasna przekazał informacje do centrali. Ale w pół roku później ten sam człowiek, powrócił z jeszcze większym sztabem urzędników i zatrzymał się w najlepszym hotelu, gdyż był już chyba na wyższym stanowisku. Awansował, ponieważ dokonał „korzystnej transakcji" — tak napisano w krajowych gazetach. Zresztą, Bogiem a prawdą, te tranzystory niczym zewnętrznym nie różniły się od produkowanych przez wielką korporację. Tylko jakość ich była znacznie gorsza, to już jednak pozostawało sprawą fabryk. Zawsze można było zwalić na załogi, że nie potrafią obchodzić się należycie z nowoczesną technologią. Maryn znowu przyssał się do tego faceta, to samo Ivo Bunder. Skończyło się podobnie: samotne wyjście z hotelu, samochód, krótka jazda i powrót. A potem korzystna umowa na sweterki z fałszywymi metkami znanej powszechnie światowej firmy. Co się działo z informacjami, które Maryn wysyłał — nie wiadomo. Informator nie zawsze musiał o tym wiedzieć. Maryn był zawodowcem, robił to, co mu polecano. Informacje szły albo do kosza, albo ktoś je starannie ukrywał w szufladzie. Skąd Maryn mógł wiedzieć, że ten człowiek wyposaża sobie w lesie skromnie wyglądający domek — w trzy bary, łazienkę z mozaiką, z okrągłą wanną i armaturą z mosiądzu. I co za ironia, Maryn siedzi przy barze tamtego i za chwilę wypije kieliszek martini, który tamten kupił. „Świat jest mały" — pomyślał Maryn. I zaraz się poprawił: „Świat jest za mały dla wielkich łajdaków".

— Rozpoznał pan kogoś na tej fotografii? — zapytał go tajniak.

— Nie — pośpieszył z odpowiedzią.

Ten młody człowiek był bardzo spostrzegawczy, coś w wyrazie twarzy Maryna zwróciło jego uwagę. Zapewne także posiadał ów przedziwny zmysł, który kierował ludzi do tajnych służb. Tylko, że nie poddano go takiemu szkoleniu jak Maryna. Szczupły, wysoki, wysportowany z szarymi oczami i jasnymi włosami przypominał Marynowi malutki trybik w wielkiej tajnej machinie. Brakowało mu tylko owego obycia w świecie, które powinien mieć dobry obserwator. Nie wiedział, na przykład, jak wygląda butelka martini.

— Wypijmy — zaproponował tajniak.

Maryn zauważył, że jego własna dłoń, w której podniósł do ust kieliszek — drży lekko. „To nerwy. Cholerne nerwy" — pomyślał. — „Takie głupstwo, trochę wspomnień i już się zdenerwowałem".

— Zapaliłbym — rzekł Maryn.

— Ja też — zgodnie kiwnął głową tajniak, ocierając usta zakurzoną chusteczką do nosa.

Maryn wskazał leżącą na drugiej półce między butelkami szkatułkę z laki. Była ciemnobrązowa w wielkie smoki. Takie szkatułki na papierosy produkowano masowo w Hong-Kongu.

— W tym pudełku są chyba papierosy...

— Jest zamknięte na kluczyk. A kluczyka nigdzie nie znaleźliśmy. Wyłamywać zamka nie wolno. Zabiorą je razem z innymi gratami z tego domu.

Maryn wyciągnął ze spodni swój pasek z krokodylej skóry, sięgnął po zakrzywiony drucik.

— Umiem otwierać takie zameczki.

Wystarczyły dwa lekkie poruszenia drucika w zamku szkatułki i wieczko odskoczyło. W dwóch przegródkach leżały papierosy w białych i czarnych bibułkach. Obydwaj sięgnęli po białe.

— Niech pan będzie spokojny. Zamknę to pudełeczko tak samo jak je otworzyłem — zapewnił Maryn, przyjmując ogień od tajniaka, który powiedział z odrobiną smutku:

— Będę musiał zameldować, że pan ma takie instrumenty w pasku od spodni i umie się nimi posługiwać.

Maryn pokiwał głową, zaciągnął się mocno, postawił łokieć na barze i popatrzył na swoją dłoń. Nie drżała. Wystarczyło jedno zaciągnięcie się papierosem, a może ta chwila manipulacji przy zamku szkatułki, a nerwy się w nim uspokoiły.

— Nie radzę panu, kolego — rzekł. — Lepiej nie meldować że mnie pan spotkał i wziął na świadka do inwentaryzacji pościeli w tym domu.

— Dlaczego?

— Przeniosą pana do jakiegoś Leska na posterunkowego. W pana zawodzie czasem lepiej czegoś nie widzieć, nie zauważyć, lecz tylko zapamiętać. Pan już zapomniał, co powiedziałem? Las to wielkie szambo. Tutaj ściekają wszystkie brudy świata.

To był inteligentny chłopak.

— W porządku. Zrozumiałem. Zrobimy sobie jeszcze po jednym. Co pan radzi?

— Butelka na samej górze. Pierwsza od prawej.

CDN

Rys. Janusz Szymański-Glanc